

**KANIBALE**



Paulina  
Bukowska

# KANIBALE

Redakcja: Karolina Macios

Korekta: Filip Fierek

Projekt graficzny i skład: Kuba Sowiński

© Copyright by Paulina Bukowska, 2018

**[www.paulinabukowska.pl](http://www.paulinabukowska.pl)**

<b>Laura i Bruno</b>	7
<b>Perła i Henryk</b>	69
<b>Lucyna i Lucjan</b>	121
<b>Sebastian</b>	163



# LAURA I BRUNO

On – intelektualista, ona – artystka. On – świeżo owdowiały, ona – świeżo nagrodzona. Bardzo szybko wpadli na siebie. On właśnie schodził ze sceny, gdzie jego płomienne przemówienie zostało nagrodzone chórem eleganckich oklasków. Ona właśnie wchodziła na scenę, gdzie już czekała na nią rozgrzana oklaskami publiczność.

– Czy pani wie, że o tej płycie dowiedziałem się właśnie teraz? Mowa, którą wygłosiłem na pani cześć, tak bardzo mnie poruszyła, iż jedno zdanie więcej i sam siebie zacząłbym oklaskiwać.

– Dziękuję, sama ją pisałam.

– Czy mogę panią porwać z bankietu?

– Kiedy to mój pierwszy taki bankiet.

– I nie ostatni, zapewniam. Przepraszam, powiem to inaczej: zapewniam, że ostatni. Proszę się przyzwyczajać. Pani Laura?

– Pan Bruno?

Podali sobie ręce. To był świetny czas. On – świeżo owdowiały, ona – świeżo nagrodzona. Mieli swoje trofea

i właśnie zaczęli. On po raz kolejny, ona po raz pierwszy. Usiedli w restauracji.

– Niestety muszę przyznać, iż znam pana całkiem dobrze. Czytałam recenzje.

– A książki?

– Na książki nie mam czasu. Pan zmusza do myślenia, mnie to rozprasza w trakcie pracy.

– Z czego pani w takim razie korzysta w trakcie pracy?

– Z intuicji. Ze spontanicznych decyzji. Ze swobodnej gry. Proszę się nie obruszyć, ale strasznie się pan spina. Dąży do tego, by każde kolejne zdanie stanowiło logiczną kontynuację myśli pierwszego. Bardzo mnie to nudzi, to takie oczywiste.

Rozluźniła się, gdy tylko złapała rytm. Jej zdania były stonowane, pełne niewymuszonej uprzejmości, brzmiała trochę jak dziecko mówiące wiersz na scenie. Słuchał tych jej beztruskich i lakonicznych wypowiedzi z mieszaniną czułości i dumy. Trochę jak ojciec słuchający tego dziecka spod sceny. On w ogóle chętnie słuchał, gdy mówiono o nim, gdy zdania wymijały się, a opinie różnych osób gryzły się ze sobą i wzbudzały wściekliwość, przelew krwi i jadu. Dobrze się czuł, gdy wzbudzał zainteresowanie, a ludzie mieli na jego temat coś do powiedzenia.

– Był pan bardzo otwarty w sprawach życia osobistego.

– Słucham? – Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na nią, jakby wyłoniła się nagle z jego umysłu.

– W tym wywiadzie, o którym mówię.

Nie słuchał. Zauważyła to. Dobrze przygotowała się do rozmowy i wiedziała, że najdoskonalszym tematem będzie on sam. Łączył się z każdym wątkiem, na wszystko miał odpowiedź, każdemu zdaniu potrafił gładko zaprzeczyć,



tezie dorobić antytezę, wadom zalety. W ciągłej dyskusji ze światem. Ze sobą. Pewnie ciągle mówił do siebie. Pewnie mówił do siebie, gdy ona mówiła do niego. Narcyz, oczywiście.

Nie zareagował na jej stwierdzenie. Chwilę kołysali się na krzesłach i zmieniali ułożenie nóg, dotykali twarzy palcami, wpatrywali się w swoje szklanki. On się tym nie przejął. Ona pomyślała, iż sytuację, gdy dwie osoby toczą ze sobą nieprzerwanie interesującą dyskusję, zdarzają się tylko w filmach. Mimo wszystko poczuła się głupio i spuściła wzrok na kieliszek.

– Proszę kontynuować.

Podniosła głowę i zaplątała się w kolejce pytań.

– Skoro moje życie osobiste stało się teraz bardziej publiczne.

Spojrzała na niego z trudem i siłą się na obojętność, powiedziała:

– Pana żona zmarła parę tygodni temu.

Milczenie zaznaczyło swoją kłopotliwą obecność i szybko się rozproszyło.

– A dokładnie trzy tygodnie temu. – Podniósł kieliszek i przytulił do niego usta. Uśmiechnął się do niej przez szkło. – To niezaprzeczalny fakt. Jak i to, że Julia zmarła, nim zdążyliśmy się rozstać.

Laura poruszyła się na dźwięk imienia, jego słowa ją zawstydzili. Potarła brodą o ramię i sprawdziła przelotnie, czy ktoś nie zanotował już jego oburzającej uwagi na talerzu, pod sałatą.

– Proszę się nie oburzać. Mówię to pani, bo pani wie, jak jest, w końcu czytała pani wywiad – podkreślił wyraźnie końcówkę zdania i uśmiechnął się do niej niezłośliwie. – Do

tego zmierzało. Ona powiedziała by pani to samo. Przeintelektualizowało się. Przepelniliśmy się sobą nawzajem i zaczął wyciekać jad. Niewytłumaczalne pokłady znużenia i niechęci. Staliśmy się własnymi kopiami, co było nie do zniesienia. To jak rozmawianie z lustrem. Ciągłe powstawały nowe pytania, dwa razy więcej pytań, ale żadnych odpowiedzi. Strasznie się nawzajem nakręcaliśmy, pobudzaliśmy, a to prowadziło do przegrzania. Nasz związek toczył gorzką pianę. I wtedy odeszła.

Laura poczuła zażenowanie, objawiające się nagłym swędzeniem kolan, kostek i przedramion. Niezdarnie tarmosiła końcówki włosów, próbując ukryć niedowierzanie, które wyrzuciło się jednak widocznym grymasem ust. Zasłaniała je więc kieliszkiem z odradzającym się winem, przez co szybko utraciła kontrolę nad potokiem zdań. Resztkami sił rozsądek bronił ją przed szczerością. Skrzyżowała nogi w kostkach i mocno zacisnęła, oparła się o stół i spychała na dno umysłu pytania rwące się do odpowiedzi. Bruno przyglądał się jej cichym zmaganiom z alkoholem z pewną czułością, ale i satysfakcją. Wreszcie zaczęła zachowywać się normalnie i spontanicznie, nie napinała się, by brzmieć poważniej. Zupełnie niepotrzebnie próbowała ukryć swoją młodość, przecież młodość zawsze stanowiła atut. Ale ona zrozumie to dopiero za kilkanaście lat.

Bruno wypytywał o nieszkodliwe sprawy, aby następnego dnia Laura nie czuła się niezręcznie, choć paliło go pragnienie, by natychmiast, czym prędzej rozpocząć wnikliwą analizę i wykorzystać to, że jej nie zna. Cofnął się w swoich myślach i spuścił głowę. Przegapił już ten moment, gdy jak nieznajomi mogli powierzać sobie najgłębsze sekrety. To w tym krótkim momencie na scenie

miał swoją szansę i nie wykorzystał jej. Podniósł znów głowę i spojrzał w szkliste oczy, którym wcześniej zbyt wnikliwie się przyglądał. Już niczego się nie dowie. Laura patrzyła i patrzyła, i patrzyła, by udowodnić, iż kontroluje całą sytuację i swoje zachowanie. Robiła to w sposób wyjątkowo niezgrabny, jakby była miękka i zbyt elastyczna. Powiewała jak flaga na wietrze. Bruno westchnął głęboko. Jego organizm dawał mu już wyraźne sygnały świadczące o wykluwającym się uczuciu. Skarcił się w duchu, bo wcale nie życzył sobie żadnej pochodnej miłości. W tej sytuacji mogła wyłącznie wszystko skomplikować. Spojrzał raz jeszcze na jej spoconą twarz i już wiedział.

\*

I tak jak siedzieli w tej restauracji, tak zaczęli wspólne życie. Poszli do jego domu, ona instynktownie udała się do łazienki i zdjęła ubranie. Gdy wróciła do pokoju, on oglądał relację z wręczenia nagród. Skomentowali to krótko i dowcipnie, policzyli wspólnych znajomych. Laura czuła się już z powrotem trochę bardziej sobą. Bruno spojrzał na nią i zbliżył się. Laura zauważyła, jaki jest stary, bardzo stary. Nie dojrzały i przystojny, tylko zbyt stary. Było to dobrze widać. Dotknął jej policzka dłonią, bardzo ostrożnie, ale i tak zmrużyła oczy ze strachu. Szybko przywołała w myślach całą wiedzę na jego temat, wszystkie obrazy i głosy, które zebrała, nim poznała go na żywo. Znali się, nim się poznali. Położyła wreszcie dłoń na jego dłoni i powiedziała, że jest zmęczona. On odpowiedział, że jeszcze trochę posiedzi. Ona zaśmiała się i zacytowała fragment jego wypowiedzi o nocnych wenach, kiedy składa

w całość fragmenty dnia. Jej wystarczały te krótkie minuty tuż przed zaśnięciem. Zresztą sen to też przecież część dnia i czasem tylko tam odnajdywała wenę. Kiedy w ciszy jego pokoju wybrzmiały jej słowa, przez chwilę poczuła się głupio, ale szybko strząsnęła z siebie to uczucie. Zanurzyła się w pościeli, kolana podciągnęła pod brzuch. Zasnęła, próbując coś powiedzieć.

Obudziła się z twarzą w jego twarzy. Zamknęła szybko oczy, by go nie zbudzić. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała, jak z dużych ust wydobywa się niemiłe młaskanie. Bruno wydawał się teraz tak ogromny, nabrzmiały, mnożył się w oczach. Taki prawdziwy, jak okropnie prawdziwy, przeprawdę prawdziwy. Tyle zbędnych szczegółów. Oddychał za głośno. Wyglądał zbyt wyraźnie i przez to odpychająco. Położył się w ubraniu i swoim ciężarem przygniótł kołdrę, więc Laura znalazła się w potrzasku i nie mogła wstać bez zmuszenia go do przesunięcia się. Długie minuty wyswabiała się z płątaniny pościeli, prześcieradła, nóg. Bruno w końcu odsapnął głośno i po prostu odwrócił się na drugi bok. Siadła na skraju łóżka i szybko odtworzyła przebieg poprzedniego wieczoru. Z trudem, bo ten skurczył się w jej pamięci. Najpierw z ulgą odnotowała obecność niezadanych pytań, wciąż tłoczących się w przedśionku umysłu, a później ucieszyła się, gdyż do niczego między nimi nie doszło. Żadnych napięć i namiętności. Nawiązała się raczej emocjonalna niż porozumienia. Spojrzała raz jeszcze na ten ogromny, niemiły kształt na kołdrze. Skarciła się w duchu, bo nie życzyła sobie żadnych pąków emocji. Wstała i rozejrzała się po pokoju. Jedną ze ścian zajmowały stare regały przepełnione książkami. Uśmiechnęła się lekko. To takie oczywiste. Pobieżnie przebiegła

wzrokiem po okładkach, bez zdziwienia zauważyła, że większość tytułów przetarła się, a woluminy zbyt ciasno upchnięto i próba wyciągnięcia jednego groziła rozpadnięciem się dwóch obok. Przy przeciwległej ścianie stało małe biurko, puste i czyste, na nim opierał się jeszcze jeden stary, krzywy regał. Tu książki wyjątkowo nie gniotły się nawzajem, ale za to co druga wystawała, wysunięta do połowy lub balansująca tuż na krawędzi. Lekkie poruszenie biurkiem strząsało je jak dojrzałe jabłka. Gdzieś leżała zdarta okładka z wysypaną obok treścią, inne wypatroszone tytuły zostały wciśnięte pomiędzy niebawale opasłe tomiska. Kurz rozścielił się cienkim naskórkiem na każdej z półek i podrywał do lotu, gdy tylko Laura przesunęła dłońią po wystających grzbietach. Ogromne, nabrzmiałe, mnożyły się w oczach. Nic nie przykuło na dłużej jej uwagi. Przystawała na moment, gdy rozpoznała autora lub tytuł, ale już po chwili była w innym rzędzie. Czasem zdawało jej się, że dotykane książki drażni Bruna, bo wiercił się na łóżku. Przytrzymywała palec na pojedynczych tytułach i widziała drobne, nerwowe ruchy pod kołdrą. Na wszelki wypadek odsunęła się od regału. Kątem oka dostrzegła obserwując ją z przedpokoju wzrok. Po chwili w drzwiach przystanął na chwilę duży, puszysty kształt z wysoko podniesionym ogonem i wibrującym podbrzuszem. Nie zwrócił na Laurę szczególnej uwagi, skierował się krętą trasą na łóżko i długo tłukł łbem o jego ramę, wydobywając z siebie stłumione mruknięcia. Gdy już wreszcie wtoczył się na pościel, ciężkim krokiem podszedł do Bruna i kilkakrotnie go okrążył, ostentacyjnie depcząc mu po plecach. W tym samym momencie, gdy kot wyssał z niego resztki snu, rozdzwonił się telefon Laury.

- Dzień dobry! Z tej strony Anna Kowalska, program *I dzień, i dobry*. Czy rozmawiam z panią Laurą, artystką?

- Przy telefonie.

- Dzień dobry! Chciałabym panią zaprosić do naszego popołudniowego programu na żywo w nadchodzącą sobotę. Pragniemy porozmawiać o pani najnowszej płycie i ostatej nagrodzie, troszeczkę na serio, troszeczkę w żartach, rozmowa potrwałaby około dziesięciu minut. Czy jest pani zainteresowana?

Laura już na samym początku zdecydowanie odmówiła. W połowie się zawahała, a na końcu potwierdziła swoją obecność.

- Pani Lauro, jest jeszcze taka sprawa. Czy mogłaby pani włożyć na siebie coś czerwonego? To może być drobny element: bluzka w paski, buty, pasek, świetnie nadawałaby się na przykład wełniana czapka, ale wystarczą wystające podkolanówki. Chodzi o konwencję programu.

- Proszę wybaczyć, ale chyba nie do końca rozumiem.

- No, taka jest konwencja programu, rozumie pani. Ma taką charakterystyczną oprawę i prosimy gości, aby w ten drobny sposób do niej nawiązali, żeby było tak trochę na serio i na żarty. Oczywiście nie chcemy nikogo zmuszać i nakłaniać, ale gdyby pojawił się tylko jakiś drobny czerwony element, nic specjalnego, może być pasek albo buty, wystarczą też skarpetki, gdyby pani zamiast czarnych włożyła wyjątkowo czerwone, w końcu to nic wielkiego. Taka konwencja, oprawa programu. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, będę się kontaktować w najbliższych dniach odnośnie do godzin i transportu, wszystko wcześniej omówimy i ustalimy. Do usłyszenia i miłego dnia! I proszę pamiętać – coś czerwonego! Ale oczywiście nie ma przymusu. Do zobaczenia! Czerwonego!

Kot ślizgał się slalomem między nogami, gdy Bruno próbował przejść do kuchni. Spłoszył go na chwilę wulgaryzmem, ale napełnił miskę.

– Za dużo – odezwała się Laura i usiadła na szerokim parapecie.

– Jest głodny, niech je.

– One zawsze są głodne, a potem brzuchy zwisają im do podłogi. – Nachyliła się i wskazała palcem na kota. – O, popatrz, widzisz ten worek? A potem nagle zdechnie z przedzienia.

– Nie zdechnie – uciął krótko.

– To dawaj mu mniej, ale częściej.

Bruno westchnął i przeniósł w końcu wzrok z kota na nią.

– Czy to już nasza pierwsza kłótnia?

Laura zakryła usta i wzruszyła ramionami. Bruno wstał znad miski i podszedł do lodówki.

– A my, zjemy śniadanie czy może lepiej nie jedzmy wcale? – spytał wesoło, chowając pokarm na jedną z półek.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo znów rozdzwonił się telefon.

– Pani Lauro, trzy proste pytania! Proszę odpowiedzieć w dosłownie kilku słowach, to do naszej cotygodniowej rubryki, czym jest ta płyta, jakie są pani inspiracje i plany na przyszłość. Najlepiej wszystko jednym zdaniem! Start!

Bruno poszedł do łazienki albo sklepu, jeszcze nie różniła drzwi. Zastanawiała się, czy czekać na niego z jedzeniem, ale wcale nie czuła głodu i w zasadzie powinna już była rozpocząć maraton spotkań, na które zdążyli ją poumawiać jeszcze zeszłej nocy. Przecież nie muszą wspólnie spożywać posiłków, może nawet lepiej zacząć od niejedzenia, to trochę tak, jakby przeskoczyli o kilka poziomów

w tym związku. Związku nie związku, dopowiedziała sobie prędko i się wystraszyła. Jaki związek, co jej w tej głowie zaczęło się niepostrzeżenie roić? Zdecydowała, że wychodzi. Omiotła raz jeszcze wzrokiem mieszkanie, odkryła kolejny pokój i kilka obrazków na ścianie, zdecydowanie tam niepasujących. Ubrała się i wtedy na łóżku zauważyła kota, a pod nim jej apaszkę. Już chciała się cofnąć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i wyszła z mieszkania.

Po ostatnim spotkaniu pomyślała o Sebastianie. Jasny do tej pory umysł spowity na nowo ciężkie chmury. W drodze do domu zatrzymała się na skrzyżowaniu ulic. Dobrze wiedziała, co powinna zrobić. Skręcić w prawo, potem minąć sklep z lampami, obserwując wystawę księgarni po drugiej stronie, i wtedy szybko wbiec po kamiennych schodkach na równoległą ulicę. Ktoś nieuprzejmie szturchnął ją w łokieć, więc intuicyjnie zawróciła i przyspieszyła kroku, jak gdyby coś równie niespodziewanego mogło ją zmusić do zmiany kierunku.

– Spotykamy się dopiero teraz, a mam wrażenie, jakbym spędził z tobą cały dzień – powiedział, witając ją w progu. Dopiero po chwili zapalił światło i poszedł do kuchni, ale szybko cofnął się i poinstruował, gdzie ma położyć swoje rzeczy. Rozplątując długi szal z jej szyi, dodał: – Musisz teraz zdementować wszystko to, co przeczytałem i usłyszałem. Chodź, zjemy nasze zaległe śniadanie. Gdy wróciłem ze sklepu, już cię nie było. Zostawiłaś jednak apaszkę, więc domyśliłem się, że przyjdiesz.

– To tylko apaszka. – Wzruszyła ramionami.

– Jest zniszczona i brzydka, czyli musi mieć dla ciebie wartość sentymentalną.

Odwróciła się, ale on i tak zniknął już za ścianą. Mimo



to kontynuował dialog, mówiąc coraz głośniej, by zagłuszyć szum gotującego wodę czajnika.

– A ty, dowiedziałaś się dziś czegoś nowego o mnie?

– Nie czytałam gazet – skłamała, dołączając do jego kuchennej krzątaniny. Podniosła parujący czajnik i poprosiła, by zamienił jej szklankę na kubek. – Ale z ciebie to żaden materiał na skandal.

– Teraz już tak. – Uśmiechnął się i szturchnął szklanką o jej, jego, ich kubek.

– Nie zauważyłam, by ktoś robił mi zdjęcie, gdy tu wchodziłam. – Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, usłyszała swój bardzo oschły ton.

– To chyba oczywiste. Jesteś wymalowana, wylakierowana i wyprasowana. Zaczają się na ciebie, gdy będziesz stąd wychodzić w bamboszach i z wielkimi worami pod oczami.

– To by się mogło zdarzyć tylko wtedy, gdybym wychodziła stąd nad ranem. – Oparła się o blat, a wyraz jej twarzy złagodniał.

Późne śniadanie zamiast obiadem okazało się ostatecznie kolacją. Grube warstwy słońca ostygły na meblach i rozlały się spłowiełym cieniem po ścianach. Siedli naprzeciw siebie przy stole, przestawili kubki, wreszcie musieli po prostu spojrzeć sobie w oczy. Przez tę chwilę Laura o mało nie spadła z krzesła. Znów byli sobie obcy. Odwróciła wzrok i wyrzwała za okno.

– Prawda czy fałsz – zaryzykował po chwili milczenia Bruno. – Twoją mamę zabił piorun.

Długo dusiła w sobie uśmiech, zastanawiając się nad wagą odpowiedzi.

To nie pierwszy raz, gdy uśmierciła członków rodziny.

Mamę zabił piorun, tatę zagryzł pies. Nie potrafiła nigdy powstrzymać tej paraliżującej chęci dodania sobie wielkiej tragedii do życia. Mnożyła krewnych, by potem rozrzucać ich po świecie albo tworzyć dla nich nowe profesje. Jej rodzina rozrastała się do surrealnych rozmiarów, by znów gwałtownie maleć w wyniku niewyjaśnionych okoliczności. Dzieci ginęły przy porodzie, dziadkowie pochodzili z każdego miejsca, które w jakiś sposób wiązało się z historycznymi zdarzeniami, tajemnicze ciocie emigrowały do Stanów. Niewyczerpane źródło inspiracji i pretekst dla brzmienia jej muzyki. Kłamała z niebywałą łatwością i dziwiła się zawsze, gdy tak naiwnie przyjmowano te wszystkie rewelacje, choć wszystko dało się sprawdzić od ręki. Nikt nie sprawdzał. Laura spochmurniała teraz, nie zdając sobie sprawy, iż ta krótka chwila zamyślenia oznaczała dla Bruna jasną odpowiedź. Doskonale wiedział, że jej rodzina była kompletna i normalna. Normalne kłótnie, normalne rozwody i choroby. Starczyłoby na trzy kolejne albumy, jednak ona wolała fikcję. Próbował sprowokować ją do odpowiedzi, by zaobserwować grę ruchów i gestów. Słowa nie miały znaczenia, słowa ze swoją tendencją do układania się w wymyślne konstelacje dalekie od przekazywania prawdy.

– Prawda – skłamała za szybko, ale z wdziękiem. – Prawda czy fałsz – odbiła szybko piłeczkę, ale chwilę się zawahała, nim dokończyła: – Twoja żona zostawiła dziennik.

Ich spojrzenia znów zetknęły się tylko na sekundę. Laury odskoczyło ponownie w stronę okna, Bruna przyłgnęło do kubka. Nim zdążył odpowiedzieć, jak w wiejskim filmie rozdzwoniły się telefony od jej znajomych, którzy zapełnili cały wieczór informacjami zebranymi z kilku ostatnich

dni. Od gali nagród znacznie wzrosło zainteresowanie płytą, muzyką, dietą i stylem Laury, a teraz furorę robił filmik z jednym z jej utworów śpiewanych od tyłu (podobno brzmiał identycznie jak jedna z węgierskich piosenek ludowych). Laura nie mogła usiedzieć w miejscu i każdy kolejny dzwonek odnajdywał ją w innym punkcie mieszkania. Wędrowała tam i z powrotem, nieświadomie gładząc parapety i półki, okrywała się kurzem i sierścią kota, wciąż przypatrującego się jej nieprzychylnym wzrokiem. Czasem dreptał za nią, gdy maszerowała do kuchni, stał chwilę w progu z podniesionym ogonem i donośnie sygnalizował swoją obecność. Brak zainteresowania szybko go usypiał, więc siadał i drzemał z nadzieją, że drzwi lodówki w końcu się otworzą. Bruno tkwił przy swoim komputerze z głową wspartą na ręce i wyglądał, jakby intensywnie nad czymś rozmyślał, ale tak naprawdę przesuwiał tylko od czasu do czasu kursorem po nieskończonym dokumencie pokrytym kolejką maleńkich słów. Minęło kilka godzin, Laura usnęła na blacie kuchennym, kot oddychał głęboko na kolanach swojego właściciela, za oknem świat toczył się teraz w zwolnionym tempie. Samochody skradały się pod oknami, długie cienie przechodniów migały na ścianie. Gdy nagle pod ramieniem zawibrował jej telefon, poderwała się z przerażeniem. Uspokoiła się dopiero, gdy powiodła nieprzytomnym wzrokiem po pokoju. Już wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Halo? – Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, dodała głośniej: – Odezwij się.

Trzymała słuchawkę przy uchu jeszcze długo po zerwaniu połączenia. Okręciła się na krześle, wytarła resztki śliny z policzka i spojrzała na zegar. Jutro musi pachnieć

i błyszczeć. Zgarbiła się i próbowała odepchnąć senność, ale wciąż szumiał jej w głowie urwany sen. Z pokoju docierało do niej intensywne uderzenie w klawiaturę. Zajrzała tam i usiadła na kanapie, ale Bruno jej nie zauważył. Poszła do łazienki, gdzie zdjęła z siebie wszystkie warstwy minionego dnia, spłukała makijaż i długo docierała do swojej twarzy. Szmer wody spływającej po plecach rozluźnił ją i łagodnie poprowadził w kierunku drugiego etapu snu. Długo szukała wśród zużytych kremów, dezodorantów i maszynek kosmetyku, który nadawałby się do odświeżenia skóry. Żadnych śladów obecności kobiety. Nic, ani jednego włosa. Powstrzymała się przed sprawdzeniem każdego zakamarka, każdej półki i półeczki, bo zobaczyła się w lustrze i zawstydziła ją jej ciekawość. Z mokrymi włosami spływającymi na oczy szybko włożyła swój podkoszulek i uciekła do pokoju, pod kołdrę. Z podkulonymi nogami i odkrytą głową wpatrywała się w plecy Bruna. Delikatnie wystające łopatki nieznacznie się poruszały, gdy gwałtownie zmieniał pozycję, co i tak utrudniał mu kot. Pisał nieprzerwanie. Laura bardzo chciała rozszyfrować stukot klawiatury, ale nie zauważyła żadnego wahania, zwątpienia, niezdecydowania. Zasnęła, próbując coś powiedzieć.

\*

Laura w pewnym stopniu musiała być szczęściarą. Wiele melodii i tekstów po prostu jej się przyśniło. Zawstydzająco ją i jednocześnie fascynowało. Kładła się do łóżka, co oznaczało tak naprawdę początek pracy. Nie miała wpływu na jej przebieg, nigdy nie była pewna, czy jej mózg zdoła przez tę noc zacząć, rozwinąć, skończyć i przetworzyć

historię. Budziła się i wciąż lepka, zmęczona i osowiała sięgała po długopis, by zza cienkiej kotary snu zapłątywać słowa i nuty w kołdrę. Czasami pomimo największego skupienia nie potrafiła przebić się przez mleczną powłokę snu i wydobyć obrazu z zamglonej pamięci albo nie spała całą noc, by później drzemać nad projektami, bo wydawało jej się, iż ma wtedy wpływ na to, co produkuje jej na wpół uśpiony mózg. W desperacji potrafiła całymi nocami pozostawać przytomna, by po kilku dniach drzeć ze zmęczenia, co wzbudzało nerwowy i natarczywy impuls. Wtedy ciało stawało się głodne, głodne odpoczynku, niemal parowało, dając jej poczucie lekkości i swobody idealnej do pracy. Musiała wtedy skupić wszystkie siły i emocje, a te po krótkim, ale niezwykle intensywnym wysiłku twórczym zwały ją z nóg.

Dużo czasu spędzała pomiędzy snem a jawą. Musiała być śnięta, by tworzyć. Odrobinę poza świadomością. Tak sobie wmówiła. Karygodne, by nie robić ze snów żadnego użytku. Przecież składały się na nie wydarzenia z naszego życia, przetworzone przez kalejdoskop umysłu. Podczas snu pozwalało mu się na pełną swobodę. Dlaczego potem tego nie wykorzystać?

Laura doprowadzała się więc do skrajnego wyczerpania, bo tylko wtedy czuła żywą, namacalną wenę. Wena przychodziła z drgawkami, bezsennością, głodem i agresją. Żaden smutek nigdy nie przyniósł jej chęci, żaden żal nie rozpałił żaru, stany depresyjne były może dobre dla bladych narkomanów. W smutku potrafiła się tylko topić, czuła zawsze fizyczny ból całego ciała, obecność małego, uporczywego ziarenka, które utkwilo w newralgicznym

punkcie jej organizmu i uwierało przy każdej normalnej czynności. Niby nic, a boli.

Czasem po prostu siadała i komponowała. Przechodziła przez wszystkie katastrofy organizmu, wykańczała się, wskrzeszała, cierpiała, głodowała i umierała na nic. Zawstydzona, posłusznie kładła się wtedy do łóżka i następnego dnia wstawała rano, gotowała wodę na kawę, szła do studia i tuż przed kolacją utwór miała skończony. Zawstydzona, znów kładła się spać. Z drugą płytą było zupełnie inaczej. Wreszcie zainspirowały ją wydarzenia z prawdziwego życia. Nie tego, które chciała mieć, tylko tego, które rzeczywiście miała. Nie sądziła nawet, że jest w stanie tak zupełnie się wypróżnić. Wyszedł z tego egzotyczny eksperyment, nie zwykły album, ale sztuczny fragment jej tożsamości, substytut tego autentycznego, którego brak odczuwała tak dotkliwie, iż sprawiła sobie organ zastępczy. Przynajmniej na chwilę, zanim organizm go odrzuci. Musiała jak najszybciej odnaleźć ten prawdziwy element siebie.

\*

– Laura? Laura, obudź się.

Niechętnie spróbowała. Podniosła jedną powiekę i powiodła wzrokiem po pokoju. Przez otwarte usta wytoczyły się hektolitry śliny, więc szybko przetarła wargi kawałkiem kołdry. Bruno krążył po pokoju i otwierał różne szuflady różnych szaf. Książki spadały z półek.

– Która godzina? – spytała gotowa, by odwrócić się na drugi bok i w tej samej chwili zasnąć. Jednak gdy tylko zadała to pytanie, dopadła ją przeraźliwa świadomość nadchodzącego dnia. Szybko chwyciła telefon i jęknęła.

- Budzik nie zadzwonił - powiedziała głośno, jakby chciała się usprawiedliwić. Zaczęła histeryzować. Że budzik jest cholerny, że pociąg już odjechał, że program się zacznie, że ją zabiją, że sama się zabije, że cholera jasna, co ma teraz zrobić. Bruno tylko otwierał i zamykał szuflady, przekładając papiery i książki, tasował tomiska, mieszał autorów i gatunki. Ułożył właśnie okazałą górę na wspartym o komodę udzie i zaproponował Laurze podwiezienie. Od razu przestała nerwowo machać nogą i ścisnęła krawędź łóżka.

- Samochodem?

- Będzie szybciej niż pociągiem. Nagrasz program, a ja pozabawiam zaległe sprawy i wrócimy. Tylko się teraz nie zastanawiaj, włóż coś na siebie i jedziemy.

W głowie Laury już zarysował się zbiór gotowy do zapełnienia wątpliwościami, ale posłusznie ześlizgnęła się z łóżka i pognęła do łazienki, by nie dać się zdominować przez nadciągające pytania.

- Bruno, przynieś mi sukienkę! Jest w mojej torbie! - zawołała już zza uchylonych drzwi. Rozebrała się i opryskała wodą, dorysowała usta i oczy, które zlały się z bladą cerą, kilka razy przeczesła palcami włosy i poszczypała policzki, by dodać sobie życia.

- Niebieską czy czerwoną?

- Niebieską! - zawahała się chwilę nad umywalką i przestała energicznie machać szczoteczką do zębów. - Nie, czerwoną!

Bruno zajrzał do łazienki i oparł się o framugę. Ona stała wciąż naga i niegotowa, pocierała stopą o łydkę. Oderwała wzrok od lustra, chciała ukryć zawstydzenie, ale każdy element jej ciała zdradzał nieśmiałość. Wczepioną

w umywalkę ręką próbowała przypadkiem zakryć piersi, nogi nagle okręciły się wokół siebie, brzuch gdzieś zniknął, a kręgosłup wędrował po plecach. Intensywnie i nienaturalnie szczotkowała zęby, dźbiała i język, a pasta ciurkiem ściekała po podbródku, szyi, brzuchu.

– Na co czekasz? Połóż na palce.

– Pomogę ci. Dużo w tym guzików.

Chciała wypłukać usta jedną dłonią, ale wreszcie spontanicznie poderwała drugą, założyła bieliznę i stanęła tyłem do niego. Pomógł odnaleźć się w zwojach śliskiego materiału, wygładził i przetaił, zabrał się do zapinania guzików. Czuła jego zimne palce na plecach, wspinały się coraz wyżej i łaskotały. Zaciskała palce stóp, dłonie wchodziły w siebie nawzajem. Gdy dotarł do szyi, po jej ciele przeszła fala ciepła, długo spływając po udach.

– Gotowe. Czekam w samochodzie, ustalę trasę. Klucze leżą na stole w kuchni.

Laura jeszcze chwilę stała przed lustrem i próbowała sprawdzić, czy wszystkie guziki zostały zapięte. Nie do wszystkich sięgnęła, szybko opuściła łazienkę i pozbiierała z podłogi potrzebne rzeczy. Brakowało tylko czarnej kopertówki, ale miała ze sobą jedynie wielką torbę, a w niej mnóstwo niepotrzebnych do tej podróży rzeczy. Wyciągnęła je szybko i ułożyła na łóżku, bo nie wiedziała, czy może wykorzystać jedną z szuflad. Weszła do kuchni i wystraszyła kota pałaszującego górę jedzenia (znów dostał za dużo). Uciekł do przedpokoju i czekał na moment, by z powrotem wślizgnąć się na swoje miejsce. Przed blokiem Laura oblała się rumieńcem, bo nie wiedziała, do którego samochodu podejść. Zrobiła chwiejny krok w prawo, ale spojrzała w lewo. Zatrąbił granatowy opel, więc skierowała



się na wprost, a niewielkie obcasy wykrzywiały się w szparach chodnika.

– Niecałe trzy godziny trasy przed nami.

Poruszyła się na siedzeniu. Całe niecałe trzy godziny trasy przed nami? Ruszyli, a on natychmiast wyłączył radio. Kiedy zasugerowała, by jednak posłuchali muzyki, z przekąsem spytał, czy nie ma ochoty odpocząć od pracy. Po chwili dodał jednak, że też lubi zagłuszać jazdę. Już chciała zapytać o sprzeczny z tą informacją odruch, ale w porę ugryzła się w język. Przypomniała sobie wywiad z nim i tam znalazła odpowiedź, nie musiała nic więcej mówić. Być może zrobił to specjalnie. Gdyby pociągnęła wątek, na pewno zaczęłby podejrzewać, iż coś wie, skoro pyta o taki drobiazg, sprawdza, czy to, co powiedział w wywiadzie, to rzeczywiście prawda. Zakręciło się jej w głowie od myślenia i postanowiła milczeć.

Trasa ciągnęła się w nieskończoność. Laura zamknęła oczy i próbowała się uśpić monotonnym rytmem jazdy, ale tylko wytrącał ją z równowagi.

– Nie przeszkadza ci, gdy się nie odzywam? – spytała po stu kilometrach.

– Nie, bo nie przeszkadzasz mi w myśleniu – odpowiedział po kolejnych stu i uśmiechnął się, ale wiedziała, że mówi poważnie.

– O czym teraz myślisz? – zaryzykowała po policzeniu stu lamp przy drodze.

Myślał o niej. Obserwował każdy najmniejszy ruch, patrzył na drogę, ale pilnował, by jej postać znajdowała się cały czas w zasięgu wzroku. Wciąż czuł pod palcami chude, chłodne ciało, które zapadało się nieznacznie pod jego dotykiem. Rozpamiętywał to poranne zdarzenie jak

coś doniosłego, jej zawstydzenie wzbudziło w nim falę pożądania. Kilka razy wyciągał do niej dłoń, ale rozmyślał się i kładł ją na dźwigni zmiany biegów, przez co na zmianę gwałtownie przyspieszali i zwalniali. Już chciał odpowiedzieć na pytanie, gdy nawigacja poinformowała, że są na miejscu. Laura szybko uciekła z samochodu, ale zatrzymała się nagle na środku drogi i wstrzymała ruch samochodowy. W takt melodii klaksonów cofnęła się i narysowała palcem na zaparowanej szybie godzinę powrotu. Pobiegła w stronę smukłego budynku i tuż przed wejściem złapała ją nieprzyjemna kolka, przez co utknęła na jakiś czas w obrotowych drzwiach i spóźniła się na początek programu. Pojawiła się w studiu i ze wszystkich stron nagle nadlecieli ludzie, którzy popychali ją w stronę kanapy, próbując jednocześnie zatuszować pot, doczepić parę pasm włosów, uciąć kawałek sukienki. Nie widziała, dokąd idzie, bo przypudrowali jej oczy, potknęła się, ale upadła na kogoś, kto czekał, by uratować ją w takiej sytuacji. Wreszcie opadła na miękkie poduszki kanapy i w tym samym momencie weszła na wizję. Nie zdążyła nawet zauważyć prowadzących, gdy pojawił się ktoś, kto wręczył jej kwiaty, pociągnięto ją do kuchennego stołu, gdzie musiała wessać zawartość ostrygi, i dopiero wtedy pozwolono wrócić z powrotem na kanapę. Czerwoną kanapę, co zauważyła, całkowicie się z nią zlewając. Gdy zaczęto ją przedstawiać i prezentować dotychczasowy dorobek, do jej stóp podczołgał się jeden z pracowników i podmienił przybrudzone buty, a nawet próbował przefarbować sukienkę. Z tego powodu w kadrze kamery pojawiła się tylko jej przerażona twarz, więc dziennikarze szybko znaleźli pytanie ratunkowe, by zmyć mało atrakcyjny grymas. Wsłuchała się dokładnie w początek i już chciała

odpowiedzieć, ale pytanie trwało, zaplątało się po drodze w śmiech i anegdotę pytającego i nagle zmieniło zupełnie kierunek, by urwać się niespodziewanie, gdy wcale nie była przygotowana. Musiała szybko pokiwać głową i podrapać się po kolanie, zanim przywróciła na twarz uśmiech. Wreszcie zaczęła mówić, a w myślach zaprzeczała każdemu słowu. Mówiła, ale bez celu, chciała jednocześnie zrobić sobie krzywdę, obiad, cokolwiek, co wybawi ją z tej niekomfortowej sytuacji. Powtarzała się i przekręcała związki frazeologiczne, zrobiła nawet błąd interpunkcyjny, zaczerpnęła powietrze w złym momencie, gubiła kropki i niemiłosiernie przedłużała całość bez pomysłu, co zrobić z tak niefortunnie rozpoczętą wypowiedzią. Złapał ją skurcz łydki, przypłatała się niestrawność, żołądek rozdarł się zgłodniałym skowytom, a pot skleił ją z obiciem kanapy. Miała nadzieję, że jej twarz przybrała już dostatecznie czerwony odcień, by zniknąć zupełnie na tle oparcia. Wreszcie drugi dziennikarz wtrącił się niespodziewanym wybuchem radosnego śmiechu, spojrzął na towarzyszącą mu partnerkę, a potem na kartkę. Zmarszczył czoło i obniżył ton głosu. W studiu przygasły światła.

– O czym właściwie jest ta płyta?

Laura wpadła w panikę. O czym właściwie jest ta płyta. O czym właściwie jest ta płyta? O czym WŁAŚCIWIE jest ta płyta? Jezu, o czym właściwie jest ta płyta? Właściwie? Czy on sugeruje, że jest o niczym? Rozejrzała się dookoła, zobaczyła kolejkę kobiet, mężczyzn, psów i dzieci czekających na swoje pięć minut. Była dziesiąta rano, wszyscy wyglądali jak żywcem wycięci z magazynów, a gdy nikt nie patrzył, pakowali sobie śniadanie do ust i rozmazali misterny makijaż. W gardle załaskotało ją od śmiechu

i ulatniającego się zakłopotania. Wykorzystała filmującą ją właśnie kamerę i powolnym, pewnym siebie ruchem przełożyła nogi z lewej na prawą. Oglądalność programu zdecydowanie wzrosła.

– W jednym z ostatnich wywiadów powiedziałaś, iż jest ktoś, kto powstrzymuje cię przed wprowadzaniem ciągłych zmian do powstającego materiału na płytę. To zapewne ważna postać w twoim życiu. – Prowadzący wyszczerzył zęby. – Czy to jego imię zdobi album?

Laura uśmiechnęła się głupekowato. Nie wie, o czym właściwie jest moja płyta, ale domyśla się, że ktoś ważny pojawił się w moim życiu. Miała ochotę wstać i wsadzić mu, boleśnie i głęboko, dwa palce w oczy. Wtedy jednak podbiegł do niej wystrojony piesek, wypuszczony przypadkiem przez młodą właścicielkę, i zaczął szczekać wniebogłose, a każdą próbę uciszenia zagłuszał przeraźliwym wyciem, co bezsilni dziennikarze próbowali zagłuszać śmiechem. Psiak miał uświetnić koniec programu, ale najwidoczniej stracił już cierpliwość. Laura również, dlatego korzystając z zamieszania, ulotniła się ze studia. Wybiegła z budynku prosto w błysk flesza, więc automatycznie zasłoniła twarz ręką i już chciała zrugać natręta, gdy spostrzegła, że to tylko słońce wsadziło jej promień w oko. Zrugła więc siebie i wbiegła na pasy, gdy znów poczuła błysk, a chwilę później grzmot. Przyczajony na światłach samochód nagle wtargnął na przejście dla pieszych i delikatnie stuknął ją w biodro, a ona upadła i roztrzaskała głowę o jezdnię. Już chciała umierać, ale to pękła tylko gruba skóra makijażu i rozpadła się na milion drobinek, amortyzując upadek. W tej krótkiej chwili umierania i odżywiania otworzyły się drzwi i z pojazdu wybiegł podekscytowany mężczyzna.

Jednocześnie z naprzeciwka pędził już Bruno, a za nim stado kamer i helikopterów. Kierowca z nerwów wygryzł sobie ręce i niespokojnie podskakując wokół Laury, piszczał:

– Wiedziałem, że to pani! Wiedziałem, że to pani!

Wreszcie ukląkł przy niej, upewnił się, że jest cała, i poprosił o autograf. Laura złożyła podpis na nieznacznym wgnieceniu w masce, pomachała do wianuszka telefonów kręcących całe zdarzenie i zauważyła Bruna, który szybkim ruchem wyciągnął ją z kręgu zainteresowania i mocno ścisnął przedramiona, co uznała za wyraz troski. Przez jej ciało przebiegło stado mrówek, a w brzuchu zatrzepotały skrzydła. Całe zoo zagnieździło się w jej żołądku. Wsiedli do samochodu i Bruno znów chciał odruchowo wyłączyć radio, ale przeszkodził mu dziennikarz, wtykając rękę z mikrofonem do samochodu i zmuszając do krótkiej relacji wydarzenia. Bruno mówił, a jego głos płynął do Laury z radia. Ze wzruszeniem wpatrywała się w głośnik.

\*

Przez całe nagranie nawet nie ruszył się z miejsca, jednak załatwił wszystkie swoje sprawy, był w wielu miejscach i konsultował się z różnymi postaciami. Gdy tylko Laura zniknęła za szarą ścianą, otworzył okno i rozpoczął swój rytuał. Wlepił wzrok w tłum przemierzający miasto. Pomyślał o niej, a zaraz potem o nim. Wreszcie miał chwilę, by wszystkie problemy zwały się na łeb, i pozwolił na to. Lubił w nich grzebać, lubił analizować i wyszukiwać alternatywne zakończenia. Zapalił papierosa i z rozkoszą schował się w dymie. Zatrzymał czas, stał się nieruchomym punktem w nieustającym pościgu. Na każdy jego oddech

przypadał tuzin żyć, zdarzeń, tragedii. Lubił się przyglądać, nie uczestniczyć. Zawsze stał gdzieś obok i patrzył na świat, jakby ten go nie dotyczył. Cieszył się, że on już nigdzie nie musi się spieszyć. Swoje wybiegał, a właściwie przeszedł, bo lubił do wszystkiego dochodzić drogą mozolnych rozmyślań, dzięki czemu nic więcej nie musiał robić. Pozwalało mu to wyłapywać szczegóły zawieszane gdzieś nad głowami tych wszystkich biegających ludzi, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy, że Bruno czyta im w myślach. I wykorzystuje do swych prac. Z tego żył. Z innych.

Drugi, trzeci papieros w kilkunastominutowych odstępach i już był gdzie indziej. Wzniesiony przez chmurę dymu prosto do umysłu. Bywał tam często, na tym zakurczonym strychu, pełnym tłustych księgozbiorów. Rósł mu od nich garb. Upychał w nich kolejne informacje, gromadził zdania, krzyżował teorie różnych specjalistów, bo lubił z nimi rozmawiać, a te potem rozdzielały się i rozrzedzały w papierosowym dymie. Cały czas chodził chłonny i głodny. Nasiąkał obrazami, obtaczał się w słowach i kleił do ludzi. Był jawnym ludożercą, Kubą Rozpruwaczem i Hannibalem. Otwierał głowy, wyjadał treść, rozpruwał i miażdżył. Pożyczał pomysły i sam je hodował, ale też chętnie oddawał swoje. Jego życie stało się zamkniętym obiegiem słów rozrastających się, rozmnażających i rozwarstwiających. Wracały i zaczynały kolejny rajd. Coraz bardziej zmutowane. Hybrydy i dziwolągi. Nieskończony ciąg pytań, które odpowiadały pytaniami. Niezaspokojony głód, podsycany przez nieskończony apetyt.

Oderwał się na chwilę od własnych myśli, wyjął telefon i wystukał najczęściej wybierany numer. Minęło kilka sygnałów, wreszcie się dodzwonił.

- Dzień dobry, to znowu ja. Czy mogę rozmawiać z Perłą?  
Telefon wypuścił z siebie głośne westchnienie. Do ucha Bruna dotarły też odgłosy radośnie wzburzonej kuchni, głos kobiety był mocny i wyraźny.

- Ale pan uparty!

- Bardzo mi na tym zależy.

- Perła śpi, nie wolno jej budzić.

- Czy mogłaby jej pani przekazać, że dzwoniłem?

- Zawsze przekazuję.

- Wciąż nie chce się spotkać?

- W ogóle z nikim nie chce się spotkać.

Poczuł dumę i smutek. Po raz kolejny podyktował numer telefonu i rozłączył się. Płynnie przeszedł z powrotem do swoich myśli i skupił się na ostatnim wątku z pisanej właśnie książki. Wątku, którego wymyślić nie mógł, bo potrzebował rzetelnych informacji. Męczył się już z tym od dłuższego czasu i chociaż pisał dalej, wciąż wracał do tego martwego punktu. Perła mogła mu pomóc, ale niepotrzebnie ją skrzywdził. Próbował odkupić swoje winy, ale i tak będzie musiał znaleźć alternatywne rozwiązanie. Właściwie już je znalazł. Tylko powoli, by znów nie popełnić błędu.

Skończył ostatniego papierosa i oparł głowę o siedzenie. Teraz wszystko się ułoży. Zamknął oczy tylko na chwilę, gdyż nagły pisk i trzask strąciły go z antresoli umysłu.

\*

Pierwsza wspólna noc była próbą zdefiniowania uczuć. W żyłach Bruna płynęło pożądanie, w żyłach Laury wie-  
trzał alkohol. Wypadek podrażnił pewne wrażliwe sfery w jej psychice i niespodziewanie uchylił rąbek namiętności,

zrodzonej na gruncie wdzięczności i przerażenia. Strach uwolnił adrenalinę, a ta szukała emocji. Spotkali się przypadkiem na tle jakiegoś snu, Laura weszła mu pod nogi i zbudził go dreszcz. Dochodziła piąta rano.

Nienaturalnie duże i czarne oczy wydały mu się nadzwyczaj piękne, usta dopiero zarysowywały się w świetle mętnego poranka, a ciało przyciągało ciepłym rozbudzeniem. Laura próbowała ukryć, że nie znosi zimnych stóp, i spięta się, gdy okręcił się wokół niej. Próbowała również ukryć strach przed jego starością. Zawstydziło ją własne pożądanie. Sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli, a dyskomfort stłamsił podniecenie. Chciała się wydostać, ale jej gwałtowne ruchy jeszcze bardziej zakleszczały ją w Brunie, kołdrze i poranku. Nastający świt nagle ją otrzeźwił. Stała się sobą w pełni i w pełni się czuła. Czuła się, bo Bruno ją ożywił, rozbudzał i urzeczywistniał. Dał jej ciało, które wysyłało uciążliwe sygnały istnienia. Było to podobne narodzinom, a przynajmniej tak sobie w tej chwili wyobrażała poród, gdy na nagość ciała spada dotyk świata. I bolał ją ten nieznany dotyk, wykoślawiał nienaturalnie i pogłębiał onieśmienie. Dotykał ją tam, gdzie przecież nie wolno. Słyszała wszystko dokładnie, choć nie powinna, i dźwięk zawstydział ją jeszcze mocniej. Rumieńce zażenowania ginęły jednak pod naciskiem ust i palców. Nie chciała, żeby ją całował. Usta miały gorzki smak śliny, nie potrafiła podążać jego śladem i nieudolnie pocierała o pulchne i śliskie wargi, rozchylane zbyt wcześnie, wędrujące zbyt szybko, zagłębiające się zbyt głęboko, niewygodnie, nieprzyjemnie, mokro.

– Nie musisz mnie całować.

Otworzyła teraz szeroko oczy. Patrzył na nią z tak bliska,



podwójnie, z ciepłym zapachem rozlanym po twarzy. Jaki żywy... Wyglądał jak poranek, który dopiero wyłania się z nocnej pościeli nieba i błyszczy jak polerowany lakier. Schowała głowę w jego szyję, przytuliła go wargami i łaskotała dotknięciem rzes, by nie zasnął. Rozgotowała się w tej kryjówce, dłonią gładziła oczy, czoło, zęby. Skóra na palcach zniekształcała się od śliny i potu skrytego na karku. Bruno pozwalał jej odszukiwać przyjemności, wchodzić tam, gdzie czuła się swobodnie. Zmniejszył uścisk, nie dociskał już zbyt mocno do siebie i wiedział, że to nie jego wina. Jej ucieczka miała w sobie coś z nieśmiałości, dziecinnego zakłopotania, potrzeby odkrywania. Musiała go poznać, nauczyć się, przyzwyczaić. Robiła to z religijnym wręcz namaszczeniem, z szacunkiem i drżeniem. Bruno cierpliwie znosił ten ekstatyczny spacer, bo liczył na nagłe spięcie, które ich scali. Pod palcami czuł już tylko ścięgna i twardą skórę. Laura stwardniała z zawstydzienia i odpychała go kolanami. Alkohol już całkowicie wyparował z żył i zdjął z niej warstwę ochronną. Próbowwała sobie wszystko na nowo przypomnieć, a nieprzyjemne pieczenie ciała dawało jej wyraźne sygnały o tym, co przed chwilą się wydarzyło. Rozejrzała się i znów wróciło do niej to nieznosne wrażenie balastu świadomości. Przez cały ten czas myślała tylko o nim. I Bruno też o nim myślał.

\*

Na przełomie piątku i soboty odbywała się coroczna gala w muzeum figur woskowych, która gromadziła wszystkie najważniejsze osoby w kraju. Poproszono Laurę, by zagrała mały koncert w szczytnym celu. Imprezie towarzyszyć

miała prezentacja nowych rzeźb i tradycyjna licytacja. Tegoroczna gala zapowiadała się spektakularnie, ponieważ odślaniano rzeźbę Henryka, a w dodatku rzekomo potwierdził on swoją obecność. Laura musiała zamienić z nim parę słów i postanowiła wykorzystać nadarżającą się okazję. Myślała, że Bruno w związku z tym również się wybierze, ale tylko wyśmiał jej wiarę w pojawienie się Henryka na takiej gali.

Miała przynieść ze sobą jakąś cenną dla niej rzecz. Nie zamierzała jednak rozstawać się z niczym cennym, więc pomyślała o drugim znaczeniu tego słowa i zaczęła nerwowo spieniężać w myślach swoje osiągnięcia. Szybko okazało się, że projekty, z których była najbardziej dumna, nie zostały nagrodzone, więc wybrała się cichcem do domu obejrzeć dotychczasowe zdobycze. Niektóre pucharki i statuetki porażały swoją brzydotą. Wiły się i splatały w bliżej niezidentyfikowane metafory i zbiorowo ustawione na półce przypominały kolekcję sztuki recyklingowej. Na dodatek ważyły tonę, a w fantazyjnych żłobieniach gromadził się kurz i pająki. Chciała podnieść najstarszą z tej kolekcji, ale wtopiła się w mebel. Za nią Laura zauważyła mały, tandetny mikrofon, zjedzony przez czas, ale z wciąż widocznym wygrawerowanym wyróżnieniem. Pierwsza nagroda w konkursie piosenki wakacyjnej. Uznała, że to świetny pomysł, bo nie będzie jej żal się z nią rozstawać (miała zresztą jeszcze trzy kolejne takie nagrody zdobyte w następnych edycjach), a poza tym wszyscy pękną ze śmiechu. Dmuchnęła w niewielki rząd dowodów swojego talentu i natychmiast pokryła się pierzyną kurzu i wspomnień. Omiotła wzrokiem pokój, który jakby trochę spłowiwał od czasu jej ostatniej wizyty. Wszystko zastygło i obumarło, nawet światło

jakoś zbyt ciemno świeciło. Pomyślała, że zabierze od razu trochę rzeczy, ale wydało się jej to nagle głupie. A może tu wrócić zamiast częściowo się przeprowadzać? Od razu jednak o tym zapomniała. Zrobiła szybki i cichy obchód domu, zajrzała do sąsiedniego pokoju. Wyglądał tak, jak go zastała ostatnim razem. Duszny i czysty. Na biurku wciąż leżał list, pozostawiony tam z nadzieją, że trafi do adresata. Wyszła na palcach, zabierając ze sobą jedynie martwy mikrofon.

Na imprezę miała włożyć sukienkę jednego z obecnych na gali projektantów, ale okazało się... właściwie nie wiadomo, co się okazało, ale sukienki nie dostała. Ktoś, kto do niej w tej sprawie zadzwonił, poinformował ją tylko, że nic się nie stało i pożyczą jej sukienkę innego projektanta, na dodatek tego, którego rzeźba zostanie w ten dzień odsłonięta, więc w zasadzie lepiej być nie mogło. Potem zadzwonił ktoś z pytaniem, czy może zaśpiewać jeden utwór z kimś, kto również pojawi się na imprezie, by odsłonić swojego sobowtóra. Nie dosłyszała nazwiska, ale zgodziła się, bo tak naprawdę telefoniczny głos wcale nie pytał o zdanie, tylko podawał informacje. Lepiej, by Laura nie zdziwiła się, gdy usłyszy gromki chór oklasków oznaczający wejście na scenę drugiej osoby. Mieli to zresztą przećwiczyć, żeby wyszło spontanicznie. Podobno ten ktoś jest jej fanem i na szczęście wykonają wspólnie utwór Laury. Laury wcale to nie uspokoiło, a wręcz przeciwnie, zaczęła się stresować i przez chwilę myślała nawet, by zrezygnować z wykonania tej piosenki. Co byłoby oczywiście nie do zaakceptowania, bo większość ludzi kojarzyła z jej repertuaru ten tylko utwór. Organizatorzy nie chcieli, by śpiewała piosenkę z nowej płyty, bo – jak to dyskretnie określili – strasznie na niej wyła.

Zadzzwoniło jeszcze parę osób z mniej lub bardziej znaczącymi poprawkami do programu, ale każdy z wielką pewnością i profesjonalizmem w głosie zapewniał, że to nic nie szkodzi i nie ma znaczenia. Gubiła się w działach i sektorach, które przekazywały wieści z różnych dziedzin. Czekwała, aż zadzwoni ktoś, kto odwoła przewidywany na ten dzień deszcz, i byłaby skłonna mu uwierzyć.

Na gali zjawiła się wcześniej i zdążyła się najęść. Nie do syta, by zmieścić się w sukienkę. Zgasiła apetyt winem. Odbyła błyskawiczną próbę bez gościa specjalnego i zanim zdążyła się zdenerwować, uspokojono ją, bo wszystko jest pod kontrolą. Udała się więc na zaplecze, gdzie czekała beczynnienie, aż wszystko się zacznie. Słyszała wzrastający gwar, przed oczami rozmazywało się coraz więcej biegających tam i z powrotem kształtów. Ciągłe ktoś ją o czymś informował, przyjęła taktykę pełnego zrozumienia i potakiwania głową, choć rozumiała z tego niewiele, a wersje wciąż się zmieniały. Najwyraźniej pewne osoby zatrudniono tylko po to, by negowały wcześniejsze ustalenia. Poczowała dreszcz podniecenia, gdy zaczęli się zjawiać pierwsi goście. Kelnerzy rozpoczęli szarżę, stoliczki się nakryły, główną salę wypełniły głośne śmiechy i rozmowy. Włożyła swój wieczorowy strój i wieczorową twarz, przywitała się z tymi, którzy przybyli najwcześniej, dzięki czemu miała okazję poparadować trochę przed fleszami aparatów. Odetchnęła z ulgą. Kątem oka śledziła salę i nowych gości, wyłapywała każdą osobę. Wyściskali ją, wytarmosili, wymięli, przydeptali. Dłoń jej ścierpła od uścisków, a twarz zastygła w błyszczącym uśmiechu.

W końcu nadszedł czas uroczystego rozpoczęcia, skierowano wszystkich na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się

rzeźby. Wyznaczono specjalną ścieżkę do poruszania się, ale i tak wciąż ktoś z niej zbaczał, by dotknąć swojego klona. Widok był imponujący – w ogromnych szybach okalających tę kondygnację odbijały się zwielokrotnione twarze ludzi i ich zastygłych sobowtórów. Oświetlono scenę, zaczynało się. Laura zasiadła do pianina. Nabrała powietrza w płuca i wszystko dookoła zniknęło.

Schodziła z podestu żegnana jednostajnym chórem oklasków. Prowadził ją pod rękę gość specjalny, który spisał się poprawnie. Był nudny, ale nie fałszował. Niepotrzebnie się uśmiechał w paru momentach. Jego oklaskiwano nawet głośniej, od czasu do czasu ktoś go poklepywał. Wciąż nie wiedziała, kto to, oślepiona światłami nie mogła dostrzec jego twarzy. W trakcie występu wyobrażała sobie, że go nie ma. Teraz wszyscy się do nich zlatywali, by znów wyściskać, wycmokać i pochwalić. Rumiane twarze informowały o ilości spożytego szampana. Kelnerzy musieli się już dwoić i troić, małe, wąskie kieliszki coraz szybciej traciły zawartość. Z minuty na minutę kontrolowane uśmiechy i delikatne uściski zmieniały się w przypadkowe szturchnięcia i wylewne gesty. Spontaniczny całus. Szczypanie. Za mocno. Za głęboko. Strumieniami lał się alkohol i słowa, głośne rechoty pompowały policzki. Przydeptywano sobie sukienki i stawiano chwiejne kroki na wysokich obcasach. Ulotniły się wspaniałe kwiatowe zapachy, teraz w powietrzu unosił się gorzki aromat goryczy. Rozmazały się szminki i cienie, na twarzach pojawił się naturalny podkład potu. W końcu musiało dojść i do tego, że trudność sprawiało odróżnianie pierwowzorów od woskowych sobowtórów. Sama Laura kilka razy posłała uśmiech lub wręcz nadstawiała policzki do powitania osobom, które okazywały się

zastygłymi figurami. Intensywnie przyglądała się podejrzenie żywym osobom. Na własne oczy widziała, jak ktoś z wielką radością dyskutuje ze swym równie uradowanym odbiciem w szybie. Inny był wyraźnie szczęśliwy, że zastygły rozmówca nie wtrąca się w jego słowotok. Zrobiło się jeszcze ciasniej, bo do sali wciąż napływały osoby uczestniczące w aukcji. Laura zupełnie o niej zapomniała. Nie miała pojęcia, czy mikrofon znalazł nowego właściciela. Dzięki tej chwili otrzeźwienia przypomniła sobie także o prawdziwym celu swojej obecności. Umknęło jej najważniejsze wydarzenie! Skarciła się w myślach, jakże łatwo się ostatnio rozpraszała. Przepchnęła się przez tłum pod sceną, by dotrzeć do stołów z jedzeniem, ale nagle ktoś pociągnął ją za łokieć.

– Laura! Pamiętasz mnie?!

Spojrzała w obcą sobie twarz.

– Byliśmy razem na okładce! Pamiętasz?

Wciąż nie pamiętała, ale przynajmniej próbowała udawać.

– „Nowe talenty”! Pamiętasz?

Tak, okładkę pamiętała, ale nie miała pojęcia, kim jest ta doklejona do niej osoba. Uciekła do stołu z jedzeniem, gdzie poczuła na sobie wzrok pulchnej dziewczyny, przyglądającej się jej z ciekawością. Zaczęła niezobowiązującą rozmowę: „ale gorąco”, „ale impreza”. Dziewczyna wyglądała jednak na nieśmiałą i zagubioną, napełniała swój talerz kolejnymi dodatkami. Była całkiem ładna, ubrana w zbyt kusą sukienkę i brokatowe buciki. Laura miała ochotę wskazać jej drogę do drzwi, by uciekła, póki jeszcze miała na to szansę.

– Moi rodzice są niepełnosprawni – oznajmiła nagle mała, próbując nadziać oliwkę na widelec. – Moja mama nie ma nóg.

Laura się zapętleła i nakładała już piątą łyżkę sałatki. Rzuciła dziewczynie przelotne spojrzenie i dopiero teraz zauważyła, że to raczej dziewczynka. Przypomniała sobie – już ją gdzieś widziała, ale gdzie? Może po prostu natknęła się na jej rzeźbę? Już chciała nałożyć szóstą porcję, ale na talerzu zabrakło miejsca, więc dorzuciła dziewczynce, której teraz szklili się oczy. Chyba nawet nuciła jakąś piosenkę.

– Pochodzę z małej miejscowości – ciągnęła swą historię, choć trudno stwierdzić, czy był to fakt, czy utwór.

Laura powoli się wycofała i wpadła prosto na tancerzy. Próbowali ją wciągnąć do zabawy, ale odmówiła, usprawiedliwiając się brakiem umiejętności.

– Każdy umie tańczyć! – wołali do niej i nagle zaczęli śpiewać.

Zanim udało jej się przedostać w spokojniejszą część sali, zaczął ją elegancki starszy pan, którego początkowo wzięła za kogoś z obsługi. Mówił do niej, jakby doskonale wiedział, kim jest.

– Oszczędźmy sobie tych marnych opowieści – wtrącił wreszcie, ucinając marną opowieść. – Wszystko znajdzie pani tutaj.

Wręczył Laurze swoją biografię i odszedł. W środku był nawet autograf i dedykacja. Laura automatycznie przekazała książkę osobie, która stała obok, ta natychmiast przekazała ją kolejnej, która przekazała kolejnej – i tak w kółko czyjeś życie przechodziło z rąk do rąk, nie wzbudzając większego zainteresowania. Laura już precyzyjnie się na korytarz. Zatrzymała parę osób i zadała im to samo pytanie, ale nie uzyskała odpowiedzi. Przynajmniej wreszcie dotarło do niej świeże powietrze, choć mocno zmieszane z tytoniem, bo obok znajdowała się część dla palaczy. Na

chwilę przystanąła i lekko rozpięła sukienkę, co pozwoliło jej głęboko odetchnąć.

– Laura! Laura!

Głęboki oddech przerodził się w pogłębione westchnienie. Długo nie otwierała oczu, licząc, że w ten sposób kolejny natręt magicznie zniknie, ale już ją dopadł i całował policzki.

– Cudownie zobaczyć cię wreszcie na żywo, skarbie. – Przycisnął ją do siebie, dzięki czemu Laura odkryła jego tożsamość i zmiękła, ale już po chwili zaczęła się wyswo-  
badzać.

– Tato, przestań.

Wiktor westchnął, zaplątał guzik marynarki i potarł czubem buta o spodnie. Wyglądał na zmęczonego, chociaż od jakiegoś czasu przestał się starzeć. Nawet włosy mu nie siwiały, choć broda nieznacznie zszarzała. Zmarszczki tylko ożywiały jego twarz, cały promieniał, gdy się uśmiechał. A uśmiechał się zawsze i to była jego niezwykła zaleta i wada.

– Co się z tobą dzieje, gdzie ty się podziewasz? – zaczął od razu nerwowo i aż poderwał się na palcach, ale szybko przyhamował. – Dlaczego się nie odzywasz?

Laura wciąż nie miała zamiaru się odzywać, więc wykręciła głowę i udawała, że szaleńczo się za kimś rozgląda.

– I możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi z tym całym Brunem? Dziecko, on jest od ciebie dwa razy starszy!

– Przecież nie możesz mi zakazać się z nim spotykać. – Laura wciąż uparcie nie patrzyła mu w oczy.

– A czy ja ci kiedykolwiek czegokolwiek zakazałem? Przecież doskonale wiem, że to by miało skutek odwrotny do zamierzonego – zarechotał i złagodniał.

– Mogłeś tę samą zasadę przyjąć w stosunku do



Sebastiana – powiedziała obojętnie i dopiero teraz skierowała na niego wzrok.

Tylko zaczęła go krótkim spojrzeniem i zaczęła oglądać ludzi po przeciwległej stronie. Wiktor aż napęczniał i przebiegł palcami po kancie marynarki. Podeszło do niego dwóch mężczyzn, gorączkowo go do czegoś namawiali, aż wreszcie wyraźnie niezadowolony pozwolił wcisnąć sobie wizytówkę. Przegonił ich i chwycił Laurę za rękę, bo zaczęła niepostrzeżenie wtapiać się w tłum. Strząsnęła ją z siebie, obróciła się do niego i odezwała się bardzo głośno:

– Muszę porozmawiać z Henrykiem.

Wypowiadając te słowa, jej głos niespodziewanie się załamał, a do oczu napłynęły łzy, które szybko przełknęła. Zaskoczona własną reakcją, nachyliła się do ojca, by nie odczytał jej myśli, i dodała konspiracyjnie na jednym wydechu:

– Henryk na pewno coś wie o Sebastianie i dzięki niemu mogę się też dowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się na planie filmu Lucjana, a poza tym ostatnio przypadkiem, no może nie tak zupełnie przypadkiem, podejrzalam, że Bruno pracuje bardzo intensywnie nad książką, w której ciągle przewija się imię Henryka, to wszystko musi się jakoś łączyć!

Skończyła mówić, ale wciąż stała z policzkiem przy policzku ojca. Nie chciała się poruszyć, bo nagle wszystko się zmieniło i bała się tej przemiany. Wiktor poczuł, że cały się gotuje, ale w porę się uspokoił. Przysunął córkę bliżej do siebie i mocno objął, a jej łzy popłynęły mu za kołnierz. Laura nagle stała się lekka i wiotka. Do tej pory silną wolą i twardymi zasadami przytrzymywała cenne myśli w zamkniętej skrzyni, zaklinowanej pod mostkiem.

Teraz ulotniły się tak prędko, jak prędko iskra rodzi ogień i skacze z miejsca na miejsce. Zacisnęła mocno ręce na szyi ojca. Wiktor dopiero po chwili rozluźnił uścisk i uchwycił jej głowę w dłonie. Uciekała wzrokiem, próbując pogonić ostatnie łzy w kąciaki oczu. Chwilę uważnie się jej przyglądał, wreszcie westchnął i usiadł na krześle pod ścianą.

– Laura, czy ty wciąż prowadzisz to swoje śledztwo?

W tej jednej chwili wszystko nagle wróciło do normy. Wszystkie miękkie emocje Laury zastygły i na moment straciła równowagę. Pożałowała tej chwili słabości.

– To nie jest żadne śledztwo. Nikt nie umarł.

– Wyjechał.

– Bez słowa.

– Znasz go.

– I dlatego się przejmuję! Dziwię się, że ty znosisz to z takim spokojem.

– Bo jestem o niego spokojny. – Wiktor cmoknął i poklepał ją w kolano. – To cały Sebastian.

Laura usiadła obok niego na krześle i głęboko westchnęła. To cały Sebastian. Czyli jaki? Sebastian. Głos Wiktora poniósł się echem po jej głowie jak magiczne zaklęcie. Miała ochotę przebierać nogami ze złości. Nagle do jej myśli wdarły się świeże słowa ojca.

– A Henryk nie przyszedł. I nie przyjdzie. Ani dziś, ani jutro. Prawdopodobnie nie przyjdzie też na własny pogrzeb.

Laura pokiwała głową.

Trwali chwilę zawieszeni w milczeniu, choć zdarzenia dookoła zdawały się przyspieszać czas. Ludzie przechadzali się korytarzem w tę i w tę, robiąc przystanki na pogawędki z innymi przechodniami. Ciągłe ktoś zaczepiał Wiktora, podpici gentlemani ledwo powstrzymywali się,

by nie wyszarpać jego córki za policzki. Wszyscy pamiętali, jak była „oooo taka”, a teraz taka panna wyrosła, piękna, zdolna. Zbierało się jej na wymioty, gdy ucinali uroczę pogawędki z ojcem. Wszyscy świergotali, błyszczeli, wyglądali dostojnie i bogato. Gdyby obedrzeć ich z tych złotek i sreber, zostałaby naga, brzydka prawda. I nie chodziło o drobne zboczenia i nałogi, którymi karmiło się tabloidy, by chronić prawdziwe sensacje. Niektórzy niewiele starsi od Laury, przystojni, mili. Uśmiechnięci i grzeczni, kochani jak domowe zwierzęta. Sympatyczni. Zabawni. Nie dało się ich nie lubić. Podchodzili i łasili się. Wiktor wiedział. Laura wiedziała. Wszyscy wiedzieli. To wystarczało za usprawiedliwienie. Nikt nigdy by się nie przyznał, że podnieca go przynależenie do społeczności, w której wolno więcej. Granice między dobrem a złem stawały się coraz mniej widoczne i istotne, liczyło się wyłącznie, co kto może dać, by ten światek wciąż istniał na swoich zasadach. Zawsze znaleźli się tacy, co w desperacji robili wszystko, i przez tych durni granice przesuwali się coraz dalej. Można było odnosić wielkie sukcesy, zarabiać krocie, mieć wszystko, zwariować, umrzeć. Adrenalina, jakiej dostarczało obcowanie z tym środowiskiem, stanowiła najsilniejsze uzależnienie. Flesze aparatów oczyszczały. Świadomość, że oni wszyscy też wiedzą, działała jak musujący lek na uspokojenie. Zwalniała z odpowiedzialności. Akceptacja występków stanowiła prawo. W dobrym tonie było zrobić coś złego, by inni mogli to potem bez wyrzutów powielać. Taki precedens. Podczas ubijania interesów wszyscy natychmiast trzeźwieli, ale potem, wiedzeni instynktem, powoli opuszczali budynek, by przenieść się do pulsującego o tej porze Miasteczka Miłości, słynnej

na całe miasto dzielnicy rozpusty, wylęgarni koszmarów. Umysł spętany alkoholem zawsze prowadził w to miejsce. Laura trafiła tam raz w życiu, gdy gorączkowo przeszukiwała wszystkie miejsca skrywające jakąś tajemnicę o Sebastianie. Zaraz po przekroczeniu bramy znalazł się przy niej osobliwy przewodnik, który chciał jej przedstawić wszystkie atrakcje turystyczne. Twierdził, że poznał Sebastiana. Bardzo. Ale Sebastian od pewnego czasu ponoć przestał się pojawiać. To, co wtedy Laura widziała, na zawsze wpiło się w jej pamięć i pulsowało różnokolorowymi światłami, gdy odświeżała wspomnienia. Stopniowo oburzenie wypychała narastająca fascynacja tym miejscem. Im dalej od bramy, tym dalej od rzeczywistości. Jak sen. A ona uwielbiała śnić. Zadziwiające, jak zmieniały się relacje i stosunki, gdy tylko udało się komuś przedostać na drugą stronę. W niepamięć szły konflikty i urazy, choć odradzały się natychmiast po powrocie do rzeczywistości. To tam, już bez skrepowania, działy się rzeczy tłumione w trakcie codziennej pracy. Naturalnie zgodnie z niepisaną umową wszystkie wydarzenia z Miasteczka zostawały w Miasteczku. Wniknięcie w struktury, układy, pokątne interesiki i biznesiki dawało przejrzysty obraz funkcjonowania tej najpopularniejszej dzielnicy miasta. Nikt nie był poszkodowany, lecz gdyby rozniosła się najmniejsza plotka, ucierpieliby wszyscy.

Laura popatrzyła na Wiktora i długo go obserwowała. Ciągle ktoś podchodził i go zaczepiał. Kłaniali się nisko, poklepywali, nawet z daleka uśmiechali się i machali. Nie potrafiła ukryć uczucia dumy z racji posiadania takiego ojca – szanowali go wszyscy najważniejsi ludzie w kraju. Jako jego ukochana córka czuła się tym bardziej

wyróżniona. Kochała go wtedy inaczej. Lepiej, ważniej, wznioślej. Zbierało jej się wtedy na szczerość, czego potem niejednokrotnie żałowała.

Wreszcie zostali sami, Wiktor jeszcze na migi odpowiadał komuś, kto wychodził. Laura w tym czasie zebrała się w sobie i odważyła się spytać na głos:

– Może pomógłbyś mi zorganizować spotkanie z Henrykiem? Tobie nie odmówi.

Gwałtownie odwrócił się do niej i popatrzył jej w oczy tak intensywnie, że musiała się poddać i spuścić wzrok.

– Ile razy powtarzałem: nie wtrącaj się w moją pracę.

– Sebastian się wtrącał? – spytała prawie szeptem, ze wzrokiem wbitym gdzieś pomiędzy swoje a ojca buty.

– Powiedziałem coś! – Wiktor podniósł głos, ale nie był wściekły.

– Dobrze, dobrze, przepraszam! – Zasłoniła sobie uszy i pokręciła głową. – Więcej cię o nic pytać nie będę.

Złagodniał i chyba poczuł się głupio. Niepotrzebnie się otworzyła. Mogła się przecież spodziewać takiej reakcji, ale nie potrafiła utrzymać nerwów na wodzy i palnęła niepotrzebne głupstwo. Na szczęście Wiktor miał zbyt dużo na głowie, by zacząć o tym wszystkim rozmyślać. Dobrze, że nie pociągnął wątku Bruna, bo mógłby ją łatwo doprowadzić do powiedzenia prawdy. A wtedy wszystko poszłoby lawinowo. Czemu jednak nie chciał wiedzieć więcej? Może domyślał się prawdy? A może sam miał coś na sumieniu? Może on też powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś? Znowu zakręciło się jej w głowie od nadmiaru informacji. Powinna istnieć w umyśle jakaś naturalna blokada, która po przekroczeniu zdrowej dawki nowych wiadomości odcina dopływ kolejnych.

– Pracujesz już nad nowym materiałem? – wtrącił nagle Wiktor bardzo łagodnie.

Laura chwilę przyglądała mu się, wciąż zatopiona myślami w poprzednim temacie. Kiedy dotarli do niej nowe słowa, prychnęła i wtuliła twarz w dłoń. Powoli rozsunęła palce i odparła z rozżaleniem:

– Wszyscy mnie o to pytają, od kiedy wydałam nową płytę. Tak jakby druga, z chwilą gdy się pojawiła, przestała mieć znaczenie. Kiedy nowa płyta, kiedy nowa płyta. To wszystko, co teraz słyszę. Cześć, kiedy nowa płyta? Co słyszać, kiedy nowa płyta? To będzie sześć pięćdziesiąt, a kiedy nowa płyta?

– Laura, kochanie. – Wiktor powiercił się na krześle i objął ją ramieniem. – Nie przejmuj się. – Przytulił się do jej policzka i szturchnął ją uśmiechem. – Wiesz, wydaje mi się, że powinnaś na chwilę przystanąć i zapomnieć o wszystkim. I o wszystkich.

– Nie umiem zapominać na zawołanie. W ogóle nie umiem zapominać. Wszystko pamiętam.

– Dlatego powinnaś odpocząć. Naprawdę odpocząć. Gdzie ty się tak spieszysz?

Do oczu Laury znów napłynęły łzy i musiała się nachylić, by je szybko i niepostrzeżenie strząsnąć. Rozklejała się przy każdym najmniejszym wysiłku emocjonalnym.

– Dlaczego nas już nie odwiedzasz?

– Bardzo was kocham i wolałabym, by tak zostało – odparła, wciąż nachylona nad podłogą.

– Wiesz, jakie to ma znaczenie dla mamy – drażył Wiktor.

Laura zarumieniła się i zezłościła. Na siebie i na Wiktora. Na Wiktora, bo wywołał w niej poczucie winy. Na siebie, bo faktycznie była winna. W ogóle przestała się odzywać do

mamy. Wstyd, w ogóle nie przyszło jej do głowy, by sprawdzić, co u niej. Zawsze były ze sobą blisko i wydawało się jej, że kiedy wreszcie się oddali od domu, ta bliskość na zawsze pozostanie. Zignorowała informację o pogorszeniu się jej stanu, a później poczuła się z tym bardzo głupio i tym bardziej nie mogła nic zrobić. Nie umiała z nią rozmawiać na poważne tematy, wołała omijać szerokim łukiem wszystkie ważne wydarzenia ze swojego życia. Nie chciała jej niepokoić, ale najmocniej wstydziła się tego, że kiedy opuściła dom i matkę, poczuła ulgę.

Matka, Anita, niegdyś wielka gwiazda. Błyszczała intensywnie, ale za krótko. Laura знаła ten okres tylko ze zdjęć oraz ze sławnego filmu, który przyniósł Anicie rozgłos. Jedyne, w którym zagrała. Wciąż gdzieś odżywały obrazy z tamtych lat. Już pierwsze wspomnienia Laury o matce zabarwiły się chorobą. Anita z czasów największych sukcesów stała się dla niej kimś zupełnie obcym, niepodobnym do matki. Nie potrafiła połączyć tych dwóch sprzecznych obrazów, nie traktowała tamtej osoby jak kogoś bliskiego. Rzadko o niej opowiadała. Czasem, gdy ktoś odkrył ich pokrewieństwo, przyjmowała słowa uznania, pochwały i gratulacje, ale nie miały one dla niej żadnego znaczenia, bo jej matka wiązała się tylko z tą drugą osobą. Zdarzały się takie tygodnie, kiedy nie mogła z nią rozmawiać, bo Anita tylko leżała w swoim pokoju. Innym razem odwiedzała ją w Centrum Zdrowego Myślenia, gdzie uczestniczyły wspólnie w zajęciach artystycznych i sportowych i gdzie mama przebywała teraz coraz częściej. Gdy wpadała w dobry nastrój, starała się ze wszystkich sił być wspaniałą matką. Walczyła o siebie nieustannie, ale w jej umyśle mieszkwały same sprzeczności. Sama robiła sobie krzywdę w zaciszu

własnego ciała. Gdzieś pod skórą, gdzie nie sięgały oczy wszystkich specjalistów. Laura nauczyła się nastrojów mamy. Kiedy wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, Anita się poddawała. Jakby ciągłość w przeżywaniu radosnych chwil oznaczała taką samą udrękę, z jaką wiązało się pasmo smutku. Ilekroć uzyskiwała stabilizację, przypominało to raczej siedzenie na bombie zegarowej. Laura przestała wierzyć, że Anita zostanie kiedykolwiek w pełni wyleczona. Samo leczenie stało się sensem, sposobem na życie. Choroba matki była dla Laury czymś zupełnie normalnym.

Rozmowa się urwała, bo do Wiktora znów ktoś podszedł, odciągnął go na bok i zaczął coś gorączkowo tłumaczyć. Laura ujrzała na twarzy ojca uśmiech, uśmiech rozpaczy, zwiastun tragedii. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i zapomnieć o tym wieczorze, o pełnej kłęsce. Oczy piekły ją od łez, oddech przesiąkł papierosami i drażnił krtań. Wstała i szybko ruszyła w przeciwnym kierunku, a po drodze gubiła resztki sił i chęci. Ktoś chwycił ją pod ramię i zaprowadził zygzakiem w kierunku drzwi, gdzie stał już tłum gotowy, by zagłębić się w noc.

\*

Ona teraz ciągle budziła się zła. Napięcie było nie do zniesienia. On kradł jej sen, kot nie pozwalał drzemać w ciągu dnia, a z samego rana odzywały się telefony. Brakowało jej czasu na tworzenie nowego materiału. Trasa koncertowa się skończyła, płyta się sprzedała, ograła i zużyła, a masa wciąż domagała się jej obecności. Laura czuła, że też się skończyła, sprzedała, ograła i zużyła. Chciała śpiewać,



ale nikt nie słuchał. Słuchali, ale ona nie chciała mówić. Miała coś ważnego do przekazania, ale nie umiała tego ubrać w płytę.

Istniała teraz w kilku wersjach, które dla własnych potrzeb stworzyły sobie różne środowiska. Przedłużeniem sukcesu okazało się nadanie statusu celebryckiego i celebrowanie wszystkich wydarzeń jej życia osobistego. Sama powoli zaczęła się gubić w tych tożsamościach i nie pomagał jej fakt, że wszyscy wkoło prychali na plotkarskie doniesienia, ale w głębi im wierzyli. Czuła nieustający nacisk, by wydać kolejną płytę, co wzbudzało w niej lęk. Zagłuszała go przyjmowaniem propozycji wymagających minimalnego zaangażowania. Chciała ciągle istnieć w sferze publicznej, paraliżowała ją myśl o nagłym odejściu w zapomnienie. Była naiwna, ale zawzięta, i głęboko wierzyła w kolejny sukces. Po prostu odkładała go w czasie. Żyła w ciągłych rozjazdach i zajazdach, zmieniała miejsca, czasy, strefy. Z gorzką satysfakcją oglądała się na okładkach pism. Czasem musiała przeczytać podpis, by dowiedzieć się, że to faktycznie ona. Dbała, by błyszczeć. Pilnowała, by być. Jej kalendarz zapełniały terminy dementowania plotek, wypowiedzania się na obce jej tematy w roli specjalisty i wszelkiego rodzaju medialna obecność zapewniająca stabilizację finansową. Straciła talent, ale zyskała markę. Była rozpoznawalna i szeroko komentowana. Zapominała dzięki temu, jak bardzo czuje się niespełniona.

Bruno wypadł z wprawy. Coraz więcej czasu spędzał na strychu pokrytym grubą warstwą kurzu ze startych myśli, które rozpadały się ze starości. Legły tezy, upadły pomysły. Zmęczyła go młodość i nowość, wszystko się uaktualniało, ruszało, unosiło. Zapanowała dziwna lekkość, jakby nagle

każdy problem mógł być rozwiązany za pomocą jednego kliknięcia. Wszystko stało się klikaniem, ułatwianiem i zmniejszaniem, wybielaniem albo oczernianiem. Bruno przyglądał się tej uporczywej minimalizacji i czuł się jak skamielina. Tylko czekał, aż i jego doprowadzą do postaci cyfrowej i będą przywoływać kliknięciem. Laurę znał już tylko w takiej formie. Prościej ściągało się ją z internetu niż z aktualnego miejsca jej pobytu. Właśnie postanowiła wrócić, by wreszcie na poważnie zająć się trzecią płytą. Głośno to powtarzała, ciągle o tym mówiła i chyba głęboko ufała, że płyta po prostu nagle się pojawi. Próbowwała już wiele razy, wyjeżdżała w poszukiwaniu kolejnych inspiracji i tak bez końca inspirowała się na krańcach światów. Teraz miało być ostatnie podejście. Wyznaczyła sobie nawet termin, na tyle odległy, by mogła spędzać czas na histeryzowaniu.

– Bruno, możesz tu przyjść?

Jeśli już pojawiała się w domu, to i tak pozostawała nieobecna. Zamykała drzwi lub oczy i już jej nie było. Kontemplowała albo spała. Zagłuszała wyrzuty sumienia. Stała się nieznośna, marudna i wybredna. A może zawsze taka była? Bruno nie znał jej za dobrze, a teraz miała zbyt wiele twarzy. Odkąd spulchnił ją sukces, ciężko było się przebić przez jego grube warstwy, by dostać Laurę w czystej postaci. Jej myśli filtrowało teraz sito kariery, każde wypowiedziane zdanie stawało się kreacją. Jednocześnie zmagająca się z kryzysem twórczym. Tak bardzo chciała wydać kolejną płytę, aż stało się to zadaniem niewykonalnym, wykraczającym poza ludzkie możliwości. Pisanie nowych kompozycji nabrało mistycznego znaczenia, wciąż czuła się niegotowa. Wydawało jej się, że każdego dnia zyskuje jakąś dodatkową wiedzę, dzięki której będzie mogła stworzyć dzieło lepsze.

Bierność stała się jej główną aktywnością. Bruno patrzył na jej zmagania z bezsilnym spokojem. Choć ukrywała się przed nim, jej umysł pozostawał przezroczystry. Mógł czytać każdą nowo narosłą myśl, wątpliwość, znikające załączki pomysłów. Nie chciała z nim rozmawiać, ale zdradzała się gestami. Wysyłała sygnały o pomoc.

Łazienkę wypełniały kłęby ciężkiej pary, Bruno z trudem dotarł do wanny.

– Pomóż mi rozplątać włosy.

Wyprostowała się i odwróciła tyłem. Grzebień z trudem przepuszczał splątane kosmyki. Nigdy nie zwrócił uwagi, że są takie długie. Gdyby miał ją opisać, zaczęłby od włosów sięgających ramion. A może tak właśnie wyglądała, gdy się poznali? Zapamiętał pierwszy obraz, ten obraz wpił mu się w pamięć i trwał niezmienny do teraz. Ciągnął ją zbyt mocno, ale nie reagowała. Z czoła zaczęły mu spływać krople wody. Laura otworzyła oczy i Bruno postanowił wykorzystać tę rzadką okazję jej obecności.

– Wiesz, dlaczego nie możesz rozpocząć trzeciej płyty? – Spodziewał się, że to pytanie ją zdenerwuje, ale tylko odwróciła się do niego bokiem. – Bo zaczęłaś myśleć. Pierwszą płytę wydałaś, bo niczym się nie przejmowałaś. Druga była wciąż podsycana entuzjazmem po sukcesie pierwszej. A trzecią chcesz coś udowodnić. Odkąd zaczęłaś myśleć, wszystko idzie w złym kierunku. Nie wymyśliś jej.

Gdy wstawała, włosy gładko przedostały się przez zęby grzebienia. Poprosiła go o ręcznik i startła krople z jego twarzy, patrząc mu w oczy.

– Czy mógłbyś wyjechać na parę dni?

– Czy mógłbym wyjechać na parę dni?

– Mógłbyś?

– Mógłbym? – Objął ją w pasie i wyciągnął z wanny. – Mógłbym? – powtórzył pytanie.

Laura od początku wiedziała, że będzie ją zniechęcał do podejmowania wysiłku umysłowego. To siebie mianował tym mądrym, ona miała być młoda i spontaniczna. Nie chciał partnerki do dyskusji, prowokatorki nieznosnych pytań. Już to przeżył i chyba przeżył to mocno. Przetarła lustro dłonią, by nie patrzeć mu bezpośrednio w twarz. Miała wrażenie, że Bruno jest trochę spleśniały. Nażarł się tych wszystkich półżywych tez i historii, a potem zwrócił je w postaci małych zombie. I one teraz lepią się do wszystkiego i psują. Jest taki stary, za stary na swój wiek. Jakby już dwa razy przeżył siebie i powrócił na nowo, na młodo, bo ma teraz Laurę obok i ona odejmuje mu lat. Ale wciąż pokrywała go cienka, zielona skórka pleśni. Jego wiedza się rozkładała i rozłaziła dookoła. Śmierdziało przez to stęchlizną w całym domu, nie mogła już tego znieść.

– Wiesz, dlaczego nie mogę rozpocząć trzeciej płyty? – zrobiła krótką pauzę, ale on wiedział, że nie czeka na odpowiedź. – Bo ty tu jesteś. – Odwróciła się, spuszczać jednak wzrok na mokrą podłogę. – Bo zapewniasz mi poczucie bezpieczeństwa. Jesteś wszystkim tym, czego potrzebuję, niezmiennym punktem na mapie mojego życia. Nie mogę tak z tobą za ścianą, w łóżku, kuchni – podniosła nagle gwałtownie głowę i zmieniła ton – wtedy wszystko znika z mojego umysłu. Do pracy potrzebuję twojej nieobecności. Samotności w najsamotniejszym tego słowa znaczeniu.

Bruno odchylił się mocniej, niż przewidywał, i aż usiadł na wannie.

– Dlaczego po prostu sama znów nie wyjedziesz?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Ja nie mogę stąd teraz wyjechać – odpowiedziała błyskawicznie, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Bruno spojrzął na nią bezradnie. Zauważyła to i natychmiast się zirytowała.

– Bruno, jak ty nic nie rozumiesz!

Faktycznie nic nie rozumiał i nawet nie próbował zrozumieć.

– Po prostu jedź. Teraz tylko siedzisz w domu i nie widzisz, jak wszystko dookoła się zmienia. Nie nadążasz. Umrzesz, jak tak będziesz siedział bez celu. Wrosłeś w podłogę, nie wychodzisz z domu, nie widzisz świata. Znajdź sobie jakąś konferencję, jakiś festiwal, wszędzie cię będą chcieli. – Ożywiła się nagle i wybiegła nago z łazienki. – Oni chcą cię bez przerwy!

Weszła do pokoju i zaczęła nerwowo przerzucać rzeczy na biurku. Bruno wbiegł za nią i chciał ją powstrzymać, ale odpychała go łokciami.

– Już mam, już mam! – Wyprostowała się i pomachała mu jego telefonem przed nosem. – A teraz go włączę i...

Telefon powoli się rozbudzał. Laura ścisnęła go w wyciągniętej ręce, z której ściekały resztki piany. Ekran zmieniał kolory i obrazki, niespiesznie szukał zasięgu. Gdy tylko w pełni się uruchomił, zawibrował wściekle w jej dłoni i zdążył wypuścić tylko jeden krótki sygnał, nim wyłądował przy jej uchu.

– Tak, słucham! Dzień dobry! Tak, tak. Oczywiście! Jutro? Doskonale! Będzie. – Rozłączyła się i telefon znów zadzwonił. Laura tym razem odrzuciła połączenie. – Oni chcą cię bez przerwy, Bruno. Ty też chcesz. Chcesz się trochę odciążyć.

Jedź i zobacz, jak wygląda świat. Odśwież trochę mózg, przecież to twoje narzędzie pracy.

Gdy tylko Laura oddaliła się z powrotem do wanny, natychmiast wyłączył dzwoniący telefon. Powoli wypuścił z siebie powietrze i skierował kroki w stronę łazienki. Za późno, Laura powróciła do kontemplacji. Radosne chlupotanie wody przedostawało się pod drzwiami wraz z chmurkami piany. Bruno wrócił do pokoju, ale zaraz wyszedł i udał się do kuchni. Nakarmił kota i opuścił mieszkanie. Laura wraz z trzaskiem drzwi przestała chlapać i szybko wyszła z wanny. Wytarła się niedokładnie, narzuciła szlafrok, dała sobie jeszcze parę sekund i powoli wyszła z łazienki. Nim zdążyła zrobić jeden pełny krok, kot już wtrącił się pod nogi. Nienawidziła tego kota od samego początku. Miała wrażenie, że jest mądry. Że wie. I to ją przerażało, spojrzenie jego jasnych oczu przeszywało na wylot. Na pewno myślał o niej źle. Wyśmiewał ją tym spojrzeniem, a ona, zmieszana, szybko i niby celowo odwracała wzrok. Często też wychodziła z pokoju, gdy wskakiwał mu na kolana. Na pewno wiedział. Wiedział więcej niż ona. O wszystkich jej planach, myślach i lękach. O powodzie, dla którego tu była. Wiedza zamknięta w ciepłym pluszu, niewydostawalna. Brzydziła się go. Widziała w nim jego tęsknotę. Namacalny dowód obecności Julii w tym domu. Nie było po niej żadnego śladu w mieszkaniu, wszystko odłożyło się w tym pluszu. Nie chciała tak myśleć, ale to dopadało ją niespodziewanie, zatrzymywało w domowych czynnościach, aż nagle otrząsała się i w pogardzie dla samej siebie robiła odganiający ruch ręką, ściągając z siebie odpowiedzialność za nieczyste myśli.

Z początku nawet jej to odpowiadało. Uznała to za niezbędną kototerapię. Wtedy gdy Bruno jeszcze

niezauważalnie walczył, gdy tak pięknie kłamał, że dobrze się stało, jak się stało. Kot uziemiał, sprowadzał do jedzenia, spania, pieszczot. Wymiaukiwał pory dnia, zimnym nosem przeganiał z niego tę pierwszą, poranną myśl, z której on otrząsał się z takim trudem. Musiał wbudzić się w kolejny dzień wymyty z jej osoby. Musiał wypełniać jej kontury Laurą, na nowo szkicować te poznawane dopiero rysy, te charakterystyczne wgłębienia i znamiona. A Laura odliczała dni do odpowiedniego momentu, by móc wprost o nią spytać. By móc nazwać ją po imieniu. Powinna to zrobić już na samym początku, w pierwszym zdaniu, przy przedstawieniu się. Teraz z dnia na dzień było coraz gorzej zmusić się do tak nagłego zwrotu w przeszłość. Teraz – gdy się tak nagle rozżyli razem. Ona swoje, on swoje, ale połączeni. Postanowiła to ukrócić i podjąc wreszcie ten temat, gdy tylko Bruno powróci ze spotkania. Czuła, że już więcej nie wytrzyma tych podchodów. Musiała tylko znaleźć jakiś dobry powód.

Przez pierwszą godzinę po prostu siedziała w jego pokoju i rozglądała się. Może przypadkiem coś wypatrzy, może nawet coś jej samo spadnie pod nogi i nie będzie musiała się potem tłumaczyć. Ciało swędziało ją od nagle rozbudzonej chęci, by przeczesać każdy kąt. Teraz nie miała już wyjścia. To była odpowiednia i jedyna okazja, by wreszcie zacząć działać. Codziennie rugała się w myślach, że się zauroczyła, zamiast natychmiast wyjaśnić sprawę.

Po drugiej godzinie podeszła do regału i wstrząsnęła nim. Natychmiast posypały się dojrzałe tomy, niektóre straciły przy upadku okładki, inne treść. Wypełżyły ukryte notatki, ujawniły się zapiski na marginesach. Uniósł się delikatny zapach wiedzy. Kilka książek zostało na półkach,

wyglądały, jakby zrosły się z regałem. Laura mogłaby uwierzyć w to, że Bruno faktycznie je sobie wyhodował. Ciągle rzucał gdzieś ziarenka myśli, które potem kwitły w tym jego małym sadzie. Ostatnio coraz więcej pojawiało się tam chwastów. Obrastały i krępowały jego piękny umysł. Bruno chciał gonić czas, nadążać i zauważać, ale jego korzenie tkwiły zbyt głęboko, by móc swobodnie przenieść się w inne czasy, na inny grunt. Żył życiem już przeżytym przez innych. Był za mądry. Sam wciąż powtarzał, że jest przewlekłe nieszczęśliwy z powodu swej inteligencji. Bo – jak zwykł mawiać na jednym wydechu – jednym z nieszczęść towarzyszących wielkim inteligencjom jest to, iż z konieczności rozumieją wszystko, równie złe jak dobre. Tak samo jak olbrzymie zasoby talentu służą przeważnie temu, aby unieszczęśliwić swego posiadacza, co uwielbiał dodawać na koniec każdej rozmowy z Laurą. Potem przestał, bo słowa stały się ciałem. Mówił teraz głównie cytatami. Żył sobie gdzie indziej, gdzieś we własnym towarzystwie, bo je lubił najbardziej. Wciąż pisał, ale raczej w próżnię, produkował tysiące stron, stawiał przypadkowe zdania, burzył porządki chronologiczne i logiczne, dawał tylko upust swoim myślom. Musiał je zwracać, bo gniły. To Laura zachęcała go, by pisał, by pisał bez celu i powodu, żeby nie spleśniał. Wyjeżdżała, bo nie mogła znieść jego widoku. Wracała, bo nie mogła wytrzymać bez tego widoku. On ją uziemiał, sprowadzał na twardy grunt, brutalnie oskubywał ze złudzeń, którymi Laura obrastała w krainie sławy. Potrafił to zrobić jednym zdaniem, a czasem jednym spojrzeniem. Nauczyła się ich na pamięć i często uciekała wzrokiem, bo wiedziała, co chce jej przekazać. Zachowywała się jak dziecko i czuła się z tym swobodnie. Dzięki prostym reakcjom i odruchom,



kaprysom i dąsaniu mogła w prosty sposób wypróżnić się z jadu. Musiała czymś zastąpić chwilowy brak talentu. Trzeba było jakoś się bronić. Uczyła się siebie na pamięć. „Ile razy musisz powtórzyć, kim jesteś, zanim staniesz się takim naprawdę?” – spytał ją kiedyś Bruno z patosem w głosie, a potem powtarzał to pytanie tysiące razy tym jednym, przenikliwym spojrzeniem. Ona lubiła się stawać. Uciekać od siebie, by siebie najbardziej przypominać. Szukała odpowiedniego wcielenia. Przymierzała, zmieniała, próbowała, odrzucała. Potem zastanawiała się, które z nich to oryginał. Już nie potrafiła jednoznacznie tego stwierdzić. Czy jej reakcje były naturalnymi odruchami organizmu, czy wyuczonymi gestami? Nie wiedziała i bała się, że ludzie mogli ją odbierać jako nieszczera i zepsuta. Więc jeszcze mocniej się starała, gubiąc gdzieś w tym wszystkim cel. Cel jej umykał, ale nie dopuszczała tego faktu do świadomości. Nie chciała się rozplakać, bo musiałaby już płakać bez końca.

Wstała z podłogi i rozpoczęła szarżę. Wcisnęła się między wszystkie półki, półeczki, szafki. Starła kurze z najwyższych mebli i zebrała sierść z podłogi. Wytarła kolanami każdy kąt. Odkryła żółte plamy za obrazami. Weszła w pościel, zwiedziła pudła. W chwili desperacji zawinęła się w firankę i zasnęła. Zbudził ją kot, który wspiał się po niej aż pod sufit. Przegoniła go kichnięciem i sturlała się na podłogę. Zaczęła płakać, ale szybko przerwała, bo jej nie wychodziło. Długo wzdychała, rozciągała się, jęczała, wreszcie podniosła się z podłogi i usiadła za biurkiem. Pod klawiaturą znalazła wsuniętą kopertę z jej imieniem zapisanym na samym środku. Czekwała, aż zawartość koperty sama do niej wyjdzie. Chwilę przesuwała palcem po krawędzi kartki, w końcu odważyła się i gwałtownie wyszarpnęła

treść ze środka. Wypadła jeszcze jedna wiadomość, mały kartonik z krótką informacją:

*Przepraszam, że tyle czekałem.*

*Bruno*

Laura wzięła teraz do ręki plik listów. Wyciągnęła pierwszy z brzegu. Zapadał się w dłoniach, składał i uciekał. Jeszcze nie zauważyła słów, ale już przewidziała przyszłość. Zaciśnęła wszystkie mięśnie i przystąpiła do czytania. Odłożyła kartkę i wzięła kolejną. I kolejną. I kolejną. Wszystkie zawierały mniej więcej taką samą informację:

*Najdroższa Julio,*

*smutno tu i obco! Proszę, wróc do mnie. Jeśli nie chcesz, przyjadę znów do Ciebie.*

*Twój*

*Sebastian*

Zapadła cisza, choć cicho było cały czas. Jakby skończyła się płyta, jakby książka urwała opowieść. Coś niespokojnego zawisło w pokoju i trwało ciężko, głęboko. Pękał sufit, pękały ściany. W milczeniu runął dach. Na palcach skradały się ruiny. Wielkie bloki upadały jak puch. Za oknem stopiły się wieżowce. Chmury wciągały okruchy. W ciepłe kałuże kładły się resztki miasta. Bez słowa, w cieniu. I tak powoli, cierpliwie i w skupieniu łuszczyły się wszystkie konstrukcje świata.

Laura złożyła ostatni list na pół. A potem znów na pół. I jeszcze raz. I jeszcze. I raz. Trzymała teraz w dłoni ułamek. Odprysk, pył, nic. Usiadła, by wstać. Weszła do kuchni i otworzyła lodówkę, umyła ręce w łazience, spojrzała przełotnie w lustro, ale nikogo nie zobaczyła. Przeszła przez przedpokój i szła nim latami. Weszła do jakiegoś pokoju i zamknęła dokładnie drzwi, bo chciała być sama, w najsamotniejszym tego słowa znaczeniu.

\*

Głównym gościem spotkania była cisza. Wszyscy siedzieli w równych rzędach i wyglądali poważnie. Każdy delikatny ruch i niechciany dźwięk zawstydział, szelest kartek brzmiał jak uderzenia dzwonu. Nikt nie szeptał, zresztą większość ludzi i tak przybyła samotnie. Bruno ogarnął wzrokiem salę i z lekkim smutkiem stwierdził, że nie ma nikogo nowego. Te same mądre twarze, pomarszczone wiedzą. Spojrzał na prawo. Siedzą ci w za dużych marynarkach. W śmiesznych okularach powiększających oczy. W zamszowych butach ze zdartymi czubami. Rozpuszczone włosy układają im się na boki przez nieeleganckie przedziałki. Spojrzał na lewo. Siedzą w skórzanych kamizelkach, przetartych i brudnych. O nieprzyjemnym pocie, wypiętym brzuchu i brzydkich dłoniach. Siedzą tak inteligentnie. Z bystrością i ostrością. Wiedzą w każdym geście. Czyli nic nowego dziś nie powie, wskrzesi tylko zbędny ciąg pytań. Podnieci dyskusję, która zelektryzuje całą widownię, a jego znudzi. Pod koniec będzie już mógł wyjść, bo rozmowy toczyć się będą między rzędami. Wszystkie twarze się zaczerwienią i będą mówić ważne głupoty na tematy uniwersalne. Zacznie się wyścig

słów i żonglerka tez. Ktoś powie coś, co właśnie przeczytał, inny przytoczy swoje przemyślenia sprzed dwustu lat. Bruno poczuł się zmęczony, tak okropnie zmęczony.

Nagle ktoś klepnął go w ramię i szarpnął dłońią na powitanie. Spojrzał na znajomą twarz, którą zdobił wielki uśmiech.

– Bruno! Własnym oczom nie wierzę. Wszyscy myśleli, że już nie pojawisz się wśród żywych. Chciałem nawet przyjmować zakłady, ale całe szczęście tego nie zrobiłem, bo musiałbym sprzedać wydawnictwo, żeby wszystkich spłacić.

Uśmiech rozjechał mu się od ucha do ucha i uformował jego policzki w rumiane kulki. Bruno też się uśmiechnął i prawie się przez to rozpadł. Poczuł, jak przez jego ciało przebiegła linia pęknięcia. Wiktor długo świdrował go roziskrzonymi oczami, jakby chciał wyssać z niego wszystkie potrzebne mu informacje. Nachylił się teraz do Bruna i szybko wyszeptał:

– Co się z tobą dzieje, gdzie ty się podziewasz? Dlaczego się nie odzywasz? – Rzucił okiem na zapełnioną salę i dodał: – I czego chcesz od Laury? To jeszcze dziecko! Poza tym chyba coś sobie ustalaliśmy w sprawach rodzinnych.

Fala gorąca omiotła Bruna i chyba dotarła również do Wiktora, bo nagle gwałtownie się odsunął. Chwilę patrzyli na siebie w nerwowym napięciu, wreszcie Bruno nie wytrzymał:

– Co wiesz o dzienniku Julii? Masz go?

Wielkie westchnienie uszło Wiktorowi nosem, przycisnął dłoń do czoła i zamknął oczy. Pokręcił głową i powiedział coś do siebie. Otworzył jedno oko i powoli podniósł wzrok na Bruna, mając nadzieję, że ten już zniknął.

– Nic nie wiem o żadnym jej dzienniku. – Otworzył drugie oko i wyprostował się. – Powtarzam ci po raz drugi i ostatni. Coś ty się tak uparł? Laura ci coś powiedziała? – Wiktor udał rozbawienie. – Ona ma swój cel i zrobi wszystko, by go osiągnąć. To mała, urocza manipulatorka. Uważaj na nią, dobrze ci radzę.

– A wiesz coś o romansie mojej żony z twoim synem? – wybuchnął Bruno podnieconym szeptem, nie zwracając uwagi na słowa Wiktora.

– No i masz! – parsknął śmiechem.

Choć próbował się uśmiechnąć, usta wykrzywił kwaśny grymas. Na jego białej twarzy wyrosły nagle ogrody zmarszczek. Wybałuszyły się zielone i czerwone żyłki, skronie napuchły. Czas na chwilę stanął, jak to zwykle robił w chwilach nieznośnego napięcia, a przez ten moment zdążyła się narodzić kolejka pytań i wątpliwości. Wydało się, że zaraz nastąpi katastrofa, ale Wiktorowi udało się wreszcie radośnie roześmiać. Potrząsnął głową i jego twarz wróciła do poprzedniego stanu.

– Bruno, Bruno... – odchrząknął i zaczął mówić. – Wiesz, gdybym wiedział, że zaangażujesz całą moją rodzinę w proces powstawania tej książki, to nigdy bym ci nie zlecił jej napisania. – Pokręcił głową i pogroził mu palcem.

– A da się ją w ogóle napisać bez angażowania całej twojej rodziny?

Wiktor popatrzył na niego przelotnie i kontynuował przerwana myśl:

– I chyba już to sobie wielokrotnie wyjaśnialiśmy, prawda? Na razie zamrażamy cały proces. Dopóki Henryk żyje i wciąż tworzy. Nie chcę więcej słyszeć, że pracujesz nad czymkolwiek, co zawiera choćby zdanie o Henryku.

Napisz sobie coś innego, bo ja tego nie wydam i wierz mi, zrobię wszystko, by nikt inny też nie wydał.

Teraz to Bruno się roześmiał. Spojrzał na Wiktora, ale tym razem zobaczył kogoś innego. Przypomniawszy sobie moment, gdy się poznali. Niezaspokojony głód rozmów. Mówili bez końca, bez potrzeby, bez uzasadnienia. Wiktor słuchał uważnie. To dlatego udał mu się biznes. Bruno uświadomił sobie w tej chwili, że on tak naprawdę tylko słuchał. Nawet jeśli mówił, to mówił, by sprowokować rozmówcę do głębszych wynurzeń. Był jak magnes na słowa. Przy nim myśli po prostu wypadały z głowy. A on doskonale wiedział, jak zrobić z nich użytek. Wpadał na odpowiednich ludzi w odpowiednim czasie. Natychmiast zaczynali mu się zwierzać. On tylko się uśmiechał i słuchał, a rozmówca od razu roztapiał się w poczuciu, że jest dla niego najważniejszy. Bruno też tak wpadł. Uważał się za młodego geniusza, więc łatwo dał się poskromić. Myślał, że Wiktor docenia jego talent i szaloną inteligencję, ale jemu chodziło o coś zupełnie innego. Teraz to wszystko zauważał. Czytał z jego twarzy, jak gdyby on sam dyktował mu słowa. Wreszcie wykorzystał swoją szaloną inteligencję i poczuł ten ból. Ból nakłuwanego balona ego. Pomału zaczęło uchodzić z niego powietrze, a wraz z nim wszystkie najcenniejsze słowa, kolekcjonowane jak trofea, wiecznie uwięzione. Ulatywały i bezgłośnie znikwały. Bruno wbił wzrok w stopy, nagle odchudzony o dwadzieścia lat. Obecność Wiktora onieśmieliła go tak jak wtedy, miał wrażenie, że przy nim staje się przezroczysty. On, geniusz.

Ktoś przyszedł i złapał go za łokieć. Bo już czas, już czas. Czekają. Wiktor ruszył pierwszy, schował się w tylnych rzędach. Bruno zasiadł przy długim, chwiejnym stole. Dobrano

mu parę prowadzących, którzy niezdarnymi ruchami bez przerwy wprawiali stolik w ruch. Błat zalał się kawą i herbatą, notatki przyglnęły do kolorowych plam. Komuś upadły okulary, zaraz potem ześlizgnął się mikrofon. Bruno siedział bez ruchu. Wszystko było już gotowe, ale spotkanie się nie rozpoczynało. Goście siedzieli na miejscach, mikrofon wrócił do ręki prowadzącego, kawa i herbata do szklanek. Muzyka ucichła, światła skierowano na scenę, ale przy stole wciąż panowało wielkie poruszenie. Z widowni dobiegały pochrząkiwania i jęki krzeseł. Też się wiercili. Też nie mogli po prostu zastygnąć na czas spotkania. Wszystko musiało się ruszać. Wreszcie jeden z prowadzących zrobił minę, która najwyraźniej rozpoczynała spotkanie, bowiem rozległy się oklaski. Ledwo usiadł, a już stał i wymachiwał rękami. Zwrócił się do drugiego prowadzącego, ten natychmiast również się podniósł, a krzesło odjechało do tyłu z ciężkim jękiem. Ułożył dłonie równo na blacie, nachylił się i najpierw porozlewał na nowo napoje. Patrzył na stół z taką intensywnością, aż cała sala również wlepiła wzrok w punkt, który tak bacznie obserwował. Bruno poczuł, że jego buty skleiły się z podłogą, a nawet jeszcze nie zdążył się uklonić. Cekał na ten moment niecierpliwie, ale słowo wstępne ugrzęzło w martwym punkcie. Prowadzący ratowali się żartami przyjmowanymi grzeczną owacją. Ktoś kichnął. Też dostał brawa.

Nagle przeraźliwie zawstydził się za swoje ostatnie pytanie skierowane do Wiktora. Jak mógł do tego dopuścić? I to przy Wiktorze! Zaschło mu w gardle, nerwowo przełykał ślinę. Nie pomagała mu świadomość, że on gdzieś tu jest, schowany, ale wpatrzony w niego tym świdrującym wzrokiem. Czuł, jak przewierca go na wskroś. Przecież nie

umierał, ale najważniejsze wydarzenia życia przeleciały mu teraz przed oczami. Rozpruł się gruby worek wspomnień, każdy ruch przywoływał inny obraz. Nakładały się na siebie i uciskały. Bruno dopił duszkiem swój kubek herbaty. Dawno nie powiedział czegoś, co miało takie znaczenie. Co rozeszłoby się jak kręgi na jeziorze, mącąc spokojną do tej pory taflę. Echo tamtego pytania wciąż dźwięczało mu w uszach.

Prowadzący wpadli w popłoch. Oddali już słuchaczom wszystko to, co sobie wcześniej przygotowali, a Bruno tkwił w tej samej pozycji i nawet nie zareagował na długo opracowywany żart z nim samym w roli głównej. Rozbudził się dopiero po lekkim szturchnięciu go kantem stołu. Rozejrzał się po sali, białe oczy świeciły w mroku. Ustały wszystkie jęki i pochrząkiwania. Już chciał coś powiedzieć, ale jego odpowiedź zmieniła się nagle w pytanie. Sam sobie na nie odpowiedział, więc jaki był sens mówienia tego na głos? Wysnuł inną myśl, ale doszedł do wniosku, że jest przestarzała. Wyłuskał teraz różne wątpliwości, które gryzły go w skórę jak kłujący sweter, ale wtedy się rozwiały i uleciały gdzieś wysoko. Stęknął. W ogóle nie chciało mu się mówić. Wypowiadanie słów stało się nagle sportem wymagającym niesamowitego wysiłku fizycznego. Był już na to za stary, powinien przejść na emeryturę. Podjął jeszcze jedną próbę, dźwignął jedno ze zdań, ale runęło w dół i roztrzaskało się w drobne znaczki. Spojrzał bezradnie na tłum i bezgłośnie poruszył wargami.

W tej właśnie chwili Bruno postanowił już nigdy więcej się nie odezwać.

\*



– Kolejna zwłoczka.

Ciągle ktoś z jej znajomych umierał. Skakali, połykali, wieszali się. Ci, co nie chcieli, umierali przypadkiem. Laura celowo spieszczała śmierć. Wprowadzała ją do życia, pozwalała przychodzić raz na jakiś czas i wchodzić im na głowy. Ustępowali jej wtedy miejsca w pokoju, śmiali się z jej gorzkich żartów i poświęcali całą swoją uwagę. Czekali, aż się znudzi. W wyobraźni Bruna nigdy nie przestała być małą dziewczynką. Podłą oszustką, która nigdy tak naprawdę nie wychodziła. Chowala się za drzwiami i liczyła na zbieg okoliczności, na dwie pieczenie, na wypadek przy pracy, na niespodziewane. Śledziła go. Widziała ją często, schowaną gdzieś w korytarzu, ciemną i zimną.

Laura stała przy oknie i miarowo stukwała palcami o parapet. Zawsze to robiła. Patrzyła gdzieś za okno, bez żalu, wymazywała z pamięci tych w kolejce do zapomnienia. Kiedyś powiedziała mu, że gdy zaraz po przebudzeniu spojrzy się w okno, sen podobno natychmiast ucieka z pamięci.

– Perła.

Bruno dopiero teraz zauważył, że mieszkanie przypomina pobojuwisko. Leżące regały, wypatroszone książki, kot głęboko śpiący na szczycie bałaganu. Poczul, jak niezbrane elementy przesuwają mu się w żołądku. Przez pierwsze sekundy miał ochotę w zwierzęcym odruchu doskoczyć do Laury i wgryźć się głęboko w jej kark. Odrzucił ścisną zbytnie mocno torbę i utorował sobie drogę do okna.

Wydawało mu się, że ma pierwszeństwo w mówieniu o śmierci, że jest bardziej zaawansowany, bo przyjął Laurę do siebie, gdy sam tkwił w umieraniu. I ona wtedy też z nim trochę umarła, pozwalała tej małej, zahukanej dziewczynce spać między nimi, odpychać zimnym łokciem, milczeć.

Powiedzieli sobie tym milczeniem więcej niż kiedykolwiek wcześniej czy później. A śmierć, ta dziewczynka, zjawiała się z rana i pocierała o ich czoła, wnikała jeszcze głębiej, jeszcze dalej, spijała całą wiedzę. To był proces ciągłego zapominania i przypominania sobie.

– Wtedy w muzeum, gdy odsłaniali podobiznę Henryka, on oczywiście nie przyszedł. Dziś dzwonił do mnie Wiktor i dowiedziałam się, że to dlatego, że Perła tej nocy...

Bruno dopiero teraz przyjął to do wiadomości. Próbował przełknąć smutek, zepchnąć go w jakiś bezpieczny kąt, by rozpaczać dopiero później. Byle nie teraz. Wiedział, co to dla niego oznacza, więc pozwolił sobie jeszcze zachować w myślach żywą Perłę. Wcisnął się koło Laury i spojrzał tam, gdzie patrzyła.

– Podobno on ciągle tylko powtarza, że wreszcie odeszła i że to lepiej.

Cały Henryk. Bruno spojrzał na Laurę z uśmiechem, choć wiele go to kosztowało. Ona uparcie patrzyła w nieistniejący obraz. Jej twarz spopieliała i przybrała rzadki wyraz niepokoju. Zdziwił się, bo ledwo się znały z Perłą, chyba nawet nie darzyły się sympatią. Kątem oka dostrzegł, co Laura ściska w dłoni. Natychmiast rozpoznał ten kawałek papieru i teraz to on spopieliał, zaczął intensywnie wpatrywać się w obraz za oknem. Na krajobraz nałożyło się odbicie Laury. Patrzyła na niego.

– Przepraszam, że tyle czekałam.

Znali się, nim się poznali. On – intelektualista, ona – artystka. On – już nie tak świeżo owdowiały, ona – już nie tak świeżo nagrodzona. Bardzo szybko wpadli na siebie. Nie wpadli na siebie przypadkiem, ale przypadek zbliżył ich do siebie. Jeszcze wciąż mogli zacząć od początku.

Laura odeszła od okna i usiadła na łóżku wśród książek.  
– Opowiem ci o Sebastianie.

\*

Tego dnia restauracja dyszała od rozmów. Usiedli przy stoliku najbliżej okna i zamówili potrawy, wskazując je palcem. Dym z papierosów gęstniał nad ich głowami. Zawsze wybierali miejsca dla palących, by zająć czymś ręce. Ona sięgnęła po papierosa, ale zanim go rozpałała, długo obracała w dłoniach pudełko zapalek. On patrzył w okno. Zawsze wybierali miejsca przy oknie, by móc skupić na czymś wzrok. Laura odchyliła się na krzesło i niechętnie podsłuchiwała rozmowy przy sąsiednich stolikach.

– Wiesz, podobno między nimi nie jest zbyt dobrze.

– Podobno on się w ogóle przestał odzywać. Stracił mowę!

– To pewnie wszystko przez aferę z tym całym Sebastianem.

– To ten zaginiony brat bliźniak?

– Podobno on uciekł z planu filmowego Lucjana...

– Dziwisz się?!

– Wyobraź sobie, że ten brat miał ponoć romans z żoną Bruna!

– Tą, co zmarła?

– Tą, co zmarła!

– Patologia. I oni tak teraz ze sobą? Patologia.

– Podobno ona nie może sobie zupełnie poradzić z nową płytą.

– Widziałam zdjęcie, na którym wychodzi ze szpitala. Nie wyglądała dobrze. Miała na sobie taki wielki, porozciągany sweter.

– Takie są teraz podobno modne. Widziałam ostatnio tę dziewczynę, co prowadzi pogodę, w takim.

– Ona podobno się rozwiodła.

– A chyba jest w ciąży.

– Patologia.

Muzyka w lokalu ledwo przedostawała się przez echa niemilknących dialogów. Dwoiły się i troiły, rozmnażały jak króliki. Laura tkwiła wciąż w tej samej pozycji. Podniosła papierosa i zaciągnęła się po raz ostatni, obserwując jednocześnie, jak tematy krążą po całej sali, zmieniając po drodze treść. „Głuchy telefon” – pomyślała i zgniotła niedopałek w popielniczce z nadzieją, że teraz zjawi się kelner. Bruno słyszał muzykę. Obserwował ich z daleka, ze swoich myśli, tę milczącą parę pośród niewygodnych gąb.

Kelner zjawił się, gdy tylko papieros Laury ostygł. Zjedli jednocześnie, choć na jej talerzu pozostało jeszcze sporo jedzenia. Odłożyła sztucce, a Bruno wstał, by uregulować rachunek, bo irytowało go bezczynne czekanie, aż ktoś zauważy, że chcą już wyjść.

Potem rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Laura podążyła w dół miasta, gdzie znajdowało się ścisłe centrum. Prowadził do niego szlak złożony z oszklonych brył galerii handlowych, z chodników wyrastały potężne biurowce i wciśnięte pomiędzy nie przystanki. Nie obejrzała się. Bruno skręcił zaraz za rogiem i odbił w małą, szarą ulicę, która wiodła do najstarszej części miasta. Wspiął się po kamiennych schodkach na szeroki plac, odnalazł swoją ławkę i usiadł. Drzewa garbiły się i dotykały gałęziami chodników, czasem jakiś liść zaplątał się we włosy. Poczł się, jakby siedział w tym miejscu od wielu lat i tych lat mu teraz przybyło. Nie miał siły się obrócić.

# PERŁA I HENRYK

Budzik rozzwonił się tuż po ósmej, by jak zawsze zamilknąć na kolejne pół godziny. Po tym czasie znów powoli, najpierw cicho, potem coraz głośniejsz, drażnił brzęczącą melodyjką i podrygując, przemieścił się na samą krawędź półki, po czym spadł na podłogę, a to oznaczało definitywny koniec snu. Spod kołdry wydobyło się ponure westchnięcie, a zaraz potem leniwy pomruk i ziewnięcie. Odplynął ciepły sen, rozsunała się kotara dnia. W jednej chwili powróciła świadomość i usztywniła każdy fragment jej ciała. Perła leżała teraz wykrochmalona przez własne myśli, dobudzona i przejęta. Chciała się ruszyć, ale wiedziała, że rozproszy w ten sposób zogniskowany w mostku ból. Uporczywy ucisk wgniatał ją w łóżko codziennie rano, jakby to noc schodziła z nieba i siadała jej na płucach. Gdyby nie budzik, ten wyraźny sygnał, w ogóle nie ruszałaby się z pościeli.

Długo krążyła po mieszkaniu, napęczniała od adrenaliny, jak więzień w celi śmierci, świadomy tego, co go za chwilę czeka. Ona też była tego świadoma i ta myśl podążała za nią krok w krok. Usiadła wreszcie nad klawiaturą.

Czuła onieśmielającą pustkę w głowie. Jej umysł lśnił piękną, śnieżnobiałą pustką. Gdy tylko próbowała zabrać się do pisania, wyobrażała sobie, jak niespiesznie wbija w ciało ostre i długie ostrze. Koniecznie długie, widziała je oczami wyobraźni i sprawiało jej to pewną ulgę. Nie żeby faktycznie chciała sobie zrobić taką krzywdę, przecież spaliłaby się potem ze wstydu. Ale ten obraz zawsze jej towarzyszył, gdy zabierała się do pisania.

Wystukała na klawiaturze: Autodestrukcja to... Autodestrukcja to dobre rozwiązanie, bo świadczy o podjęciu decyzji. Nadanie kierunku emocjom. Najgorszy jest ten stan zawieszenia, gdy już za chwilę ma pojawić się optymizm, ale czeka się tylko na chwilę zwątpienia... Nie, nie wiedziała, co to autodestrukcja. Pomieszała optymizm ze zwątpieniem i niezgrabne zdanie urwało się w połowie. Patrzyła w ekran i naciskała klawisz litery „O”. Postanowiła wreszcie, że po prostu się rozplacze. Nawet ucieszyła się na tę myśl. Otworzyła szeroko oczy i przygryzła wargi, wpatrując się w rząd liter. Wreszcie jednym ruchem myszki skasowała go i popatrzyła na zegarek. Czas na śniadanie.

Zeszła cicho po schodach, omijając zdradliwe miejsca, jęczące historycznie pod jej ciężarem. Wybiła jedynasta, ojciec właśnie zasypiał i pewnie pierwszą fazę snu miał już za sobą. Gdyby usłyszał jakikolwiek dźwięk, nie zasnąłby już, a Perła dobrze wiedziała, co oznacza zakłócenie porannej drzemki. Upewniła się, że zamknęła dobrze stare, spękane drzwi, i zeszła piętro niżej, gdzie znajdowała się mniejsza kuchnia i przestronna jadalnia z wyjściem na balkon. Mieszkali w pięknej, choć niewielkiej, starej willi. Oplatał ją zadbany ogród, ogrodzenie już dawno zniknęło za czerwonym berberem. Nie docierało do nich życie

sąsiadów. Od miasta oddzielał ich jedynie szczątkowy pas lasu, który kurczył się systematycznie pod naporem wyra-  
stających masowo osiedli, parkingów i galerii handlowych. Zjadały całą zielen i przybliżały się do domu. Niebawem  
pstrokate bryły i szare klocki zastąpią zupełnie drzewa  
i będą zaglądać im w okna. Przy wyjątkowo cichych nocach –  
a tych było tu pod dostatkiem – do uszu docierał pomruk  
samochodów. Perła lubiła wyobrażać sobie sznur pojaz-  
dów pędzących nocą spiralną drogą. Lubiła, gdy miasto  
tak bezczelnie wchodziło przez okno do domu. Wcisnęło  
się w najmniejsze szczeliny, warczało i gryzło, kłębiło się  
na parkiecie. Uspokajał ją ten szum. Uziemiał.

Odwróciła głowę od okna i z przepelnionej lodówki  
wyjęła jogurt. Nie lubiła śniadań. Czuliła, jak jedzenie prze-  
ciska się przez przełyk i długo szuka skurzonego żołądka.  
Cóż to za pomysł jeść z rana, gdy wszystko w środku  
jeszcze śpi. Usiadła na balkonie z laptopem na kolanach  
i wstawiła stopy między pręty barierki. Słońce grzało  
mocno o tej porze dnia i po chwili cała się zaczerwie-  
niła i spłynęła potem. Spojrzała w ekran, ale zobaczyła  
tam tylko siebie i fragment kuchni. Parzył jej uda, więc  
musiała ostatecznie odnieść go do domu. Zawahała się  
w progu i spojrzała na plik nietkniętych, równo ułożonych  
i już lekko pożółkłych kartek. Odłożyła komputer, wypita  
duszką ciepły sok i zrobiła z powrotem krok na balkon,  
zabierając niby przypadkiem część papieru. Rozłożyła  
się wygodnie na leżaku, gwałtowne ruchy zdmuchnęły  
parę kartek do ogrodu. Niestabilny leżak przechylał ją  
to w prawo, to w lewo, a gdy wreszcie znalazła wygodną  
pozycję, zorientowała się, że nie zabrała ze sobą nic do  
pisania. Oszalała ze złości, wcisnęła na siłę nogi między

pręty i obraziła się na siebie. Postanowiła nie wstawać, dopóki słońce nie rozłoży się równomierną opalenizną na jej ciele. Po pięciu minutach przyzwyczała się do ostrych jak szpilki promieni. Słońce przygwoździło ją do leżaka, pot wypływał z ranionych miejsc. Wciąż się na siebie gniewała i karą obarczyła ciało. Nogi pulsowały między prętami. Rosły i malały. Zamyśliła się i spojrzała daleko za wieś i miasto.

Często czuła zażenowanie. Wyrastało nagle spod skóry i dotykało ją. Intuicyjnie zasłaniała wtedy piersi i zaciskała nogi. Nie potrafiła wyjaśnić tego uczucia, tak samo jak nie rozumiała porannego skoku adrenaliny, który podrywał ją codziennie z łóżka. Żenował ją sam fakt, że nie rozumiała tak wielu rzeczy, zawstydział ją jej własny organizm i to, że nie miała na niego żadnego wpływu. Samodzielnie funkcjonujący dowód jej istnienia. Nie potrafiła nawiązać z nim porozumienia, podlegał własnym regułom i kaprysom. Stała przed lustrem i patrzyła na siebie, ale widziała tylko kawałek ciała, które ktoś jej wymyślił. Potem wnikała we wszystkie narządy i szybko robiło jej się niedobrze od procesów zachodzących gdzieś w środku, przy żywych myślach. Wyobrażała sobie dokładnie żyłę i natychmiast wszystko w niej mięknęło, robiło jej się niedobrze.

Wystawiła rękę poza oparcie leżaka i do jej łokcia przylepiła się kartka. Otworzyła oczy i przez kilkanaście sekund brodziła w wypalonym i wyjąłowionym krajobrazie. Było tak gorąco, że drzewa w oddali płonęły niebieskim odcieniem. Zaschło jej w ustach i pokryła się pajęczyną potu. Musiała natychmiast podrapać się aż do krwi, przebić się przez skórę i dotknąć żyły. Szybko wybiegła po długopis, wróciła na leżak, chwyciła kartkę i zanotowała:



*E. siedziała między domem a garażem, odziana tylko w starą, żółtą koszulę nocną swojej matki, i czekała, aż coś się wydarzy. Był lipcowy, upalny poranek i po jej plecach pojedynczo, powoli, jak leniwe insekty, sunęły krople potu.*

Odchyliła się i spojrzała dumnie na swoje dzieło. Kiedy przebiegła je wzrokiem, miała niejasne wrażenie, że już to kiedyś czytała, ale im dłużej na nie patrzyła, tym większe odczuwała zadowolenie. To miało jej zapewnić dawkę energii na najbliższe kilka godzin, więc mogła teraz bez skrupułów oddać się lenistwu. Odetchnęła w końcu z ulgą, przybyło jej dzięki temu kilka kilogramów i od razu zgłodniała. Wstała, w głowie miała już przepis i weszła prosto w Henryka.

\*

Perła nigdy nie chciała zostać pisarką. Niestety bardzo szybko okazało się, że ma talent. Talent w jej przypadku oznaczał nieustającą, przytłaczającą potrzebę notowania różnych spostrzeżeń, których z jakiegoś powodu nie mogła wypowiedzieć na głos. Nie miał nic wspólnego z chęcią i treningami, nie poddawał się żadnym kwalifikacjom i stopniom rozwoju. Tkwił w niej bardziej jak szkodliwa tkanka, nabrzmiały organ. Tak jak chorzy nie kontrolują swoich zachowań, jak uzależnieni nie mogą zwalczyć potrzeby, tak i ona męczyła się ze swoim nałogiem. Wolała jednak traktować go jak nawyk. Kiedy odzywało się w niej pragnienie, musiała skupić swoje siły i myśli na tym jednym zadaniu,

a mimo to nie było pewności, że ten wysiłek przyniesie zadowalający rezultat. Coraz częściej tylko angażowała wszystkie nerwy, rozpalała się i gasła. Czuła wtedy, jak jej wewnętrzne ja, ten osobliwy byt pod skórą, pokrywa się żarem i popiołem. Każdy ruch stawał się pocieraniem krzemienia o krzemień. Była łatwopalna.

Pierwszy odwyk podjęła w dzieciństwie. Próbowwała wniknąć w świat muzyki. Grała na wiolonczeli i gitarze. Pewnego dnia, czekając na zajęcia, obejrzała w telewizji gimnastykę artystyczną. Natychmiast zapomniała o instrumentach i zapragnęła spędzić resztę życia, ćwicząc swoje ciało. Wszyscy kręcili głowami, wieszcząc szybki koniec tej fanaberii. Przecież była już za stara na takie zabawy. Mimo to mordercze treningi pochłonęły większość dzieciństwa, bo Perła musiała nadgonić bardziej doświadczone koleżanki. Po pierwszych sukcesach szybko okazało się, że nie stać jej na więcej, bo zbyt późno zaczęła, nie ma warunków i lepiej już nie będzie. Pomimo szczerych chęci była zawsze ciut gorsza, a na jej miejsce natychmiast wskakiwały ciut lepsze. Nie pomagały mostki i szpagaty, rozciąganie kręgosłupa, w które angażowali się wszyscy goście w domu. Jej ciało nie podążało za instrukcjami umysłu. Czasem chciała tak bardzo, że lądowała w szpitalu. Nie pamięta, kiedy zaczęła o tym pisać. Nie mogło to nastąpić w momencie kryzysowym, bo pierwsze zapiski są pełne entuzjazmu. Początkowo notowała postępy w diecie, odhaczała wykonane ćwiczenia i zapisywała rzeczy do poprawy. Stopniowo do tych suchych faktów dodawała krótkie komentarze. Wkrótce komentarze rozrosły się, a informacje o diecie zeszły na margines. Aż do momentu, gdy zamiast trenować wołała o tym pisać. Gimnastykę porzuciła ostatecznie dopiero po rozpoczęciu liceum, bo wcześniej bała się

powiedzieć ojcu. Kiedy zdała sobie sprawę, że napisała książkę, załamała się. Długo nie wiedziała, co ma z nią zrobić, a w tym czasie spod jej pióra wyszła kolejna. W końcu zdecydowała się ujawnić, ale w tajemnicy przed ojcem. Pod pseudonimem wysłała książkę do wszystkich znanych jej wydawnictw i otrzymała jedną odpowiedź. Bez wahania odrzuciła tę propozycję. Wkrótce jednak zadzwonił do niej sam Wiktor i długo namawiał, by przyszła. Zgodziła się pod warunkiem, że nie będzie jej do niczego namawiał. Wyszła z podpisaną umową. Ruszyła akcja promocyjna, nie minął tydzień i Perła została zdemaskowana. Stało się najgorsze, informacje o literackich zapędach córki szybko dotarły do Henryka.

Aby zrozumieć, jak niefortunna była to sytuacja, należy podkreślić dwie istotne cechy Henryka. Henryk nie lubił zainteresowania mediów i nie lubił swojej córki. Media zaczęły go nękać, gdy rozwinął się internet. Wszyscy próbowali znaleźć jakąś skazę na nieskalanym wizerunku bohatera narodowego. Wszak to on zmienił literaturę, nadał nowe znaczenie sztuce pisanej i był wielkim patriotą. Każdy miał o nim jakieś wyobrażenie. Jego nazwisko natychmiast wzbudzało skojarzenia. Niektórym ledwo przeciskało się przez gardło, inni nie mogli skończyć zdania bez uzbrojenia je w myśl Henryka. Mówiono o nim: „pisarz totalny”. Nie rozwijał się, nie dojrzywał, od początku wiedział, że pisanie to jego powołanie. Dlatego nie spieszył się z ukończeniem pierwszej książki. Dopieszczał swoje dzieło, dbając o każdy szczegół. Zdawał sobie sprawę ze swojego nieprzeciętnego talentu i chętnie to podkreślał. Podchodził jednak do tego zawodu śmiertelnie poważnie, obdarł go z artystycznego blasku bohemy i potępiał przeciętnych pisarzyków. Nim

się obejrzał, wszyscy wkoło zaczęli odkrywać w sobie talent pisarski. Irytowały go wyrastające jak uporczywe bąble książeczki, które ktoś wydał z nudy. Albo na próbę. Albo dla pieniędzy. Okładki zdobiły roześmiane buzie autorów, napisanie książki zrównało się z ugotowaniem obiadu. Szybko, przyjemnie i smacznie. Nagle każdy mógł to zrobić w wolnym czasie. Henryk nie rozumiał tej współczesnej potrzeby odhaczenia wszystkich punktów na liście rzeczy do zrobienia. Wszechobecnej wszechstronności. Jeden zawód to nagle było za mało. Poświęcenie się konkretnemu celowi – też niewystarczające. Teraz należało się nieustannie przekwalifikowywać. Być elastycznym i zmiennym. Gonić po wszystkich krajach jak rasowy konik – i tak bez końca, byle więcej zebrać i zapisać sobie na koncie. Ale co z tym wszystkim potem zrobić? Henryk nie wiedział. Pewnie znalazłoby się z tysiąc książek na ten temat. I dwa razy więcej ich analiz. Plus wszystkie tłumaczenia. Bo wypadało teraz czytać w obcych językach. We własnym to już trochę zbyt oczywiste i dość przestarzałe. W modzie było mieszanie się narodów, zlewanie tożsamości i świadomości w multikulturowy wybryk. Coraz trudniej przychodziło mu odróżnić ludzi, nawet rodacy brzmieli dla starego pisarza jak turyści z odległych państw. Czuł się coraz gorzej we własnym kraju, więc stronił od ludzi, spędzał czas w swojej własnej, prywatnej ojczyźnie na wsi. Nie życzył sobie uczestniczyć w tych przemianach. Sam wołał przeminąć.

Pisanie Henryka nie podlegało kaprysom weny. Wstawał wcześniej rano i intensywnie, bez przerwy pracował do południa. W weekendy i poniedziałki gromadził potrzebny materiał, zbierał informacje. Nie lubił rozmawiać z ludźmi, a jednak tworzył wspaniałe portrety, składające się na

obraz całego narodu. Postrzegano go często jako sumienie kraju. Surowego nauczyciela, a przy tym troskliwego ojca, który ten kraj ukochał sobie ponad wszystko inne. Czuł się odpowiedzialny za sporządzanie rzetelnego obrazu zjawisk zachodzących w społeczeństwie. Lubił tworzyć portrety zbiorowe, rozwodzić się nad historycznymi wydarzeniami. W swych sądach był przeważnie bezwzględny i niejednokrotnie rozliczał ze wstydlivych faktów przeszłości, nauczał, że dobro i zło należy przedstawiać równie sprawiedliwie.

Stał się żywym pomnikiem, chlubą i symbolem. Teraz wciąż znajdowali się tacy, co z radością spychali go z piedestału. Henryk nie przystawał do obecnych trendów, więc można go było wyśmiewać przy okazji różnych tematów. Mordowanie idoli stało się narodowym sportem, lubowano się w przeszukiwaniu życiorysów w poszukiwaniu skandali. Obiektem drwin stał się przede wszystkim jego system wartości i pogląd na współczesną rzeczywistość. Wyśmiewano także stosunek do kobiet i małżeństwa. Powszechnie wiedziano, że jako wyznawca tradycyjnych wartości młody Henryk szukał dla siebie odpowiedniej kobiety. Żony i matki. Marzył o dużej rodzinie, bo sam się z takiej wywodził. Potrzebował kobiety silnej i mądrej, skłonnej poświęcić dla niego własne ambicje. Kiedy poznał swoją przyszłą żonę, ta ani myślała rezygnować dla niego z kariery. Właśnie rozpoczynała studia na prestiżowym uniwersytecie. Minęło dwanaście lat, nim się pobrali, ale Henryk podjął decyzję o ślubie, gdy tylko poznał Małgorzatę. Spełniała wszystkie jego warunki. Idealna, by się w niej zakochać, co sobie poprzysiągł, że uczyni. Jego uczucie z dnia na dzień rozkwitało, ona długo nie mogła się zdecydować ze względu

na jego niełatwy charakter i żelazne zasady. Rodzina przez długie lata konsekwentnie odradzała jej ten związek, bojąc się, że początkujący pisarz z rozrośniętym ego będzie chciał tylko wykorzystać ich wpływy. Gdy odniósł sukces, bali się jeszcze bardziej. Nigdy nie pogodzili się z faktem, że ich córka odrzuciła swoją niezależność na rzecz surowego i staroświeckiego męża.

Małgorzata pochodziła z majątnej rodziny, w której wielkie pieniądze służyły wielkiej kulturze. W ich domu świat biznesu spletał się ze światem intelektu, z pokolenia na pokolenie przybywało wielkich umysłów i rezydentnych artystów. Rodzice Małgorzaty szczylic się jej akademickimi sukcesami i marzyli, by wyjechała za granicę, wypychali ją, od kiedy nauczyła się składać pierwsze zdania w obcych językach. Henryk ucieleśniał wszystko to, co potępiali. Nieustanne zniechęcanie i odradzanie utrwaliło ostatecznie w Małgorzacie przekonanie o jej uczuciu do Henryka. Na przekór wszystkim postanowiła wziąć pod swoją opiekę zaczątki geniuszu i stopniowo rezygnowała z innych obowiązków. Swoim rodzicom powiedziała: „Mój wybór świadczy o mojej niezależności”. W swoich wspomnieniach na każdym kroku zaznaczała, że to najmądrzejsza decyzja w jej życiu. Jako dziedziczka artystycznej spuścizny swoich przodków czuła się w obowiązku czuwać nad największym talentem ówczesnej literatury.

Nawet nie zauważyli, jak droga do wspólnego życia dodała im obojgu lat. Henryk zasłynął już książką w dużej mierze opartą na własnych doświadczeniach wychowywania się w licznej rodzinie i zamierzał stworzyć kontynuację, opisując losy własnych dzieci. Niecierpliwie czekał na pierwszego potomka, ale w swoim życiowym planie nie

przewidział miejsca na niespodzianki losu. Kiedy dziecko przyszło na świat, Henryk miał równo pięćdziesiąt lat, a jego żona o dziesięć mniej. Małgorzata wiedziała, że ciąża wysokiego ryzyka, ale nic nie mówiła mężowi i nie dawała po sobie poznać, że coś może pójść nie tak, bo to pozbawiłoby go energii na całe dziewięć miesięcy. W tajemnicy utrzymywała częste wizyty u lekarza, dużo spała i leżała. Wcześniej poszła do szpitala i w pewnym momencie już tylko czekała, spokojna i szczęśliwa. Zmarła cicho i bezboleśnie wkrótce po porodzie, nieświadoma, że syn okazał się córką. Henryk popadł w otępienie i dopiero po kilku miesiącach przypomniał sobie, co się stało. Pomagali mu ludzie, których nie pamięta, a którzy zjawili się nagle i prowadzili go do przodu. Wydawało mu się, że wszystko jest w porządku. Nie przejmował się. Zbyt mocno zapatrzonny w swój plan, wierzył, że panuje nad własnym losem, że wszystko wróci do normy: Małgorzata urodzi kolejne dzieci, on odsunie się na bok i będzie czekał na moment, gdy podrosną. Ciągłe ktoś go szturchał i próbował wytrącić z tego letargu. Wskazywali na jego córkę, próbowali wzbudzić nią jego zainteresowanie. Ale on nie bardzo wiedział, co zrobić z tak młodą osobą. Nawet jej jeszcze dobrze nie znał, bo była czymś bezkształtnym i nierozumnym. Wszyscy wkoło zachwycali się jej dużymi oczami, małymi rączkami, miękką skórą i gaworzeniem, podczas gdy on widział tylko rozregulowany mechanizm, funkcjonujący według obcych mu zasad. Z oczu bezustannie płynęły wielkie jak grochy łzy, ślina na stałe przyłgnęła do brody, a radosne piski wywoływały tylko jego surowe spojrzenie. Poruszała się w dziwnie nieskoordynowany sposób, nie mógł na to patrzeć. Czuł się jednocześnie winny i oszukany. Nie był

przygotowany na taki obrót sytuacji, skąd miał nagle wziąć uczucia do tego dziecka? Nie planował wtrącać się w wychowywanie przez pierwsze lata. Ciężka mu jej obecność. Przypominała mu się za każdym razem, kiedy chciał wziąć się do pracy. Wcisnęła się w uporządkowane myśli. Próby pisania kończyły się nerwowym skrobaniem w kartkę. Miał jednak duże szczęście, bo mógł liczyć wtedy na pomoc wielu osób, nawet jeśli nie bezinteresowną. A interes miało wielu, bo Henryk to pieniądź. Perła była więc wychowywana przez grupę przypadkowych osób, które w trosce o samopoczucie ojca obdarzały ją odpowiednią opieką. Rosła szybciej niż inne dzieci, z dnia na dzień przybywało jej lat.

To właśnie w tym feralnym okresie Lucjan de Flin opowiedział Henrykowi po raz pierwszy o chęci zrealizowania filmu według jego powieści. Dręczył go wciąż swoją obecnością, choć pisarz zdecydowanie sprzeciwiał się temu pomysłowi. Nie wierzył w kino, nie ufał obrazom, a przede wszystkim nie życzył sobie, by postronne osoby reinterpretowały jego skończone dzieło. Lucjan zadurzył się wówczas do czerwoności w swojej kolejnej aktoreczce, Lucynie. Nikt jeszcze wtedy się nie spodziewał, że zagości na dłużej w jego życiu i karierze, a pierwszą osobą, która się do niej przywiązała, była Perła. Henryk wykorzystywał to. Zapraszał Lucjana z kochanką do siebie, jemu pozwalał snuć wizję, jej zajmować się dzieckiem, a sam drzemał na wielkim bujanym fotelu i wybudzał się dopiero po ich wyjściu.

Tak się upajał momentami odpoczynku, że przegapił moment, gdy zgodził się na realizację filmu. Lucjan nagle zniknął i słuch po nim zaginął, ale Lucyna przez kilka kolejnych miesięcy wciąż przychodziła do Perły. Wkrótce dostała nakaz, by zjawić się u boku reżysera. Lucy wyjaśniła



Henrykowi, jak ma postępować z dzieckiem. Wreszcie między nimi, nim a córką, wytworzyło się coś na kształt nici porozumienia. Posługiwali się zasadami z niepisanego kodeksu, dzięki czemu wiedzieli, jak zachowywać się we własnej obecności. Perła chyba wiedziała, że musi szybko zmądrzeć. Bardzo prędko nauczyła się samodzielnie funkcjonować. W zasadzie nie potrzebowała ojca do niczego. Jeśli nawet czegoś potrzebowała, prosiła o to bezustannie odwiedzających ich gości. Musiała się zresztą nimi opiekować, bo Henryk od pewnego momentu siedział już tylko zamknięty w swoim pokoju i ani myślał wychodzić. To był codzienny rytuał. Goście przychodzili, czekali, odchodzili. Perła szła po ojca, ale wracała zawsze bez niego. Nigdy się nie przyznała, że tak naprawdę wcale nie próbowała ściągnąć go na dół. Siadała na schodach przy jego drzwiach i po kilku minutach wracała. Przeraziłwie bała się, że mógłby ją usłyszeć. Słyszał ją i wpatrywał się w drzwi, dopóki nie odeszła. Wtedy wracał zadowolony do pracy. Bo znów pracował. Postanowił tym razem otworzyć szufladę wyobraźni, by móc kontynuować swą sagę.

Kolejna powieść rozrosła się nienaturalnie. Henryk przez kolejne lata siedział wyłącznie w swoim pokoju i pisał, bo nie miał najmniejszej ochoty ani potrzeby wychodzić. Wysyłał rozdziały do wydawnictwa, ale nie przyjmował żadnych odpowiedzi zwrotnych. Bardzo mu odpowiadał ten nowy styl pracy, szybko do niego przywykł i znów pisał tak, jak dawniej. A potem słał i słał, i słał, aż wreszcie Wiktor nie wytrzymał i włamał się do jego pokoju. Był jego jedynym przyjacielem w biznesach. Kiedy Henryk wydawał pierwszą książkę, bezczelnie pewny siebie Wiktor właśnie próbował nabyć przełomowe tytuły, by rozkręcić swoje

wydawnictwo. Udało się obu, a wspólny sukces zbliżył ich do siebie. Pisarz podziwiał go za pragmatyzm i szczerość. Wiktor znał się na prawach rynku, zarządzaniu, sprzedawaniu, kupowaniu i promowaniu, czyli wszystkich obcych Henrykowi rzeczach. Rozmawiali zawsze tylko o sprawach związanych z ich pracą. Wiktor prowadził teraz jedno z najbardziej prominentnych wydawnictw w kraju, ale wciąż liczył na kolejne dzieło od Henryka.

Kulturalnie zamilkł po śmierci Małgorzaty. Spodziewał się, iż pisarz zamilknie, może nawet nie napisze już nic więcej, i w jego głowie powoli rodził się zamysł sporządzenia jego obszernej biografii. Zaczął się rozglądać za kimś, kto mógłby podjąć się tego trudnego zadania. Potem nagle, zupełnie niespodziewanie, pojawiła się Perła ze swoją książką. Wiktor uznał to za ostateczny znak końca twórczej działalności Henryka. Pałeczka została przekazana, zmieniło się pokolenie, ale pisanie przetrwało. Zachwycił się Perłą, zachwycił się tym nowym wcieleniem Henryka. Wydawała mu się jakimś nierealnym bytem, fragmentem powieści, snem. Cicho zbuntowana, niezauważalna na pierwszy rzut oka. Materializowała się dopiero w chwili, gdy wykazywała zainteresowanie. Bez tego pozostawała niewidzialna, obojętna i wycofana. Zupełnie jakby część jej osoby żyła poza ciałem. Przenosiła się na papier, kawałek po kawałku, przez co skompletowanie jej osobowości stawało się możliwe tylko poprzez lekturę jej dzieła. Na co dzień wydawała się wyprózniona z myśli, miała trudności ze złożeniem poprawnego zdania. Sprawiała wrażenie odklejonej od rzeczywistości i niezainteresowanej światem. Tak naprawdę uważnie obserwowała wydarzenia dookoła niej i widziała dużo więcej, niż chciała. Żyła w zwolnionym

tempie, potrafiła zatrzymywać czas i godzinami analizować detale. Robiła stopklatki i oglądała twarze. Wszystkie te obrazy odkładały się potem na dnie jej głowy i musiała się ich pozbywać słowami. Miała w sobie wiele różnych osób, które poznała i zapamiętała. Natychmiast wędrowały do umysłu, gdzie podlegały analizie.

Wiktor dobrze wiedział, że wyrządzi jej wielką krzywdę. Z pisania Perły mogły wyniknąć same problemy, a ucierpieć miała najbardziej sama autorka. Ale tego się nie udało uniknąć w jej sytuacji. Poza tym inni wydawcy skrzywdziliby ją bardziej, więc postanowił przygarnąć ją pod swoje skrzydła. Musiał w tym celu uciec się do małego podstępu, ale zadbał o dyskrecję. Rozrysował sobie potem w głowie dokładny scenariusz, by nikt za bardzo nie ucierpiał albo by chociaż cierpieli po równo. Perła, Henryk i on sam.

To właśnie tuż po premierze książki Perły przybył pierwszy kompletny tom od Henryka. Tomisko. Wiktor początkowo był zachwycony. Ledwo skończyć czytać, przyszedł następny. I kolejny. A potem systematycznie dostawał nowe rozdziały, poprawki, komentarze. Próby skontaktowania się z Henrykiem spełzły na niczym. Wtedy Wiktor po prostu wtargnął do oazy starego pisarza. Perła dokładnie pamiętała ten dzień i swoje przerażenie. Ale najlepiej zapamiętała uśmiech, który Wiktor pośłał jej, zanim zniknął za drzwiami. Z pokoju nie dochodziły żadne odgłosy, spędzili tam razem kilka godzin, po czym wydawca wyszedł z kolejnymi tomiskami pod pachą i kolejnym uśmiechem. I zniknął. Po tym spotkaniu Henryk przywołał Perłę do siebie. Była to ich pierwsza oficjalna rozmowa, od kiedy wydała swoją pierwszą książkę. Wyglądał na zrelaksowanego, siedział w głębokim fotelu przy oknie i głośno

oddychał. Bardzo wyszczuplał. W niewielkim pokoju panował zaduch, ciepłe i lepkie powietrze stało w miejscu. Słońce nie docierało do tej części domu, tylko czasem, zachodząc, zostawiało mały, pomarańczowy odcisk na ścianie. Tego dnia grube chmury ocierały się o szyby, a książki piętrzące się na parapecie dodatkowo ograniczały dostęp światła do pomieszczenia. Z sufitu zwisał bogato zdobiony żyrandol, ale nie świecił. Sznur diamentików odbijał światło lampki biurowej. Przy tym oświetleniu sylwetka Henryka wydłużyła się i wykręciła, wyglądał jak pulsująca tkanka. Perła podeszła do biurka na palcach, jakby podchodziła do uzbrojonego ładunku, jakby najmniejszy odgłos mógł spowodować eksplozję. Henryk nie wybuchł, ale z trudem wstał i zaczął ściągać książki z parapetu. Jedna po drugiej, powoli. Ułożył kilka z nich na biurku, na samym szczycie położył kartkę i zapisał coś bardzo dużymi, chwiejnymi literami. Powoli. Wszystkie jego czynności wydłużały czas, nawet ten bał się pędzić w jego towarzystwie. Odłożył pióro, przesunął książkową wieżę w stronę córki i znów zasiadł w fotelu. Nawet na nią nie spojrział, musnął tylko wzrokiem. Perła obróciła najpierw tajemniczą kartkę i odczytała rząd słów układających się w adres. Potem popatrzyła na plecy ojca. Przytuliła wszystkie książki do siebie, oparła brodę na samym ich szczycie i wtedy spłynął na nią błogi spokój. Nogi się pod nią ugięły, gdy przygniótł ją ten słodki ciężar. Wreszcie opuściła pokój, opuściła klatkę schodową, opuściła dom i ruszyła w stronę miasta. Przez jej głowę prześlizgnęła się myśl nasączona słodkim kremem. Wgryzła się w nią łapczywie i poczuła, jak jej żołądek napełnia się ciepłym uczuciem.

Henryk jej zaufał.

Pierwszą książkę wysłała Wiktorowi trochę dla żartu. Chciała sprawdzić, czy może się równać z Henrykiem. Spodziewała się szeregu ofert od innych wydawnictw, ale kiedy odpowiedź nadeszła tylko od Wiktora, padł na nią błąd strach. A co, jeśli inni wyczuwają pokrewieństwo? Jeśli słowa mogą być jak grupa krwi? W głowie zaczęły jej się mnożyć głupie myśli o przeznaczeniu i powołaniu. Może to jakiś znak, skoro tylko wydawnictwo ojca dostrzegło w niej potencjał? Kiedy jednak zadzwonił do niej Wiktor, wszystko stało się proste i jednocześnie jeszcze bardziej skomplikowane. Nie chciała się wplątywać w taki układ i jednocześnie chciała. Aby oszukać i zmobilizować zbuntowane ciało, które po tych wydarzeniach beczynnie leżało w łóżku, wymyśliła sobie wymówkę. Co by się stało, gdyby Wiktor powiedział o wszystkim Henrykowi? Umówiła się na spotkanie i próbowała obmyślić jakąś strategię. Na wstępie odmówi. Choćby dla zasady. Wtedy Wiktor zacznie ją pięknie namawiać i ona się dzięki temu dowartościuje. Zdecydowanie odmówi i z odbudowaną pewnością siebie spróbuje zachęcić jakieś mniejsze wydawnictwo. Może nawet udałoby się jej znaleźć kogoś takiego jak Wiktor, któremu Henryk w pełni zaufał. Stworzyliby doskonałą biznesową parę, może nawet spodobałoby się sobie wystarczająco, by wspólnie żyć. Z takim nastawieniem Perła stawiała się na spotkanie.

Wydawnictwo mieściło się w dawnym dworku w starej części miasta. Na jego tyłach rozpościerał się niewielki ogród, gdzie dostęp mieli jedynie domownicy. Nie kto inny, a właśnie Wiktor mieszkał tu wraz ze swoją rodziną.

Budynek był na tyle obszerny, że praca i dom nie krzyżowały się ze sobą. Do części mieszkalnej prowadziło zresztą oddzielne wejście od strony ogrodu, ale dało się tam dostać także przez klatkę schodową wewnątrz budynku.

Tuż za starannie przystrzyżonym żywopłotem ogromny buk przysłaniał fragment zabudowy. Pod bukiem ustawiono huśtawkę ogrodową, na której akurat bujali się dwaj mężczyźni. Palili papierosy i żywo o czymś dyskutowali. Spojrzeli na Perłę i wrócili do rozmowy. Do drzwi prowadziła ścieżka ułożona z wytartych kamieni, w połowie drogi ujawniał się szyld wydawnictwa. Poczuli skurcz żołądka, ale bez wahania weszła do środka. Ciemne barwy pomieszczenia pogłębiały tylko wypełniającą je szarość. Wszystkie lampy były zapalone, przez okno wdzierał się jedynie blady odprysk słońca. Zza ścian dobiegały głosy, przeplatające się melodie różnych stacji radiowych, stukot klawiatury i brzdęk łyżeczek wpadających do szklanek. W kącie znajdowało się półokrągłe biurko, znad którego wzrok podniosła teraz bardzo młodo wyglądająca starsza kobieta.

- Słucham panią?
- Dzień dobry, ja do Wiktora.
- Jest pani umówiona?
- Tak.
- Pani godność?
- Perła.

Kobieta podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Perła słyszała kolejne sygnały. Głos odezwał się po piątym.

- Perła do pana.

Słumiony, ale wyraźnie wzburzony głos Wiktora nerwowo coś tłumaczył. Twarz kobiety nie wyrażała żadnych emocji, przycisnęła tylko słuchawkę mocniej do ucha. Lekko

obróciła głowę i odmrukiwała mu w odpowiedzi. Wreszcie odłożyła telefon i rozciągnęła swoje bardzo czerwone usta w uśmiechu.

– Zaczeka pani w bibliotece. Wiktor ma gościa. Proszę za mną.

Przeszły na koniec długiego korytarza, gdzie znajdowała się klatka schodowa. Schody na górę wiodły do mieszkania, a wejścia chroniły pękate drzwi zamykane na klucz. Tuż obok widniał stary domofon, a powyżej nowoczesna kamera. U dołu drzwi Perła dostrzegła rozległe pęknięcie i wgniecenie. Zeszły na dół, gdzie było zupełnie ciemno i dość chłodno. Kobieta wyjęła pęk kluczy, od razu znalazła ten właściwy, otwierający niepozorne drzwi. Gdy tylko weszły do dużej, poprzecinanej regałami i wieżami z książek biblioteki, w górę wzniósł się kurz i zapach antykwariatu. Prawie na wprost drzwi stał długi stół. Sprawiał wrażenie przygniecionego ciężarem wszystkich zgromadzonych tu słów. Perła poczuła przyjemne ciepło, które wydostawało się spod okładek otaczających ją książek.

– Zwykle jest tu większy porządek. – Kobieta podeszła do stołu i zdjęła kilka tomów z krzesła. – Niech pani siada.

Perła wolała bałagan. Przejechała dłonią po tytułach na półkach, tylko niektóre były bardzo stare, znaczną większość stanowiły nowe, jeszcze niezłożone okładki. Przez szparę ponad książkami dostrzegła plakat na ścianie. Henryk spoglądał na nią z wielką uwagą i skromnym uśmiechem. Nigdy wcześniej nie widziała go w tak dobrej kondycji.

– Może kawy, herbaty?

– Dziękuję.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, będę na górze. Wiktor powinien wkrótce przyjść.

Jej głos dochodził zza regałów, kilka słów zatrzymało się na twardych encyklopediach i nie dotarło do Perły. Usłyszała tylko trzask drzwi. Zapanowała cisza. Kurz znów poderwał się w górę, ale prędko osiadł z powrotem na wygodnych grzbietach. Perła stanęła na chwilę bez ruchu, przymknęła powieki i poczuła, jak cisza wwierca się do jej głowy, aż straciła równowagę. Mogłaby tak teraz zastygnąć na zawsze. Może nawet faktycznie wtedy tak zastygła i kolejne zdarzenia okazały się tylko projekcją jej uśpionego umysłu. Przynajmniej tak teraz wspomina te chwile. Jak marzenie senne, które wysnuło się przypadkiem z nocnych historii i odegrało scenkę w dzień.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, zauważyła kogoś. Tak się wystraszyła, że natychmiast zastygła znowu. Zamrugała, ale wciąż tkwił w tym samym miejscu. Nie wiedziała, czy był tu już wcześniej, zanim przyszła, czy zupełnie bezgłośnie wszedł dopiero teraz. Stał na drugim krańcu sali. Perła widziała tylko fragment twarzy między półkami. On jej nie widział, w ogóle się nie ruszał. Przesunęła jedną z książek, by zobaczyć go w całości. Ręka jej drżała, bała się poruszyć, by przypadkiem nie zniknął. Wciąż nie widziała go wyraźnie, ale pobudzona wyobraźnia nadrobiła braki. W dalszym ciągu jej nie dostrzegał, więc się w nim po prostu zakochała. Zaplanowała ciąg dalszy, wymyśliła emocje. Nie wiedziała, co robić, każde rozwiązanie wydawało się teraz nieodpowiednie. Gdyby się zdemaskowała, nie byłaby już w stanie zachować się naturalnie. Im więcej czasu upływało, tym bardziej jej wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Pragnęła go jak nic innego do tej pory, jednocześnie chciała, by zniknął i zostawił ją w spokoju. Spojrzała na niego po raz ostatni, patrzyła aż do



zapamiętania i znów zamknęła oczy. Wiedziała, że zniknie. Uniosła powieki i już go nie było. Nie minęło kilka minut, a z korytarza dały się słyszeć odgłosy kroków. Drzwi biblioteki się otworzyły i wszedł Wiktor. Perła czekała na niego przy stole. Wyglądał na zmęczonego, chociaż starał się to ukryć. Ona zawsze dostrzegała prawdę. Uśmiechnął się do niej i serdecznie przytulił.

– Ależ ci wali serce! – Wiktor poklepał ją jeszcze po plecach i usiadł naprzeciwko. – Nie sądziłem, że wciąż robię takie wrażenie na kobietach!

Perła uśmiechnęła się grzecznie i wbiła wzrok w róg stołu.

– Kochanie, przede wszystkim bardzo się cieszę, że cię widzę – zaczął Wiktor i cały się pomarszczył od kolejnego uśmiechu.

Pasowała mu ta troska i ciepło. Perła próbowała rozszyfrować, co tak naprawdę kryło się za uprzejmym usposobieniem. Pod barwną fasadą podświadomie wyczuwała jakąś skazę.

– Wszystko wskazuje na to, iż będziemy współpracować. – Rozłożył ręce i aż zatrząsł stołem.

Perła zrobiła wielkie oczy. Już zapomniała, po co tu przyszła. Główny cel tego spotkania rozpuścił się po wydarzeniu sprzed paru chwil. Próbowała wyłuskać resztki zdań, które tak mocno wbiła do głowy i odtwarzała wielokrotnie w drodze. Coś o odmowie, jakieś usprawiedliwienia, pewne siebie uśmieški. Wszystko przepadło. Zamiast tego patrzyła bezradnie na Wiktora. Odczekał parę sekund, a nie uzyskawszy odpowiedzi, zaczął mówić o wydawnictwie i nieskończonych możliwościach, które Perła zyska, wiążąc się z nim. Jego słowa wpadały w wielką, przepastną studnię.

Echo obijało się o głowę Perły, ale szybko ulatywało i nie pozostawiało nawet cienia słów. Marzyła, by już zmierzał do sedna, by mogła się już zgodzić. Bo bardzo chciała się zgodzić, ale nie chciała tłumaczyć dlaczego. Sama sobie też próbowała tego oszczędzić, ale przecież doskonale wiedziała, skąd ta nagła zmiana decyzji. Odpychała tę świadomość, ale ta z impetem powracała i wwiercała się coraz głębiej. Jeśli zejdzie zbyt nisko, Wiktor wszystko wyczyta ze spojrzenia Perły, dlatego dziewczyna uciekała wzrokiem, przymykała powieki, sprawiała wrażenie nieobecnej. Chciała tylko móc przyjść tu raz jeszcze i przeżyć to, co tak mocno ją teraz opętało.

Wiktor doskonale czuł się w roli mówcy, nawet jeśli jego słowa nie budowały żadnej interakcji. Informował Perłę o sprawach, które dla niej stanowiły najmniej istotny element całego procesu wydawania książki, by wzbudzić w niej przekonanie, że jest w dobrych rękach, a on wszystkim się zajmie, dopilnuje, by nie musiała się nigdy martwić o te rzeczy. Znał Henryka i wiedział, że Perła potrzebuje troski i ciepła. Obiecał następnym razem poznać ją z osobami odpowiedzialnymi za prace redakcyjne i krótko opisał, co będzie się działo z tekstem, nim ujrzy on światło dzienne. Wreszcie podsunął plik kartek.

– Pozwoliłem sobie już wcześniej przygotować umowę. Nie musisz jej podpisywać od razu, będzie nawet lepiej, jeśli zabierzesz ją do domu i przeczytasz na spokojnie.

Perła na samym początku zmierzyła wzrokiem długopis, który niespodziewanie pojawił się przy umowie. Popatrzyła na Wiktora, a ten wzruszył ramionami i westchnął głęboko.

– Tak naprawdę życzylbym sobie, byśmy te papierki

mieli już za sobą – rzekł lekko zawstydzony, choć tę akcję zaplanował na pewno wcześniej.

Spojrzała na rzędy wędrujących po kartkach mrówek. Szły od początku do końca, nic więcej nie potrafiła zobaczyć. Uważnie dotykała kolejnych stron, myślała, że tak wypada. Rozumiała pojedyncze wyrazy, ale zestawione w zdania tworzyły absurdalną rzeczywistość. Cała ta sytuacja była dla niej czymś abstrakcyjnym, nie do końca rozumiała, jak kawałek papieru zabezpieczony tuszem może wpłynąć na jej dalsze życie. Po raz kolejny poczuła zażenowanie, znów posunęła się w swych analizach zbyt daleko i znalazła się teraz na ostatniej stronie.

– Tam na dole, w rogu. I parafka na każdej stronie. To samo na drugim egzemplarzu – poinstruował ją Wiktor.

Podpisała się tak, jak jeszcze nigdy nigdzie się nie podpisała. Próbowwała odtworzyć ten sam charakter na kolejnej kartce, ale tam znów wyszła jej jakaś obca osoba. Nawet parafki różniły się od siebie. Nigdy wcześniej ich nie ćwiczyła, wyglądały jak śmieszne kulfony, niewiele miały wspólnego z jej stylem pisania. Teraz w ogóle rzadko pisała ręcznie i nie szło jej to zbyt dobrze. Kiedyś zwykła ćwiczyć swój podpis na wypadek, gdyby miała w przyszłości rozdáwać autografy. Patrzyła teraz na swoje imię i nazwisko z nadzieją, że nigdy więcej nie będzie musiała ich przenosić na inne kartki papieru.

Wiktor musiał delikatnie wysunąć umowę spod jej łokci, pobieżnie przebiegł wzrokiem po podpisach i klasnął po odłożeniu papierów na bok.

– Gratuluję, stałaś się oficjalnie naszą autorką! Wkrótce będziesz trzymać w rękach swoją pierwszą książkę. Jakie to uczucie?

Właśnie wtedy przypomniała sobie o Henryku i wróciła do niej cała przygotowana wcześniej przemowa. Nagle wrócił zdrowy rozsądek, wyraźnie rozbłyśły powody, dla których miała stanowczo zaprzeczyć i wyjść. Zorientowała się, co podpisała, co oznaczał ten kawałek papieru z jej koślawym podpisem. Nad głową Wiktora wyrosła głowa Henryka ukrytego między półkami. Popatrzyła na te dwie twarze jak na jedną, przez moment miała wrażenie, że Wiktor wyrządził jej wielką krzywdę. Świadomie i celowo, by spełnić jakąś ukrytą żądzę, i to właśnie ona kryła się za tym serdecznym uśmiechem. Pieniądze, przypomniała sobie. Na pewno chodziło o pieniądze. Wiktor po prostu chciał się wzbogacić na jej osobie. Przecież to oczywiste – Perła stanowiła pewny zysk. Inwestycja w jej osobę nie niosła ze sobą żadnego ryzyka. Była już sprawdzoną marką.

– Chcę, byś zapamiętała jedną rzecz. Zapamiętasz? – wtrącił Wiktor i potrząsnął stołem, bo tylko w ten sposób mógł skupić na sobie uwagę młodej pisarki, która właśnie płonęła gniewem. Ocknęła się. Znad jego głowy nagle zniknął Henryk. Plakat wisiał zresztą w zupełnie innym miejscu biblioteki. – Musisz mi to przysiąc. To szalenie ważne. Przysięgasz?

W jego oczach nie kryła się żadna żądza. Długo w nich błędziła, szukając choćby śladu fałszu. Wreszcie spuściła głowę. Przecież to Wiktor, jedyna osoba, której w pełni zaufała jej ojciec.

– Przysięgam.

– Jeśli obudzę cię kiedykolwiek w środku nocy, będziesz o tym pamiętać?

– Będę. – Uśmiechnęła się do niego ciepło, bo poczuła się jak dziecko.

Wiktor odchrząknął i poprawił się na krześle, jakby miał za chwilę wygłosić przemówienie do wszystkich narodów świata.

– Masz wielki talent. Rozumiesz? Masz wielki talent.

Perła dość niepewnie kiwnęła głową.

– Mówię ci to, ponieważ prawdopodobnie już nigdy więcej nie usłyszysz takich słów. Musisz się przygotować na to, że dla innych będziesz zawsze tylko cieniem Henryka. Od teraz twój talent będzie dzielony przez talent Henryka. Zawsze będziesz miała Henryka na plecach. A to ogromny ciężar. Rozumiesz?

Nie wiedziała, jak zareagować na to wyznanie. Przez jej głowę przewijały się kolejne możliwości, podczas gdy ona sama siedziała bez ruchu. Ulokowała wzrok bezpiecznie gdzieś poniżej oczu Wiktora.

– Tajemnica o tym, kim jesteś, bardzo szybko wyjdzie na jaw. Możesz się bawić w pseudonimy i udawanie, ale to tylko kwestia czasu. Chcę być zresztą z tobą zupełnie szczerzy. Niestety to ja będę zmuszony ujawnić tę informację. Taki biznes. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. Taki biznes.

Zaśmiał się i przejechał dłonią po włosach. Jego twarz szczerwieniła pod wpływem emocji, błyszczał mu nos i czoło. Wreszcie się odsłonił i choć przez chwilę wyglądał na swój wiek.

– Perła, czy ty mi w ogóle wierzysz?

– Wierzę.

Nie wierzyła. Zawsze się automatycznie sprzeciwiała, gdy ktoś stawiał jakieś granice. Natychmiast rodził się w niej bunt, nagle odnajdywała w sobie siłę, by udowodnić, że jest inaczej. Kosztem zdrowia, innych, siebie. Wierzyła

w Wiktora, w jego naturalną zdolność zjednywania sobie ludzi i panowania nad każdą sytuacją. Była skłonna podążać za jego wskazówkami, ale nawet on, w swej nieskończonej mądrości i sprycie, nie potrafił zmienić jej toku myślenia. A doskonale władał logiką, argumentami i własnym urokiem. Perła jednak nie do końca wierzyła w logiczny porządek świata. Im twardsze argumenty ktoś jej przedstawiał, tym bardziej starała się udowodnić, że jej to nie dotyczy.

W tej chwili drzwi otworzyły się z hukiem. Zaskrzyptały i uderzyły o ścianę. W progu ukazała się znajoma sylwetka, a Perła straciła panowanie nad swym ciałem. Po kilku sekundach zauważyła, że to jednak inna osoba, choć teraz już sama nie wiedziała, co widziała wtedy, a co widzi teraz. Sylwetka nabrała kształtów kobiecych, gdy przekroczyła próg biblioteki. Niewysoka dziewczyna chwyciła drzwi za klamkę i przytuliła się do nich, pogłaskała jak kota, przeprosiła. Wiktor wstał od stołu, posłał Perle niedokończony uśmiech i podszedł do dziewczyny. Chciał jej dotknąć, ale uchyliła się. Sama podeszła do stołu i usiadła na miejscu Wiktora. Miała ciekawą, z bliska niezbyt ładną twarz. Bardzo wyrazistą, o ostrych rysach. Żuchwa była lekko wysunięta do przodu, usta długie i blade, zanikające. Żółtawa grzywka przykrywała wysokie czoło i wkradała się pod powieki. Nie kryła niechęci do Perły. Patrzyła na nią jak na zagrożenie, w jej spojrzeniu tkwiło coś zwierzęcego. Perła poczuła się nieswojo. Instynktownie czuła, że jej obecność ma coś wspólnego z wcześniejszym wydarzeniem w bibliotece. Kiedy o tym teraz myślała, próbując patrzeć w te groźne oczy, miała wrażenie, że mimo woli rodzi się jakiś rodzaj porozumienia między nimi.

Wiktor szybko znalazł się z powrotem przy stole i nie pozwolił na swobodny rozwój sytuacji.

– Perła, to jest Laura, moja córka. Laura, to jest...

– Córka Henryka.

Perła zrozumiała. Z trudem się uśmiechnęła, choć kąciki ust zdrzały jak przy płaczu. „Córka Henryka”. A więc Laura ustanowiła hierarchię. Z jakiegoś powodu czuła się zagrożona i wpadła do biblioteki, by pokazać, że to jej terytorium i jej świat. Perła uśmiechnęła się znów, bo teraz została wyróżniona – stała się zagrożeniem, choć nie rozumiała dlaczego. Kolejny uśmiech posłała w stronę Laury, by trochę ją podrażnić, ale i zachęcić.

Laura odsunęła się od stołu, zwinnie i lekko ruszyła do drzwi. Już prawie zniknęła w ciemności korytarza, ale cofnęła się i teraz Wiktora zmierzyła tym samym, pełnym niechęci wzrokiem. A więc to nie Perła ją rozzłościła. Laura uśmiechnęła się od ucha do ucha i zawisła na framudze.

– Sebastian znów uciekł – rzuciła prawie kokieteryjnie i przyłgnęła do drzwi. Odnalazła klamkę i niespiesznie, teraz delikatnie, pociągnęła drzwi w stronę korytarza. Zniknęła zupełnie bezgłośnie.

– Wspaniałe przedstawienie – westchnął Wiktor, gdy tylko drzwi się zatrzasnęły. – Laura właśnie wydaje swoją pierwszą płytę i jest wyjątkowo nieznośna. Na szczęście jeszcze tylko przez rok będzie nastolatką i potem podobno zachowują się już normalnie.

Usiadł z powrotem na swoje miejsce, gdzie Perła wciąż i tak widziała Laurę. Kontynuował wywód, ale ona wcale nie miała zamiaru niczego się dowiadywać. Zbyt głęboko pogrążyła się już w myślach. Składała historię z tych fragmentów rzeczywistości, które ją dziś uwiodły. Tak, została

dziś uwiedziona, i to dwukrotnie. Nie musiała już nic więcej wiedzieć. Zaczęła się bezwiednie uśmiechać, nawet coś powiedziała. Sama zeszła z niewygodnego dla Wiktora tematu i zaproponowała bezpieczną rozmowę. Wspomniała o Lucjanie, bo informacji o nim zawsze dostarczała jej Lucyna, a teraz zamilkła. Według Wiktora Lucjan szykował kolejny projekt i jak zwykle zagarnął wszystkie osoby tylko dla siebie, bezwzględnie zabraniając im kontaktu ze światem.

– On chyba wciąż przeżywa to, że nie podołał powieści Henryka – zauważyła Perła.

– On nie umrze, jeśli nie skończy tego projektu. – Wiktor roześmiał się, ale zabrzmiał poważnie. – A jak już go pokaże światu, to przecież i tak nikt się nie zorientuje, że to ma coś wspólnego z dziełem Henryka.

Wiktor lubił obśmiewać Lucjana. Nigdy nie robił tego w sposób gruboskórny i lekceważący, ale gdy tylko miał ku temu okazję, podważał delikatnie jego autorytet. Wytykał mu słabostki i celnie kwitował dziwactwa.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła sympatyczna sekretarka, czerwona szminka zdążyła już spełznąć z jej ust.

– Panie Wiktorze, ktoś do pana na górze.

– Kto? – Głos Wiktora zdradził podejrzliwość.

Kobieta zawahała się, rzuciła ukradkowe spojrzenie na Perłę.

– Nie przedstawił się.

– I gdzie on teraz jest?

– Czeka w pana gabinecie.

– To dopiero musi być ważne!

Tradycyjny uśmiech powrócił na twarz Wiktora. Wstał



od stołu, Perła też się natychmiast podniosła i uściśnęła wyciągniętą w jej stronę dłoń. Mocny, szorstki uścisk.

– Ale my już na szczęście skończyliśmy. Zresztą teraz będziemy się widywać bez przerwy.

Minęła go w drzwiach i skierowała się w stronę schodów. Sekretarka szła obok, jakby chciała mieć pewność, że Perła skieruje kroki prosto do wyjścia. Już prawie zniknęły z pola widzenia, gdy usłyszały donośny głos Wiktora:

– Teraz to się zacznie!

\*

Lepiej by było dla wszystkich, gdyby się nie zaczęło. Perłę od tego momentu codziennie budziła i uciskała ta sama myśl. To, co nastąpiło po premierze jej książki, przerosło oczekiwania wszystkich. Perła nie wiedziała, czy przepęłniała ją radość, czy groza. Mieszały jej się emocje własne i Henryka, bo myślała też zawsze za niego. Znalazła się w centrum zainteresowania, na co zupełnie nie była przygotowana. Zawsze służyła tylko za pomost między innymi a ojcem. Teraz uwaga skupiała się na niej, w nią celowano. A przynajmniej tak z początku naiwnie jej się wydawało. Odzyskała rozum, gdy zaczęła przeglądać materiały na swój temat. Lawinowo pojawiały się artykuły na temat jej życia, ktoś kręcił już dokument, powstawał pomysł na film fabularny. Książkę oceniano wyłącznie w kontekście twórczości Henryka. I Perła też istniała tylko w kontekście Henryka. Nieliczne głosy podkreślające talent natychmiast przyćmiewali zwolennicy ojca, którzy talent Perły uważali za jego zasługę. Geny, krew, przeznaczenie. Niektórzy zarzucali jej wręcz bezczelność, okradanie go z jego

umiejętności. Ci, co odważyli się ocenić dzieło przychylnie, robili to z wielką ostrożnością. Pochwały jej talentu i tak wypadały bardzo blado na tle sensacji, jaką stanowiła ona sama. A książki, choć sprzedawała się dobrze, nikt nie traktował jako autonomicznego bytu. I to Perłę bolało najbardziej. Jej słowa nie niosły żadnej treści, nie układały się w żadne historie, nie budziły w czytelnikach żadnych przemyśleń. Ostygł i smak, i emocje. A przecież kiedy pisała, mózg wrzał jej z przejęcia. Nie mogła sobie poradzić z tym, że inni łykali ją na raz, zupełnie bezmyślnie, by móc włączyć się do dyskusji.

Pojawiały się i głosy wściekłej krytyki. Niektórzy pie-nili się ze złości, że czyjaś córka wydaje jakiś bubel tylko dlatego, że jest czyjaś córką. Żarli się jak zwierzęta, używając słów do zadawania głębokich ran. Żyli życiem Perły bardziej niż ona sama. Wiedzieli o niej więcej niż ona sama. Lepiej ją rozumieli niż ona sama. Wyżywając się na niej, mogli dać upust emocjom związanym z Henrykiem. Perła wciąż istniała jako pomost, ale teraz musiała dźwigać tony jadu i kwasu, jaki przelewał się od jednych do drugich. Wykorzystywano ją do odwiecznej walki pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami sławnego ojca. Gdy zorientowała się, że nagła sława zachęciła ponownie do masowego zaczepiania Henryka, była bliska załamania. Czuła się podobnie, gdy porzuciła ukochaną gimnastykę na rzecz niekochanego pisania. Tkwiła w dwóch miejscach jednocześnie, bojąc się zrobić krok tylko w jedną stronę. Nigdy nie wyobrażała sobie, że z tego pisania może wyniknąć coś dobrego. Mogło przynieść jej wyłącznie zawód. Ale to okazało się silniejsze od niej. To nie była kwestia wyboru, bo ten już się dokonał.

W tym właśnie okresie zaczął ją nękać Bruno. Nękało ją wielu, ale zwykle chodziło o sensację, próbę wywołania skandalu albo uzyskanie informacji o Henryku. Bruno wykazywał zainteresowanie książką, pięknie o niej opowiadał i chciał o niej pisać. Perła wchłonęła tę subtelną formę flirtu jak gąbka, zauroczyła się jego słowami. A potem wyszło na jaw, że podobnie jak wszyscy inni wkoło jest zainteresowany przede wszystkim Henrykiem. Perła po raz pierwszy odkryła wtedy, do czego mogą posunąć się ludzie, by wykorzystać ją do swoich celów. Ze zgrozą obserwowała, jak lekko przychodzi innym udawanie i kłamanie, wchodzenie w relacje oparte na fałszywych uczuciach. Stała się zupełnie przezroczysta, wszyscy widzieli w niej ojca. Przestała wtedy wierzyć w bezinteresowność, każdą napotkaną osobę traktowała jak zagrożenie, unikała wchodzenia w bliższe relacje. W ogóle unikała nowych znajomości, uważała wszystkie osoby poznane w tym okresie za podejrzane. Coraz więcej czasu spędzała samotnie w domu, nie chciała się narażać. Dochodziła do kuriozalnych wniosków, próbując znaleźć wytłumaczenie dla swojego pisarstwa. Rozważała prawdopodobieństwo odziedziczenia tej skłonności. W końcu choroby psychiczne też się dziedziczy. A jej stan był jak choroba, która objawia się pisaniem. Chyba każdy obarczony takim brzemieniem rodzi się koślawy. Nie da się żyć normalnie, mając posąg za ojca. Wstydziała się przyznawać, kim jest i co robi. Nie wiedziała, kim jest i co robi. Zastanawiała się, w jakim stopniu jest Henrykiem. Jak bardzo nim nasiąkała, ile z niej to wyłącznie on. Jak wiele myśli, odruchów i lęków należy do niego. Przytłaczająca obecność ojca zupełnie wypłukała z niej pamięć o matce. Zagarnął sobie ją tak samo, jak zagarniał wszystkich. Nie

dzielił się żadnymi wspomnieniami, nie wykształcił w umyśle małej Perły żadnego obrazu Małgorzaty. To, co wiedziała, znała od innych ludzi, z książek i filmów. Nie tęskniła, nie myślała, bo nie miała punktu odniesienia. Nie czuła żadnej więzi z matką. To przecież Henryk zrodził ją ze swego umysłu. Perła wyskoczyła mu z głowy.

Postanowiła sobie nigdy nie mieć dziecka. Historia rodziny zamknie się na niej, będzie ostatnim jej owocem. Przekreśli wszystkie marzenia Henryka o kolejnych pokoleniach. Przerazała ją myśl, że mogłaby urodzić geniusza. Znalazłaby się wtedy między nim a swoim ojcem, jak jakiś nieudany eksperyment, próba genów. A może wraz z dzieckiem pozbyłaby się wszystkich chorych myśli? Mogłoby się w nich obtoczyć jak w bułce tartej, zabrać z niej wszystkie lęki i strachy. Takie myślenie sprawiało jej ulgę. Zaczęła rozumieć, dlaczego Henryk chciał gromadki dzieci. Mógłby obdzielić je sobą po równo. Odciążyć się trochę. A tak wszystko spadło na Perłę i w niej się skumulowało. Przecież to nie do zniesienia dla jednej drobnej osoby. I tak, gdyby miała rodzić, urodziłaby Henryka, bo on już mieszkał w jej brzuchu. Czuła go przy każdym najmniejszym ruchu, może to właśnie on kierował jej ciałem.

Przypominała sobie czasem zapewnienia Wiktora, że ma talent. Wiedziała o tym. Przecież pisała doskonale, miała zmysł. Ale on dobrze wiedział, co robi. Sprzedałby każdą powiastkę sygnowaną takim nazwiskiem. Ostrzegł ją, to prawda, ale nie ustrzegł przed tym, co nastąpiło. Kiedy przyszła do niego po tym, jak dziki tłum próbował wtargnąć do jej domu, zaczął ją uspokajać. Tłumaczył jej, że te zmasowane ataki nienawiści wynikają właśnie z talentu Perły, ale nikt nie odważy się tego przyznać. Gdyby była

beztalenciem, nie zagotowałyby krwi w żyłach tylu osobom. A kiedy pytała bezradnie: „dlaczego?“, wybuchał śmiechem, jak to on, a potem głaskał ją po włosach i znów spokojnie tłumaczył. Ciągle przekonywał ją, że musi poczekać. Wiktor wszystko wiedział. „A może to Wiktor stworzył świat i mnie” – myślała Perła i odchodziła uspokojona.

Emocje stopniowo opadały, jej czas na piedestale się skończył. Mogła wreszcie oddychać głęboko, wychodzić z domu bez obaw, że zostanie wciągnięta do jakiegoś show. Wciąż stanowiła obiekt zainteresowania, ale jej temat wyskakiwał na główne strony, gdy nie mieli o czym pisać. Jej książka pojawiła się nawet w zestawieniu najlepszych powieści roku. W dwuzdaniowym uzasadnieniu zmieściła się wzmianka o pokrewieństwie z Henrykiem, ale i tak było to jak do tej pory najmilsze wyróżnienie. Potem pojawiło się jeszcze parę informacji na portalach branżowych, aż wreszcie na lśniących stronach czasopisma literackiego wydrukowano dwustronicowy artykuł poświęcony w całości debiutanckiej powieści Perły. W pierwszym odruchu chciała nawet pokazać go Henrykowi. Zawróciła na schodach i pobiegła do Wiktora. Promieniała. Chciała szybko wydać kolejną książkę, by załapać się jeszcze na te pochlebne recenzje. Przekazała wydawnictwu ukończoną powieść jeszcze w trakcie prac nad pierwszą. Książka była gotowa do druku, ale nie Wiktor. Stanowczo odmówił, a do niej dotarło wtedy, że w ogóle go nie rozumie. Ufała mu coraz bardziej, ale jego decyzja o chwilowym wstrzymaniu się z publikacją miała gorzki posmak. Gdy spotkała się z nim, by omówić tę kwestię, odkryła tajemnicę. Wiktor wyglądał na bardzo zmęczonego. Miał problem z mówieniem, krzątał się po gabinecie, jakby chciał z niego

wyfrunąć, nawet na chwilę nie usiadł. Pierwszy i ostatni raz widziała go w takim stanie. Wtedy właśnie powiedział, że Henryk przesłał mu pierwszą część następnej książki. I stopniowo dosyłał kolejne. Przeszli do pokoju, gdzie piętrzyły się pakunki. Przy każdym widniała krótka nota napisana odręcznie przez Henryka. Perła wyjęła kilka kartek z wierzchu i nie potrafiła przeczytać żadnego zdania. Nie dlatego, że pisał gęsto i ciasno, bo jego pismo było przy tym niezwykle przejrzyste. Wychwyciła tylko kilka słów, ale wystarczyły, by przestawić jej myśli, przewrócić je na drugą stronę. Popatrzyli na siebie z Wiktorem w milczeniu. Wreszcie pożegnała się i wyszła, bo nic więcej zrobić nie mogła. Wróciła do domu, który nagle stał się innym domem, rozplakała się i napisała o tym, skasowała plik. Siadła w kącie, zawsze miała ochotę wcisnąć się w ścianę i przeczekać tam cały smutek.

Stopniowo narastający gniew tłumiała słowami. Znudziła ją sława, wzmianki o książce przestały mieć znaczenie. Pisanie przestało mieć znaczenie. Organizm stracił znaczenie. Budziła się rano bez przekonania, bez czucia i emocji. Nie mogła przestać pisać, ale nie potrafiła stworzyć żadnej historii. Dni spędzała przewieszona przez barierkę na balkonie. Czasem siadywała pod drzwiami Henryka w godzinach jego pracy i przysłuchiwała się pisaniu. Miała ochotę wtargnąć do pomieszczenia i udusić go poduszką. I tak już powinien umierać, ale czepił się teraz pisania jak butli tlenu. Kradł powietrze Perle. Była pewna, że umrze przed nim.

\*

Wtedy przyszedł pierwszy list od Sebastiana. Perła dostawała dużo listów w tym czasie, zwykle układała je w jednym miejscu i odczytywała w wybrany dzień tygodnia. Większość kopert natychmiast łądowała w kominku. Rzadko zdarzało się, że ktoś używał tej tradycyjnej formy, by przesłać wyrazy uznania lub krytyki. Zwykle trafiały się zaproszenia, prezenty, zachęty, rabaty. Czasem prośby o autograf Henryka. Bywały i próbki tekstów, te łądowały w piecu jako pierwsze. Nic nie wzbudzało w Perle tak wielkiej niechęci jak inni autorzy. Z ogromną satysfakcją posyłała ich na pierwszy ogień i patrzyła, jak płoną. Życzyła im, by przeszli piekło przed publikacją debiutu. Fizyczne maltretowanie i psychiczne cierpienie. Taka naturalna selekcja. Może wtedy zastanowiliby się dwa razy przed napisaniem czegokolwiek.

Od razu wiedziała, że to on, choć list był równie tajemniczy, co spotkanie w bibliotece. Sebastian po prostu zaanonsował swoje przybycie. Bez żadnych wyjaśnień. Jakby znali się od lat. Perła szukała ukrytego przesłania, ale kartka wciąż uparcie pokazywała tylko tych kilka zdań. Sparaliżowało ją szczęście. Bała się głębiej odetchnąć, by czasem się nie obudzić. To musiał być sen, nawet jeśli był prawdą. Po prostu udało jej się przenieść rzeczywistość w sferę swoich marzeń. Przypomniała sobie wizytę w wydawnictwie Wiktora, co teraz jawiło się jak najczystsze i najpełniejsze doznanie jej życia. Zniknęły wspomnienia o stresie, pocie, strachu, pozostał tylko obraz rozkoszy. Laura też wyglądała zupełnie inaczej, jej żądza krwi wzbudziła teraz w Perle dreszcz podniecenia. Rozłożyła to zdarzenie na małe cząsteczki i składała w wymyślne konstelacje. Układała ciągi dalsze, budowała skojarzenia, przywoływała

dialogi. Uczyła się od nowa uczyć, sprawdzała je na swoim organizmie. Wchodziły w ciało jak igły do akupunktury. Nie mogła spać. Nie mogła spać od wielu dni, ale po tym liście w ogóle nie potrafiła zamknąć oczu. Nie chciała nawet na chwilę opuszczać tej smacznej myśli. Przyjdzie. On przyjdzie do niej. Najpierw zasypiała z lampką winą, ale tak się tym rozochociła, że wypijała całą butelkę, zasypiała nad ranem i budziła się koło południa. Przerzuciła się na ziołowe herbatki, okłady i cukierki. Leżała z łąką na oczach. Teraz zamiast rzucać się z boku na bok trwała bezsennie w zupełnym spokoju. Wreszcie sięgnęła po tabletki i mogła sterować swoim snem automatycznie.

W dzień spotkania obudziła się z trudem. Wsparła się na łokciach i przygniotła ręką opakowanie tabletek. Omiotła wzrokiem pokój. Żaluzje nie wpuszczają słońca, na podłodze leżał budzik, przy nim stłuczony kieliszek, który wykrwawił się resztką wina. Wstrząsnął nią dreszcz. Sięgnęła po zegarek, ale jego wskazówki zawinęły się jak wąsy i wyszły poza czas. Rzuciła się do okna i kiedy uniosła żaluzje, wiedziała już, czemu nie widzi słońca. Dzień się oddalał, chował za pagórkami i przyszłymi galeriami handlowymi. Z impetem natarła na drzwi. Zamknięte! Spanikowała, ale szybko wyczuła klucz pod stopą. Cicho, jak najciszej, nacisnęła klamkę i nasłuchiwała przez chwilę. Wychwyciła pojedyncze odgłosy z kuchni i typowe pomruki starego domu. Odetchnęła i zmiękła. Wciąż na palcach dotarła do schodów. Dopiero tam wróciła do niej cała odwaga. Zbiegła na dół, do pomieszczeń przeznaczonych dla służby.

Kiedyś krzątały się tu różne osoby, dziś została tylko pomoc w kuchni i ogrodnik, który przychodził dwa razy w tygodniu. Od kiedy zmarł Józek, mianowany ze względu



na swoje wielkie zaangażowanie gospodarzem domu, zrobiło się ponuro. Henryk nie chciał nikogo innego, więc dom nagle zaczął się starzeć, a razem z nim pozostali domownicy. Perła próbowała przejąć obowiązki ukochanego Józka, ale dom bez jego obecności był dla niej obcy i zimny, nie słuchał jej. Józek miał anielską cierpliwość i nieskończoną ilość czasu, a wszystko przychodziło mu z lekkością. Poświęcił temu miejscu całe swoje życie. To Małgorzata, gdy zaszła w ciążę, zasugerowała, by zamieszkał w domu. Potrzebowali złotej rączki i złotego serca. Henryk, jak zawsze sceptyczny, w końcu przystał na ten pomysł, a po śmierci żony nie wyobrażał już sobie życia bez Józka. Dzięki niemu nie musiał w ogóle wychodzić z domu, bo ten dostarczał mu materiały potrzebne do pracy. Czasem nawet chodził w imieniu pisarza do Wiktora, który dostawał białej gorączki, gdy musiał rozmawiać z Henrykiem przez pościańca.

Perła w dzieciństwie lubiła chodzić za Józkiem krok w krok po całym domu przez cały dzień, przeszkadzając i marudząc, pytając bez końca. Nie przeszkadzało mu to, że czepiała się jego nogi i musiał pracować z uczepionym u boku ciężarem. Czasem opowiadał jej o Małgorzacie, bo Perła stawała się do niej podobna. Sięgał wtedy pamięcią gdzieś daleko w przeszłość, przeokropnie się przy tym marszcząc. Ale pamięć coraz bardziej szwankowała i z dnia na dzień mówił coraz mniej. Mruczał sobie pod nosem, coś nucił. Umarł po cichu i od tego czasu dom zaczął przemawiać.

W kuchni zastała tylko Tosię, kucharkę, zajętą smażeniem. Na patelniach kłębiły się iskry, podskakiwały i strzelały, siadały na fartuchu. W dużym garnku kotłował się bulion, bulgocząc donośnie. Powoli wyłaniały się zapachy,

splatały się nad płytą kuchenną i płodziły słodki aromat. Wkrótce zapachnie w całym domu. Główny posiłek zawsze jedli późno, bo Henryk porę obiadową przesypiał. Perła ostatnio jadła rzadko, tylko coś podskubywała z lodówki na górze, ale te unoszące się smaki pobudziły jej apetyt.

– Dzień dobry, Tosiu!

Krzyk Perły zginął gdzieś w ogólnym rozgardiaszu, ale kucharka obróciła się i powitała ją rumieńcami. Przewróciła mięso na patelni i zmniejszyła ogień. Mówiła, obsługując jednocześnie trzy palniki:

– Wstała królowna! Dobudzić nie mogłam, drzwi zamknięte, myślałam, że się może co stało.

– Wie Tosia, że po tabletkach śpię jak zabita. – Perła usiadła przy wąskim stole, gdzie zalegały resztki cebuli i czosnku.

– Po co się szprycować tym świństwem, kochana! Wyszłaby przed snem na spacer, powietrza świeżego powdychała i spałaby jak szczeniaczek. Jak szczeniaczek!

Tosia machnęła chochlą i postawiła Perle przed nosem rosół. Grzał jej twarz, parował wściekle. Kucharka szybko wróciła do kuchenki i sprawdziła mięso, potrząsnęła patelnią. Coś do siebie powiedziała, nastawiła piekarnik. Przyjemnie było patrzeć na jej krzątanie, dyrygowała potrawami jak maestro.

– Ktoś cię chyba przyszedł odwiedzić – powiedziała przez ramię. – Nie mogłam cię dobudzić, to kazałam zaczekać w salonie.

Apetyt Perły natychmiast zniknął. Przełknęła wrzącą łyżkę zupy i nawet nie poczuła pieczenia.

– Nie widziałam nikogo w salonie – odezwała się z silnym przekonaniem w głosie.

– Może już poszedł, ile można czekać? Chciałam dać rosołu, to nie chciał.

Tosia zabębniła pokrywkami, zdjęła ostatni kawałek mięsa z patelni i włożyła ją pod strumień zimnej wody. Ogłuszający syk wwiercił się Perle do głowy. Zwariowała. Wstała i podeszła do zlewu.

– Co mówił?

Kobieta uśmiechnęła się do niej radośnie, nie usłyszała pytania.

– Zaraz będzie drugie danie! – krzyknęła, zagłuszając szum.

Perła nagle zaczęła się dusić w zadymionym pomieszczeniu, musiała natychmiast wyjść i skulić się. Usiadła na schodach i schowała głowę w dłoniach. Jak mogła do tego dopuścić? Nawet nie wiedziała, co się stało. Ile spała? Dzień, dwa? Już jej się zdarzało przespać więcej niż dobę. Kiedy miało być spotkanie? Jaki dziś w ogóle dzień? Dlaczego się nie pilnowała? Dlaczego Tosia nie wyważyła drzwi? Przypomniała sobie jej słowa. W salonie! Podniosła się i przeskakując co dwa schody, dotarła tam w parę sekund. Wyszła nawet na balkon, omiotła wzrokiem cały ogród. Wróciła do środka i krążyła bez celu. Gdyby się zatrzymała, dopadłyby ją wszystkie wątpliwości. Wtedy usłyszała głos, ale pomyślała, że to Tosia rozmawia z potrawami. Wyrzała na korytarz i stanęła przy schodach. Gdy się wsłuchała, usłyszała wyraźnie. Przyłożyła ucho do barierek. Drżała lekko. Odgłosy nie dochodziły z kuchni. Podniosła głowę i spojrzała w górę. Wspięła się wyżej i z każdym kolejnym stopniem nabierała pewności, każdy kolejny krok potwierdzał przecucie.

Śmiech Henryka – śmiech Henryka! – ugodził ją przez dziurkę od klucza. Nacisnęła kławkę, ale drzwi nawet nie

drgnęły. Zgasła. Poczwała się podwójnie oszukana i zdradzona. Henryk znów okazał się lepszy, znów jej coś odebrał, znów triumfował. Perła znów stała się przezroczysta.

Nagle poczuła obrzydzenie do całej tej sytuacji i zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, co dzieje się za drzwiami. Zbiegła po schodach, uruchamiając całą gamę dźwięków, i uciekła. Długo biegła, łapiąc łapczywie powietrze i rumieńce. Po powrocie spała jak szczeniaczek. Jak szczeniaczek!

\*

Perła sądziła, że pojawienie się Wiktora kilka dni później miało związek z wizytą Sebastiana. Może za zamkniętymi drzwiami wydarzyło się coś tak straszego, że Wiktor postanowił zatłuc Henryka na śmierć? Trochę tak to sobie Perła wymarzyła. Gdy jednak obdarzył ją serdecznym uśmiechem, zorientowała się, iż przybył w sprawach wyłącznie biznesowych. Przecież Henryk przez ostatnie tygodnie lawinowo zasypywał wydawnictwo twórczością. Musiało się im wreszcie skończyć miejsce. Z Perłą Wiktor nie zamienił nawet słowa, pogłaskał ją po głowie i zniknął.

W trakcie obiadu Tosia zaanonsowała jej, że Henryk chce się z nią widzieć. Perła odruchowo utkwiła wzrok w zestawie noży kuchennych. Pociła się z przejęcia przez resztę posiłku, wreszcie stanęła ponownie przed zbyt dobrze znanymi drzwiami. Tym razem nic się nie wydarzyło. Wszystkie złe emocje, niezależnie od niej, cofnęły się przy zetknięciu z Henrykiem. Po przekroczeniu progu znów stała się tylko cieniem. Autorytet ojca wciąż ją blokował. Gdy okazało się, że wezwał ją, by odniosła wypożyczone materiały

do biblioteki, emocje Perły przeskoczyły na drugi biegun. Nikt oprócz Małgorzaty i Józka nie miał prawa asystować pisarzowi. W jednej chwili wymieszały się w niej wszystkie odcienie uczuć. Te najlepsze i te najgorsze, te od kochania i te od zabijania.

\*

Nastąpił nieznaczny przełom w ich stosunkach. Henryk wciąż traktował ją z chłodną rezerwą, unikał dialogów. Perła działała jak automat, wykonując podane polecenia. Wypożyczała mu książki według przygotowanej listy, chodziła na umówione przez niego spotkania i dowiadywała się tego, czego tylko chciał. Zapisywał jej wskazówki, podkreślał, na co ma zwrócić uwagę, dlatego często zadawała krępujące pytania, by zaobserwować reakcję pytanego. Ze zdumieniem obserwowała, jak różne osoby reagują na legendę jej ojca. Próbowwała chować w tajemnicy fakt, że zbiera informacje na potrzeby nowej powieści Henryka, ale gdy napotykała opór, wytaczała to najpotężniejsze działo. Ludzie zmieniali się wtedy. Przybierali inny ton głosu, wrywali jej notatki z rąk, dostawali słowotoku albo wręcz przeciwnie – zastygali jak słup soli. Czasem z hukiem lądowała za drzwiami, czasem oferowano jej wszystko, byle tylko ich wkład przyczynił się do rozwoju książki. Kiedy ktoś orientował się, że ma do czynienia z córką pisarza, musiała się gimnastykować na wszystkie sposoby, by informacja ta nie przedostała się do mediów. Na szczęście duże sumy niezmiennie załatwiały wszystkie sprawy. Obserwowała te wszystkie reakcje i notowała je w swoim prywatnym notatniku. Czasem spotykała się z ludźmi ponownie i zadawała

im pytania spoza listy ojca. Na złość podkradała teksty i oddawała niekompletne sprawozdania. Czuła się z tego powodu okrutnie dobrze. Robiła na boku własne dochodzenie, wieczorami długo oddzielała od siebie materiały ojca i własne. Czuła, że wreszcie i ona ma władzę.

\*

Weekendy i poniedziałki Perła spędzała teraz głównie w Centrum Zdrowego Myślenia, mieszczącym się na obrzeżach miasta. Stworzone, by pobudzać znudzonych i zmęczonych mieszkańców do życia, oferowało spory zakres usług – od tradycyjnych form psychoterapii po wszelkiego rodzaju działalność artystyczną. Znalazło się tam miejsce na boisko sportowe, salę gimnastyczną, basen, kino, a także największą w mieście bibliotekę. Niedawno w sąsiedztwie powstał hotel, ambitne plany zakładały nawet budowę sanatorium. Najlepsi specjaliści wszelkich dziedzin mieli za zadanie uwrażliwić klientów (nikt nie używał słowa „pacjent”) na proste przyjemności i oczyścić ich umysły ze stresu. Centrum pracowało dwadzieścia cztery godziny na dobę, w każdy dzień tygodnia, w każdy dzień roku. Mógł tu przyjść każdy z każdym problemem i oddać go w ręce sztabu znawców, którzy rozmnażali go na kolejne działy. Często do ośrodka przychodzili też ludzie bez żadnych objawów choroby i dopiero z czasem, uczestnicząc w zajęciach, nabywali przeróżne schorzenia. Na szczęście trafiali zawsze w dobre ręce.

Jednym z najbardziej obleganych budynków był oddział rozsiewania wątpliwości i wyrzutów sumienia, czyli popularny Blok C. Tam zazwyczaj spotykało się towarzystwo,

które poprzednią noc zarwało w Miasteczku Miłości. Centrum i Miasteczko bez wątpienia stanowiły najpopularniejsze miejsca w tym mieście – jedno dostarczało uciechy duchowej, drugie cielesnej. Centrum, choć położone na obrzeżach, było faktycznym sercem miasta. Miasteczko było równie pulsującym organem, na mapie ciała ulokowanym jednak nieco niżej od serca.

Perła odwiedzała Centrum już wcześniej, jednak dopiero dzięki współpracy z Henrykiem stała się częstym gościem tego miejsca. Wykupiony abonament upoważniał ją do nieograniczonego korzystania z usług Bloku A, gdzie znajdował się ośrodek terapii poprzez sztukę. Tutaj odbywały się warsztaty, wykłady, wystawy, spotkania autorskie, przeróżne happeningi i skandale. Tutaj nie istniały żadne ograniczenia. Wnętrze budynku pokrywała radosna twórczość, nieustannie ktoś tkwił przy ścianie lub suficie, zmieniając wystrój.

Z różnych sal dobywały się krzyki i śpiewy, czasem przypadkiem wplątywało się w jakąś sztukę odgrywaną na środku korytarza albo wpadało się na wielkiego, różowego królika ustawionego w głównym holu. Zdarzały się i spontaniczne występy taneczne, nagle zwykłe wydarzenie prze-radzało się w musical. Perła wielokrotnie ćwiczyła swoją cierpliwość, gdy okazywało się, że jej rozmowa z członkiem obsługi przemieniała się w spektakl. Albo członek obsługi zmieniał się w rzeźbę. Dlatego kierowała kroki natychmiast do biblioteki.

Najcenniejsze zbiory znajdowały się w obszernych podziemiach, część dostępna dla czytelników zaczynała się na drugim piętrze i obejmowała trzy kolejne kondygnacje. Na samej górze ulokowano czytelnię, skąd rozciągał się

bajeczny widok na całe miasto. Dla klientów dostępny był również taras, z powodu powtarzających się prób samobójczych musiał jednak zostać drastycznie obudowany. Na terenie biblioteki unosiła się cicha melodia muzyki klasycznej, ludzie poruszali się wolniej i ciszej niż zwykle, siedzieli w wielkich pluszowych fotelach szczęśliwi jak koty. Przy okrągłych stolikach mogli spożywać napoje, więc podczas wędrówki między półkami w poszukiwaniu tytułów najpierw odnajdywało się zapach kawy i świeżo wyciskanych pomarańczy. Perła wymykała się tu czasem w bezsenne noce, przysuwała fotel do szyby i obserwowała sen miasta. Z okna widziała także boisko, gdzie zajęcia odbywały się bez względu na porę dnia, oraz salę gimnastyczną. Jeśli jeszcze mocniej przykleiła twarz do szyby, mogła podglądać wydarzenia na sali. Wtedy zwykle podchodził ktoś z obsługi i zwracał jej uwagę, że nie wolno dotykać szyb.

Przychodząc do Centrum po raz pierwszy, każdy klient miał możliwość bezpłatnego korzystania ze wszystkich form terapii przez jeden dzień. Kiedy Perła postanowiła odkryć fenomen Centrum, udała się wprawdzie do części sportowej. Poszła tam tuż po liceum, gdy wciąż goiła ranę po zakończonej karierze gimnastyczki. Chciała wreszcie zerwać tego strupa raz na zawsze i dlatego wybrała terapię poprzez sport. Jednak znalezienie się ponownie w tym środowisku, w tej charakterystycznej atmosferze, rozpuściło wszystkie mozolnie upychane w kąt pamięci emocje. Natychmiast zalały rozum, serce, żołądek, dodały soli do ran, puściły hamulce. Przez niecałe dwa tygodnie nie wychodziła z tej części Centrum, wyczerpując się stopniowo i fizycznie, i psychicznie. Wreszcie jeden z trenerów oprzytomniał i przekazał Perłę w ręce fachowców od



głów, którzy wypełnili jej czas psychotestami i psychozabawami. Po tych wydarzeniach nigdy więcej nie postawiła nogi w Bloku B, a jej rana miała się już nigdy w pełni nie zagoić. Zniszczyła dotychczasowy karnet i tylko od czasu do czasu zaglądała do części bibliotecznej. Aktualne wizyty były również formą terapii, przekonała się, że uczucie bólu zastąpiły szare odcienie obojętności. Jeśli czasem wpadała na nią grupa roztańczonych gimnastyczek, mijała je z uprzejmym uśmiechem.

Odwiedzając Centrum w roli asystentki Henryka, Perła odkryła nową twarz tego kompleksu. Oprócz tego, że Centrum było miejscem cudownych uzdrowień, relaksacyjnych zabiegów, oczyszczania sumień i portfeli, stanowiło też źródło niezwykłych historii. Wystarczyło czasem szturchnąć kogoś przypadkiem w windzie, a z rękawa sypała się opowieść. Atmosfera działała sprzyjająco, dobre humory rzadko kiedy opuszczały klientów, dzięki czemu Perła łatwo mogła namówić przypadkowych gości do zwierzeń. Osobiste tragedie mieszały się z brudnymi plotkami, wydarzenia zaprzęśłe nachodziły na przewidywania przyszłości. Trochę inaczej wyglądała tylko sytuacja w Bloku C, co wynikało ze ścisłych powiązań tamtejszego towarzystwa z osobami z Miasteczka. Plotkowano, że Centrum posiada jeszcze jedną część, która znajduje się w podziemiach i jest dostępna wyłącznie dla osób pracujących w Miasteczku. Niektórzy posuwali się w spekulacjach jeszcze dalej, twierdząc, iż pracownicy Centrum są faktycznie obywatelami Miasteczka, przemienionymi przez tajemnicze zabiegi w sekretnym ośrodku. Perła kolekcjonowała te wszystkie skrawki opowieści i próbowała ułożyć z nich historię Centrum. Musiała się pilnować, by nie zapominać o priorytetowych zadaniach,

doskonale wiedziała, że najmniejsze potknięcie mogło wywołać gniew Henryka. Gdy przypominała sobie o nim, jej entuzjazm stygł i znów stawała się przenośnym urządzeniem do rejestracji potrzebnych materiałów.

W trakcie jednej z wizyt, gdy próbowała ominąć wielką konstrukcję z papierowych łabędzi, wpadła wprost na Lucynę. Uszkodziły część dzieła, więc szybko wymknęły się na korytarz. Dziewczyna przytuliła się do niej. Lucy pachniała pięknie sobą, była tak przyjemnie ciepła i miękka, choć straciła na wadze. Przejechała długimi palcami po włosach Perły, ujęła jej twarz w dłonie i ucałowała najpierw w czoło, a potem w czubek nosa.

– Zapomniałaś o mnie! – Perła zmarszczyła czoło jak naburmuszona nastolatka i chwyciła Lucy za rękę, by nie uciekła od niej.

Kobieta przytuliła ją znów do siebie.

– Wiesz, że to nieprawda.

Perła popatrzyła jej w oczy i dostrzegła nowe zmarszczki i siwe włosy.

– Wiem – mruknęła wciąż nieco obrażona.

Stanęły przy ścianie, by nie dać się wciągnąć w żadne przedstawienie. Ostatnio rozmawiały przelotnie gdzieś w trakcie wielkiego zamieszania spowodowanego wydaniem książki. Lucyna o coś zapytała, Perła coś odpowiedziała, obie nie pamiętały już teraz, czy rozmawiały na żywo, czy przez telefon.

– Król wypuścił cię z zamku?

– Tylko na chwilę. – Lucyna stanęła wyprostowana przed Perłą. – Nie słyszałaś?

– O czym? – Dziewczyna całym ciężarem oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

- Lucjan wznowił pracę nad powieścią Henryka. - Usta Lucy wygięły się w grymasie i ciężko było określić, czy się uśmiechnęła, czy skrzywiła. - Po dwudziestu latach! Wszystko przez ich ostatnią rozmowę.

- Lucjan rozmawiał z Henrykiem? - Ze zdumienia Perła otworzyła szerzej oczy.

- Właściwie to Henryk chciał rozmawiać z Lucjanem.

- Wciąż mówimy o moim ojcu?

Kobieta zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Myślałam, że już to wiesz!

- Od Henryka? - Teraz to Perła wybuchnęła śmiechem i przyłożyła dłonie do twarzy, bo jej policzki zaczęły niespodziewanie płonąć czerwienią.

- Lucjan twierdzi, że ten Sebastian to twój znajomy.

Perła spojrzała na nią przez palce. Powoli opuściła ręce, opuściła je aż do podłogi. Rozpełzły się w przeciwnych kierunkach i rozerwały ją na pół.

- A co on ma z tym wspólnego?

Lucy otworzyła usta i już chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła. Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać:

- Jakiś czas temu Henryk skontaktował się z Lucjanem. Koniecznie chciał mu coś powiedzieć. Bredził, że spotkał postać, o której pisał. I to był Sebastian. Poznałaś go w końcu czy nie?

- Tylko minęliśmy się w wydawnictwie. Sebastian to chyba syn Wiktora.

- No tak, Sebastian to syn Wiktora. - Lucyna zrobiła przerwę i popatrzyła na ścianę. Na chwilę odpłynęła myślami w innym kierunku, ale szybko się ocknęła. - W każdym razie Lucjan się z nim spotkał. W końcu słowo Henryka

jest dla niego świętością. Nie pozwolił mi być przy tym, ale w dzień spotkania był zupełnie nieswój. Chyba już wtedy zaczął żyć tym, co powiedział mu Henryk. Nim jeszcze spotkał tego chłopaka, już wiedział, że to ktoś absolutnie wyjątkowy. Gdybyś go wtedy zobaczyła! – Objęła twarz dłońmi i wzdrygnęła się, jakby przebiegła ją dreszcz. – Zwałował, wpadł w trans! Gdyby mógł, nakręciłby ten film od razu, w ten dzień. I tak projekt został wybudzony ze śpiączki. Lucjan też odżył, jakby dostał drugie życie. Wiesz, od kiedy pierwsze podejście do książki okazało się totalnym fiaskiem, Lucjan popadł w otępienie. Rzucił się na byle jakie projekty, wszczynał pracę nad dziwnymi eksperymentami, a potem je porzucał. Wieścił swoją rychłą śmierć, groził samobójstwem. Rozmowę z Henrykiem odczytał jako znak, twierdził, że ta powieść jest jego przeznaczeniem, zwieńczeniem kariery i życia. No więc zaczęło się! – Lucyna podniosła do góry torbę, w której miała różne dokumenty, teczki i notatki. – Wreszcie mogę trochę odpocząć od niańczenia i zająć się samym filmem.

– Myślałam, że lubisz niańczyć – wypaliła natychmiast Perła i od razu pożałowała wypowiedzianych słów. – Przepraszam. Zaskoczyłaś mnie tą historią. Natychmiast poczułam, że muszę się na kimś żyć.

Zarumieniła się. Nie spodziewała się takiej wiadomości i nie potrafiła jeszcze uznać jej za prawdę. Dopiero gdy Lucyna odejdzie, a ona sama wróci do domu, to właśnie tam rozegra się mały dramat. Wtedy wszystko nagle rozbłyśnie i zwali się na głowę. Dlatego teraz Perła chciała, by Lucyna już sobie poszła, by nie dokładała już nic więcej do tej historii.

– Już jest lepiej? – spytała po chwili Lucy, a dziewczyna kiwnęła głową.

- Najgorsze minęło. Zaczęło się układać.

- Piszesz?

Teraz to Perła uniosła swoją torbę z książkami, teczkami, notatkami. Jak pięknie okoliczności sprzyjały kłamstwu. Lucyna radośnie ją utuliła, a Perła poczuła ogromny smutek. Mogłaby powiedzieć jej wszystko, ale kłamstwo już się rzekło. Było jej teraz podwójnie ciężko.

- To nie zatrzymuję cię już, sama zresztą mam tu wiele do załatwienia. Może się dziś jeszcze miniemy. Niestety nic nie mogę obiecać. Lucjan potrzebuje teraz więcej uwagi niż normalnie. Chcę mu pomóc, żeby skończył jak najszybciej. Bez pomocy zabije kogoś albo siebie samego pierwszego dnia zdjęć. Idziesz w stronę biblioteki?

- Nie, ja właśnie wychodziłam.

Zaskakujące, jak jedno kłamstwo pociąga za sobą całą lawinę. Gdyby Lucyna zadała jeszcze jakieś pytanie, Perła mogłaby zmienić całą swoją historię, a nawet tożsamość. Zwinnie ominęłaby wszystkie nieprzyjemności, może nawet sama uwierzyłaby we własne brednie. Może zmienianie przeszłości na korzyść przyszłości było jakimś sposobem na teraźniejszość.

- To co, do zobaczenia na premierze?

Przez myśli Perły przewinął się czerwony dywan, tłumy, oklaski, Henryk, Sebastian, Lucjan. Wszyscy w jednym miejscu, w jednym czasie. To nie mogło się wydarzyć.

- Do zobaczenia na premierze.

Perła obejrzała się jeszcze, by upewnić się, że Lucyna zniknęła za rogiem. „Najgorsze minęło. Zaczęło się układać”. Odtwarzała w kółko swoją odpowiedź przez całą drogę. „Najgorsze minęło. Zaczęło się układać”. Wciąż ciepłe, a już nieaktualne. Jeszcze piętnaście minut temu tak było.

Jeszcze piętnaście minut temu najgorsze minęło i zaczęło się układać. Sama w to uwierzyła. Odtwarzała do znudzenia. Jak w ogóle mogła w to uwierzyć? Że najgorsze minęło i zaczęło się układać? Dotarła do domu, weszła do pokoju, zamknęła drzwi. Najgorsze wróciło. Zaczęło się rozpadać.

\*

Weszła prosto w Henryka. Wyglądał na rozbudzonego. Dostrzegła go wyraźnie po dłuższej chwili, gdy słońce przestało palić jej oczy. Zmierzyli się w progu, dwie chude sylwetki wpasowane we framugę. Istniało wiele opcji. Perła bała się, że zostanie obciążona poczuciem winy. Nie znośiła chować w sobie tego uczucia, które tak trudno potem wydalić z organizmu. Mógłby krzyknąć. Sama poczułaby wtedy ulgę. Zamiast tego wyciągnął w jej stronę kremową kopertę.

– List do ciebie – powiedział wolno i wyraźnie, przedłużając proces przekazania go.

Perła w pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować, i tylko podniosła rękę. Henryk włożył list między palce jej dłoni i przeszedł na balkon. Córka odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zajął leżaka. Nie powinien siedzieć na słońcu. Przesząpiła z nogi na nogę, przejechała palcem po swoim imieniu na kremowym papierze. Przypomniała sobie, gdy po raz pierwszy dostała list zaadresowany tym charakterem pisma. Znała nadawcę. Wiedziała wszystko, gdy tylko Henryk pokazał jej kopertę. Nigdy nie przynosił jej przesyłek, to leżało w kompetencjach Tosi. Nie interesowało go życie córki, o ile nie plątało się z jego losem. Perła obróciła kopertę, by móc bez końca patrzeć na to jedno

imię. Zbitek liter, rząd znaków. Zbiór setek obrazów. Od tego ostatniego feralnego spotkania, gdy się nie spotkali, miała nadzieję, iż to nie koniec ich wspólnej historii. Czuła, że łączy ich coś wyjątkowego, coś, co ma metafizyczny wymiar, łączy się z kosmosem, słońcem, niebem. Takie wielkie rzeczy zawsze się rodzą z drobiazgow. Takim drobiazgiem okazało się ich spotkanie w bibliotece. Od tego momentu Sebastian był ciągle obecny w jej życiu, pojawiał się zawsze wtedy, gdy udawało się jej trochę zapomnieć.

Po raz ostatni spojrzała na Henryka i po cichu uciekła z jego pola widzenia. Wspięła się na najwyższy punkt domu, dokładnie zamknęła drzwi poddasza i usiadła pod oknem, które rzucało snop jaskrawego światła. Było duszno i brudno, kurz drzał jak zawiesina w tym ciężkim, zbitym powietrzu. Długo wpatrywała się w nazwę miasta. Koperta zaczęła się samoistnie rozklejać, papier miękł od mokrych dłoni Perły. Odliczyła w pamięci od dziesięciu, wytarła ręce o uda i wyjęła kartkę. Zasłoniła ostatni akapit, bo jej wzrok intuicyjnie podążył w tamtym kierunku. Odczytała list, odczytała go spokojnie kilka razy i zeszała do najniższego punktu domu. W piwnicy, gdzie chłód smagał po skórze, zapaliła żarówkę, a ta od razu ociepliła niewielkie pomieszczenie. Przeczytała list raz jeszcze, zatrzymała się na dłużej przy ostatnim akapicie. Złożyła list dokładnie, bała się, że słowa mogłyby zsunąć się z kartki. Wyszła do ogrodu i rzuciła okiem w stronę balkonu. Henryk stał w oknie. Perła na trawie. Patrzyli intensywnie przed siebie, jakby tam w dali, w nieosiągalnym dla oka miejscu, tkwił jakiś wzruszający ich oboje sekret. Jakby ich myśli nagle połączyły się w porozumieniu. Perła spojrzała przez ramię na dom, wystawiła swój profil do oceny. Henryk potrafił

czytać twarze tak samo jak ona. Wystarczyłby drobny gest, by wysłać sygnał. Obróciła się twarzą do niego, chciała, by ją dokładnie zapamiętał, by przywoływany obraz jej osoby stał się obrazem z tego właśnie dnia, o tej porze, w tym kraj-obrazie. W tym samym momencie zamknęli oczy.



# LUCYNA I LUCJAN

Lucjan przeczuwał nadchodzący kres. Nażył się już wystarczająco, był zmęczony. Coraz bardziej tył od nadmiaru wspomnień, ciążyła mu głowa pełna wygasłych myśli. Ze zgrozą zauważył, jak każdego dnia coraz bardziej się kurczy, i prześladowały go w związku z tym koszmary. Budził się o poranku i malał, malał, malał, aż wreszcie zniknął zupełnie pod pierzyną. Dlatego tyle jadł i brzydził, ginął pod zmarszczkami. Chciał mieć pewność, że zobaczy się w lustrze. Obżerał się dziczyzną i słodyczami, a w podobnych ilościach pochłaniał wciąż książki. Spasiony od nadmiaru talentu, wyglądał jak ogromny pijany trzmiel, spity i nasycony, ociężałe zawieszony nad ziemią. Musiał zawsze brać kilka oddechów przed dłuższą wypowiedzią, co równie dobrze oznaczało, iż najprawdopodobniej przemieni się ona w krwawą tyradę. Nie oszczędzał swoich aktorów, zwłaszcza nowych, którzy zamiast na grze skupiali się na talencie. Nie lubił zmian w ekipie technicznej, rozpacział po śmierci każdego, kto w jakimś stopniu przyczynił się do powstania jego filmów.

A umierali teraz na pęczki. Każdego dnia umierał ktoś, kogo kojarzył. Miał doskonałą pamięć do nazwisk i pamięć

w ogóle, znał swoje scenariusze w wersjach pierwotnych i zmienionych. Cytował nagminnie, nigdy nie było do końca wiadomo, czy wypowiada własną opinię, czy pasujący na daną okazję fragment literatury. Stary historyk. Ciągłe postękiwał i płakał, łzy spływały mu za kołnierz, mieszając się z potem, więc nerwowo drapał rozpalony ciągle do czerwoności kark. Srebrzyste włosy, wyjątkowo gęste o tej porze starości, kontrastowały z rumianą twarzą. Duże, ciemne oczy błyszczały spod ostro zarysowanych brwi, choć wygięły się lekko pod naporem zmarszczek. Soczysty wąs sterczał asymetrycznie nad wargami i łączył się z zadbaną, krótką brodą, okalającą dwa podbródki. Kiedy zdejmował okulary w pozłacanych oprawkach, na nosie pozostawał ślad ich obecności w postaci dwóch zaczerwienionych dołków. Jego twarz, kiedyś obficie piegowata, teraz zszarzała i wyblakła, zatracając się w mdłym odcieniu czerwieni. Wciąż wiedział, jak się dobrze ubrać. Rozsmakował się w eleganckich koszulach, wzorzystych kamizelkach i miękkich, skórzanych, doskonale dopasowanych butach. Nosił się elegancko i nosił się tak, by to zauważano. Potrafił dzięki temu magicznym sposobem ukryć połowę swojej nadprogramowej obecności.

Lucjan składał się także z ogromnych pokładów ciężkostrawnych miłostek. Zatykały mu żyły i niejednokrotnie doprowadzały do stanów przedzawałowych. Nic się nie zmieniło w tej kwestii mimo upływu lat. Ulegał zauroczeniom notorycznie, a siła uczucia zależała zwykle od projektu, który przygotowywał. Często zakochiwał się w postaciach, a aktorów wybierał raczej na podstawie własnych fantazji niż predyspozycji do roli. Przywiązywał się do odtwórców tak mocno, że potem albo pisał scenariusze

pod konkretne osoby, albo tworzył dla nich specjalne epizody. Uwielbiał otaczać się młodymi i pięknymi na planie i tylko na planie, bo tylko tam miał poczucie kontroli. To właśnie na planie on, stary i brzydki, decydował o każdym najmniejszym kroku, o najdrobniejszej kwestii tych pełnych rozszalałej energii nowicjuszy. Lubił tłumić ich entuzjazm i prowokować wybuchy urażonych ambicji. Budził podziw i strach. Szeptał i krzyczał. Potrafił przemienić się w obrzydliwą bestię, by po krótkiej przerwie powrócić jako najlepszy przyjaciel. Zazwyczaj wykluczające się cechy w jego przypadku tworzyły spójną całość. Tworzyły Lucjana Deflina. Barona Lucjana de Flina.

Dzielił swoich aktorów na dwie kategorie: kruszyny i diamenty. Ci pierwsi patrzyli na niego zawsze z podziwem, ale nie odwzajemniali uczuć. Pozornie twardzi, płoszyli się na dwuznaczne gesty, na długie rozmowy o roli, na pełne pasji monologi Lucjana. Woleli samodzielnie pracować nad grą. Uważali się za profesjonalistów, którzy muszą tylko jak najlepiej wykonać swoje zadanie. I wykonywali je ze świetnym rezultatem. To oni zbierali nagrody, wypełniali encyklopedie. I przynosili zyski, cierpliwie uczestnicząc w każdego rodzaju akcjach promocyjnych. Ale to druga grupa była sensem pracy Lucjana. Oni potrzebowali go do stworzenia kreacji. W pełni poddawali się instrukcjom reżysera, odtwarzali postaci z jego fantazji. Tak naprawdę niewiele dawali od siebie poza swą cielesnością. Lucjan potrafił jednak poprowadzić ich w taki sposób, że natychmiast przykuwali uwagę. Kamera zdawała się rozumieć jego zauroczenie i rejestrowała cały urok tych wspaniałych, niedoświadczonych twarzy. Wykańczał ich, zmuszał do nadludzkich wysiłków, zaglądał najdalej i najgłębiej,

przeświał każdą myśl. Niszczył ich doszczętnie, wyżywał każdą kroplę wrażliwości. Wypruwał z nich żyły, darł uczucia, deptał po głosach sprzeciwu. A sprzeciwiali się mocno, co jeszcze bardziej go cieszyło. Lubił bunt, grymasy złości i szału. Wiedział, że są w pełni od niego zależni. Amatorzy, którzy nie chcieli grać, chcieli być. Chcieli coś pokazać i udowodnić, coś poświęcić dla roli, filmu, sztuki. Godzili się na wszystko, bo mieli poczucie uczestniczenia w misterium. I Lucjan przystrajał pomieszczenia, w przerwach puszczał muzykę, zakradał się do garderób. Uzaależniał od siebie, zamęczał i zachęcał. Starał się tworzyć warunki umożliwiające proces szlifowania diamentów. Twarde były to sztuki, często pozornie niewinne szczenięta zaczynały kąsać. Wystarczyło, że odnalazły cień pewności, a wtedy wszystko zaczynało się psuć. Lucjan musiał nieustannie pilnować, by nie dać się pogryźć i nie stracić kontroli. Ponad zabawami i uciechami najważniejszy pozostawał efekt końcowy. Poświęcanie w tym celu młodych dusz stanowiło nieodzowny element całego procesu. Magiczny dodatek, afrodyzjak dla widza. Bo Lucjan uwielbiał uwodzić także widzów. Pozostawiać ich z krępującym uczuciem podniecenia. Naturalną kolejną rzeczą było rzucenie odtwórców na pożarcie rozkochanej publiczności. Niektórych zostawiał wyłącznie dla siebie. Wystarczyło jednak, by na horyzoncie pojawił się ktoś nowy, i Lucjan natychmiast wsysał całą treść, cały sens człowieka. Diamenty miały tylko błyszczeć na ekranie, prowokować. Przecież wystarczająco ich wynagradzał – zakłęcie na taśmie celuloidowej oznaczało dar nieśmiertelności. Lucjan osobliwie podchodził do zagadnienia sztuki filmowej. Według niego wystąpić w filmie to podwoić swoje

istnienie, wykorzystać jedyną szansę na wykreowanie alternatywnych losów, zmierzyć się z innym ja, którego szukał w aktorach. Udowadniał im, że mogą być inaczej, czuć inaczej, chcieć inaczej. I chcieli, i czuli, i byli.

Za sobą zostawiał wiele ofiar. Jedni żyli z tego statusu, wydawali książki, kończyli w serialach i reklamach. Na zawołanie mieli anegdotę o znieawidzonym twórcy. Inni przepadli. Zniknęli, zginęli, rozplynęli się w powietrzu. Przestali istnieć. Stali się pozbawioną treści skórką. O nich pisali inni. Na drugim biegunie funkcjonowała jeszcze mniejsza garstka szczęśliwców, co przedarli się dalej i błyszczeli jeszcze mocniej. Wielbicieli Lucjana. Skromna grupa podtrzymująca mit o wielkim twórcy. Bo tak mocno nienawidzony, wyśmiewany i potępiany twórca mógł być wyłącznie twórcą wybitnym. Zło i postrach były nieodzownymi elementami legendy. Legenda nie zawsze stanowiła o prawdzie.

\*

Lucy zawsze kręciła się gdzieś obok, choć przecież nie była już jego żoną. Nigdy nie była jego żoną, bo de Flin nigdy nie rozwiódł się z pierwszą małżonką. Baron uważał, że pierwsze, niewykształcone i nieświadome jeszcze swej siły uczucie jest jedynym szczerym i prawdziwym objawem miłości do drugiego człowieka. Nigdy nie wygasa, w przeciwieństwie do lawiny miłostek i namiętności. Według niego zakochujemy się i odkochujemy zgodnie z planem, a przypadkowość i spontaniczność budzą obawy. Próbuje miłość wepchnąć w napięty grafik, napinamy jej delikatne tkanki, by dopasować ją do konkretnych okoliczności.

Z prawowitą, oficjalną i jedyną żoną utrzymywał dobry kontakt, a na zaczepne komentarze odnośnie do ich wygaśniętego, ale wciąż aktualnego w świetle prawa związku odpowiadał słowami przysięgi małżeńskiej. Przykładał wielką wagę do składanych obietnic. Poza tym wciąż kochał Marię i nie miał najmniejszej ochoty się rozwodzić. Poznali się i zakochali już w dzieciństwie. Uczucie wyrosło na gruncie beztrudnych zabaw, kłótni, szarpania za włosy. Lucjan bez oporów zadzierał sukienkę Marii i biegał rękami po drgającym od śmiechu ciele. Gdy wkroczyli w okres nastoletni, pierwsze pocałunki wymagały wysiłku. Lucjan czerwił się na widok bielizny. Kiedy przypadkiem dotknął ciepłego karku Marii, odskoczył jak porażony. Pierwszy stosunek był zbliżeniem dwóch doskonale znających się osób i dwóch nieporadnie szukających się ciał. Byli wtedy tak bardzo zakochani, że tylko wtulali się w siebie aż do bólu. Ta potrzeba bliskości i cielesnego kontaktu wynikała z niezwykle emocjonalnej więzi, przez którą zaczęła im wkrótce wrzeć krew w żyłach. I wreszcie, pewnego leniwego popołudnia (deszczowy dzień w domku letniskowym nad jeziorem), kochali się naprawdę. Mieli po piętnaście lat i dzięki tej długoletniej znajomości nie krępowali się kompletnym brakiem doświadczenia. Lucjan inaczej już wtedy traktował ciało Marii. Po chwili zawstydzenia zdjął z niej niespiesznie jedwabną bluzkę. Ucieszył go znany układ pieprzyków, wypukła blizna pod prawą piersią i duże znamię, które pragnął jak najszybciej odszukać na udzie. Intuicyjnie przebiegł ustami po tych miejscach i odkrywał nowe, nieznanne mu wcześniej uśmiechy na twarzy drobnej Marii.

Pochodzili z dwóch różnych środowisk – on z prowincji, ona z zamożnej rodziny, usilnie próbującej wskrzesić

arystokratyczną przeszłość. Różnice wyszły na jaw bardzo szybko. Wzięli cichy ślub i czym prędzej przenieśli się w inne miejsce, by odciąć krępujące ich więzy rodzinne. To wtedy nazwisko Lucjana rozpadło się na dwie części, co miało mu pomóc w zdobyciu sławy. Kiedy wyszło na jaw, że korzenie jego rodziny były od wieków głęboko osadzone w żyznej, wiejskiej ziemi, zyskał prześmiewczy przydomek barona. Zwracano się do niego już wyłącznie w ten sposób, a Lucjan niezmiennie utrzymywał, iż w jego krwi jest błękitna kropla.

De Flin od zawsze aspirował do roli artysty. Maria początkowo gorąco go wspierała, jednak gdy zobaczyła, jak wielu jest aspirujących artystów w dużym mieście, poradziła mu zająć się czymś innym, pewniejszym. Poza tym wydawał jej się śmieszny, kiedy próbował udowodnić, iż jest kimś, kim nie jest. Zdradzało go wszystko – od stroju po maniery. Gdy bywali gdzieś razem, odkrywali, jak wiele ich dzieli. I od siebie, i od świata, w którym się znaleźli. Po jakimś czasie Lucjan stał się dla Marii nieznośnym i uciążliwym dodatkiem, krępował jej ruchy. Nie chciała się przyznawać, ale wstydziła się za niego. W towarzystwie krytykowano śmiesznego chłopca, za to jej uroda wzbudzała duże zainteresowanie i szybko uplotła sobie wianuszek adoratorów. Mogła wybierać według wzrostu, wieku, zainteresowań, urody. Wszyscy byli artystami, Lucjan nagle okazał się jednym z wielu, i to jednym z mniej ciekawych, wiecznie zazdrosnym i zaborczym. On też powoli zapominał o dreszczach wywoływanych przez samą obecność Marii. Nagle znalazł się w nowym środowisku, gdzie doświadczał nieznanych wcześniej wrażeń. Nie zdawał sobie sprawy z innego świata, leżącego poza granicami rodzinnej wsi.

Natychmiast zachłysnął się nieskrępowaną wolnością, zakochał się w każdej zachwycającej osobie i wykazywał wystarczająco wiele desperacji, by osiągnąć sukces.

Kiedy obydwójce zrealizowali wreszcie wyznaczone cele, na chwilę znów do siebie wrócili. Lucjan tak samo niepewnie zsuwał z Marii sukienkę, tak samo cieszył się na widok pieprzyków. Poczuli się jak w domu. Jak kotłujące się na trawie dzieci, jak przypadkowo odkrywające pożądanie nastolatki. Nie mogli się nigdy rozstać, bo stali się żywymi wspomnieniami okresu radości i swobody.

Z tych doświadczeń wziął się podejmowany często w jego filmach wątek dzieciństwa, najdoskonalszego według Lucjana okresu życia człowieka. Uważał, iż tylko dzieci są zdolne do doświadczania idealnie zharmonizowanego szczęścia. Rozkoszują się każdą chwilą, wierzą w magię i baśnie, a przede wszystkim, przepełnione emocjami i uczuciami, nie wstydzą się ich okazywać. Dlatego lubił pracować z dziećmi i traktował je zupełnie inaczej niż aktorów. U nich naturalność i nieporadność działała na korzyść obrazu. Lucjan dawał im pełną swobodę, lubił patrzeć, jak improwizują. To dlatego jeden z pierwszych jego filmów wzbudził ogromne kontrowersje i wywołał dyskusję na temat udziału małych dzieci na ekranie. Ruszyła lawina pytań, czy są w stanie zrozumieć, że odgrywają rolę. Potem las psychoanalityków i innych wszelkiej maści psychokrytyków rozprawiał w długich artykułach o metodach rzekomo stosowanych przez de Flina, by dzieci uświadomić. Wtedy kolejny film Lucjana stał się pierwszym międzynarodowym sukcesem i wszyscy zbiorowo przekształcili poprzednie wypowiedzi na korzyść nowej produkcji. Nagle metody okazały się rewolucyjne, innowacyjne i bezpieczne.



Zareagował projektem, w którym główne role odgrywały osoby o zdeformowanych ciałach. Żartowano, że nikt nie poinformował go o istnieniu efektów specjalnych oraz że wreszcie znalazł się w odpowiednim dla siebie towarzystwie. To prawda, fascynowała go fotogeniczność zmieszanych ciał. Chciał znaleźć tylko kilka osób, skończyło się na kilkudziesięciu. Gdy zgromadził ich wszystkich razem na planie, nie mógł wyjść z podziwu. To nie miał być kolejny film o dziwolągach, ambicją Lucjana była adoracja ciała w każdej postaci. Lubił wzbudzać u widza równocześnie pożądanie i poczucie winy. Rozkosz i obrzydzenie. Jeśli jego twórczość spotykała się z zażartą, agresywną krytyką, trafiał w czuły punkt, a na tym mu właśnie zależało. Jego filmy nie miały się podobać, tylko wywracać obraz świata do góry nogami. Miały być nieznośne i irytujące. Tak jak ich twórca.

Lucjan sam lubił dolewać oliwy do ognia. Udzielał wywiadów, przez które potem prawie skończył w więzieniu. Prędko ściągnięto go z mediów i zastąpiono sztabem osób wypowiadających się w jego imieniu. Mimo to udawało mu się co jakiś czas zaszokować opinię publiczną, a niewyczerpanym źródłem sensacji pozostawali aktorzy. Pomimo spekulacji, domysłów i rzekomych dowodów nikt z zewnątrz nie miał pojęcia, jak wyglądała praca na planie. Uznano więc, że wszyscy tworzą sektę. Lucjan nie krył zachwyty.

Lucy była jednym z najważniejszych diamentów. Znalazła się gdzieś przy castingach, nigdy nie ukończyła żadnej szkoły filmowej, grała tylko w filmach Lucjana. Długo towarzyszyła mu na planie filmowym, nim zaczęła odgrywać inne role w jego życiu. Obserwowała początek i upadek różnorodnych związków, niezliczone romanse i romansiki,

sukcesy i porażki projektów, śmierć bliższej i dalszej rodziny z ich familijnego planu filmowego. Wszyscy ją lubili, więc nikomu nie przeszkadzało, gdy właściwie zamieszkała wśród ekipy. Nie miała pomysłu, co dalej zrobić ze swoim życiem, i tak nie zrobiłaby kariery, dlatego postanowiła zostać tam, gdzie czuła się najbezpieczniej. Lucjan miewał te swoje ulotne zauroczenia, ale potrzebował też kogoś na stałe, kogoś, kto zawsze będzie obok, choć on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Lucy miała to szczęście lub nieszczęście, że zakochał się w niej, gdy powoli przymierzał się do realizacji projektu życia. Tuż przed rozpoczęciem porzucił nagle ukochaną Anitę, najjaśniejszą gwiazdę. Nowy projekt wymagał nowej energii, całkowitej wymiany akumulatorów. Lucjan bez większego problemu zerwał relację z Anitą i więcej nie interesował się jej losem. Swoje uczucia przelewał wtedy głównie na Henryka. Fascynowało go jego otępienie po śmierci Małgorzaty, ta niekomfortowa sytuacja pozwoliła mu wreszcie roztoczyć przed przyjacielem wizję ekranizacji książki. Przymierzał się do niej, od kiedy tylko zapoznał się z powieścią. Był jej drugim czytelnikiem, nim ta pojawiła się w druku. Pierwsza przeczytała ją Małgorzata. Wymarzył sobie wtedy, że stworzy ekranowe arcydzieło.

Z Henrykiem poznali się jeszcze w czasach, gdy obydwaj próbowali osiągnąć sukces. Pełne przekonanie o sile własnych talentów zbliżyło ich do siebie, a poróżniły płaszczyzny artystyczne, bo według Henryka sztuka filmowa odmóżdżała masy tanią rozrywką. Nie znosił aktorstwa, odgrywania ról, wcielania się w wymyślone postaci. Wyszedł z kina, gdy zobaczył na ekranie obrzucanie się tortami. Gdy reżyser złożył mu propozycję, odczytał to

jako obrazę i od tej pory traktował dawnego przyjaciela z dystansem. Lucjan liczył, że śmierć Małgorzaty przypomni Henrykowi o dawnej relacji dwóch młodocianych artystów. Ich współpraca mogłaby oznaczać formę powrotu do tamtych czasów, rodzaj pożegnania z żoną. Wreszcie padną sobie w ramiona, scaleni ideą stworzenia dzieła ponadczasowego. Naturalnie żadnej z tych rzeczy nie powiedział Henrykowi, ale głęboko wierzył, że ma rację. Zresztą to bez znaczenia, co wtedy mówił, bo ten i tak go nie słuchał. Obserwował nieporadne ruchy córki, jakby bez przerwy dziwił się jej obecności w swoim życiu. Z tygodnia na tydzień stawała się kimś innym, aktualizowała się i wykonywała nowe funkcje. Coś tam pracowało w jej małym mózgu. Lucjan nie potrafił przebić się przez kotarę obojętności, za którą schował się Henryk. Pisarz jeszcze na dodatek kompletnie się postarzał, jak na złość przestał dobrze słyszeć i widzieć. Dobrze się umościł w tej żałobie, stworzył sobie komfortową strefę.

Lucjan musiał odpuścić na pewien czas. Ta fascynacja rozbudziła w nim jednak ogromne pokłady namiętności, więc szybko zorganizował casting na nowy diament. Lucyna została wybrana w pośpiechu do nieistniejącej roli niepowstającego filmu. Szybko zorientowała się w sytuacji i przystosowała do trybu pracy Lucjana. Projekt wymagał od niego tyle energii, że musiała być bez przerwy w pobliżu. Czasami pod koniec dnia słaniała się na nogach. Lucjan wysysał z niej wszystkie siły, obarczał ciężarem własnych przemyśleń i rozterek. Była więc kimś bliskim i zaufanym, kimś, kto być może nie wzbudzał w nim tak wielkich namiętności, ale urósł do rangi równego partnera. W końcu jako jedyna z diamentów przestała być tylko kolejną wizualną

przyjemnością dla jego wygłodniałego oka. Stało się to głównie za sprawą jej wkładu w wychowanie Perły.

Kiedy ostatecznie projekt zastępczy okazał się totalnym fiaskiem, Lucjan ponowił nękanie Henryka. Ubzdurał sobie, że jeśli nie zrealizuje tego filmu, nie będzie w stanie nakręcić już nic innego. Powoływał się na dopiero co porzucony projekt. Według Lucy celowo utrudniał wszystkim pracę na planie, by móc potem dojść do takich wniosków. Sama nieśmiało zaproponowała, iż będzie mu towarzyszyć w spotkaniach z pisarzem, gdy usłyszała o jego córeczce. Świadomość poznania samego Henryka była równie ekscytująca. Myślała, że może nie zaakceptować jej obecności, ale wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, gdy tylko przestąpili razem po raz pierwszy próg jego pokoju. Od tego momentu wszystkie dni wyglądały podobnie. Przychodzili w południe, Henryk siedział w fotelu zwróconym w stronę okna, a Perła bawiła się albo obok, albo w kuchni przy Tosi czy gdzieś pod nogami Józka. Czasem przechodziła z rąk do rąk w salonie, gdzie czekali chętni na spotkanie z pisarzem. Dom stał się przez ten czas miejscem otwartym, zarówno Tosia, jak i Józek nie potrafili kontrolować niekończących się wizyt, więc po prostu wpuszczali znajomych Henryka i Małgorzaty do pokoju gościnnego. Dbali tylko o to, by nikt niepożądany nie przestąpił progę domu. Gospodarz niechętnie rozmawiał z przybyłymi pojedynczo, unikał spotkań w cztery oczy, częściej sam schodził do wszystkich do salonu, gdzie każdy chciał mieć go choć przez chwilę na wyłączność. Lucjan stanowił wyjątek, bo uważał się za jedyne go godnego rozmowy z pisarzem sam na sam. Jako jeden z niewielu nie chylił przed nim głowy, traktował go wciąż jak przed wielu laty, gdy obaj jeszcze nic nie znaczyli.

Robił to zupełnie naturalnie. Nie musiał się obawiać o swój wizerunek w oczach starego znajomego, a tym bardziej nie przejmował się zetknięciem z żywą legendą. Sam nią był i wiedział, że to pusty frazes. Henryka krzywdziła jego własna legenda, a Lucjan nauczył się swoją bawić i wykorzystywał ją do rozsiewania wątpliwości. Odgradzał się od innych murem plotek, historii niemożliwych, zmyślonych i bajkowych. Wszystko, co zostało powtórzone, przyjmowano jako prawdę. Sam Lucjan miał już problemy z odtworzeniem swojej faktycznej przeszłości. Zresztą lubił wymyślone przez siebie historyjki i nie miałyby nic przeciwko, gdyby niektóre z nich rzeczywiście się wydarzyły. I tak też zaczął myśleć. Przyszłości nie mógł sobie tak pięknie zmyślić, dlaczego by nie zaprojektować wspomnień? Często przy tym powoływał się na historie ze swoich snów, tak więc wcale nie zmyślał. Pewne sny pamiętał lepiej niż zdarzenia. Niekiedy stawiał je nawet wyżej w hierarchii rzeczy dla niego ważnych. Myślał o swojej autobiografii w formie sennika.

Henryk wykorzystywał ich wizyty, by się porządnie zdrzemnąć w fotelu, tymczasem Lucjan trwał w przekonaniu, że prowadzą burzliwe dysputy. Czasem nawet go cytował, choć pisarz w ogóle się nie odzywał. Jeśli już, to wołał za Lucyną, by zamknęła drzwi, bo dokuczał mu przeciąg. Były to chyba jedyne słowa skierowane bezpośrednio do niej. Według reżysera w czasach młodości nie mogli się ze sobą nagadać, ale Henryk zawsze ważył słowa, rozgadywał się tylko wtedy, gdy miało to dla niego jakies znaczenie. Bezcelowe głędzenie niezmiernie go nudziło. Nudziło go w zasadzie wszystko, co nie miało związku z literaturą. Z trudem prowadził dialog z ludźmi, którzy go nie

interesowali. Potrafił milczeć całymi dniami. Nie mógł się odnaleźć w zwykłych, codziennych konwersacjach. Takie relacje męczyły go najbardziej. Podtrzymywanie rozmowy oznaczało największą torturę. Bezmyślne wydawanie słów wydawało mu się gorsze od wydawania pieniędzy. Za pieniądze przynajmniej coś się dostawało. Kiedy przemawiał, pragnął, by jego słowa zakotwiczyły się w drugiej osobie. Wszyscy teraz jednak tylko paplali bez zastanowienia, jakby ktoś ich spuścił ze smyczy i zdjął kaganiec. Odbijali sobie słówka jak piłkę. Zateśknił za cenzurą, za czasami, gdy przed powiedzeniem czegokolwiek trzeba było dobrze się zastanowić. Przemyśleć, czy się bierze odpowiedzialność za swe słowa. Teraz przestały mieć znaczenie, więc Henryk pogrążył się w milczeniu.

Lucjan dla odmiany potrafił nawiązać kontakt z każdym. Wszystko go interesowało. Posiadał wrodzoną zdolność dyskusowania na dowolny temat. Wystarczyło, że gdzieś się pojawił, a chwilę później rodził się jakiś projekt. W czasie gdy media bez końca obśmiewały jego domniemane baronostwo, on z sukcesami przekonywał napotykanym ludzi do współpracy. W kularach, w podziemiach, w miejscach, gdzie nie docierał obiektyw kamery, wzbudzał powszechną sympatię. Potrafił się wtopić w otoczenie, lubił pić, a gdy pił, ponad wszystko lubił rubasność, sprośność i głośny rechot. Nikt nie wierzył, że ma do czynienia z *tym* Lucjanem, *tym* despotycznym reżyserem, *tym* sztucznym szlachcicem. Lucjan w ogóle się z tym nie krył, natychmiast informował towarzystwo, z kim mają do czynienia. Ukrywanie się, zasłanianie i przebieranie nie było w jego stylu. I tak wszyscy by go zdemaskowali, więc po co taki cyrk? Cyrk to on potrafił zrobić zdecydowanie lepszy. Owszem, uważał się za kogoś

pokroju boga, ale w przeciwieństwie do zamaskowanych bożków on otwarcie o tym mówił. Kiedy kamery zaczęły się pojawiać wszędzie, wycofał się także i z zabaw. W każdym miejscu widział ukrytych dziennikarzy, więc każdej napotkanej osobie sprzedawał wyłącznie zmyślane historie. Miał na punkcie mediów obsesję, z czasem zaczął tracić dystans i reagował agresywnie na kolejne doniesienia na własny temat. Nie mógł znieść tego, że media pozwalały sobie na jawną bezczelność. Gloryfikowały wszystko, co się przez nie przetoczyło. Każdego, kto dostąpił zaszczytu pojawienia się przed (potępianą przez Lucjana) kamerą telewizji, natychmiast beatyfikowano. I wtedy się zaczynało! Artykuły, okładki, programy, zbieranie dowodów, by na koniec tę osobę uczynić świętą. Bez powodu, ot tak, każdy mógł zostać wyświęcony. Brało się przypadkowego bohatera, najlepiej takiego spod ciemnej gwiazdy, co to się dobrze nie umie wystawiać albo chociaż coś ukradł, kogoś próbował zabić. Kogoś zupełnie bezbarwnego z predyspozycjami na mięsną, tłustą sensacyjkę do pokazania w godzinach popołudniowych, złego z tendencją do nawrócenia. Takie są Jezusy naszych czasów. Lucjan nie miał żadnej litości w stosunku do mediów, do tego fałszywego proroka.

\*

Henryk pewnego dnia niespodziewanie przystał na pomysł realizacji filmu. Lucyna podejrzewała, że chrapnął przez sen albo zaczął zwyczajnie bredzić od rzeczy, co Lucjan zinterpretował jako zgodę. Może nawet go zahipnotyzował albo próbował zamordować. Zdążył także podsunąć mu do podpisu wszystkie wymagane dokumenty (na wszelki

wypadek miał ze sobą wszystko, co trzeba) i twierdził, że tylko nieznacznie go popychał dla uzyskania kolejnych paraf. Potem wysłał do pisarza kordon osób, które mówiły do niego o produkcji w sobie tylko znanym języku. Zanu- dzali go tak, by pisarz nawet nie podejrzewał, iż chodzi o jego książkę. Wkrótce Lucjan rozpowszechniał wersję, jakoby to sam Henryk zgłosił się do niego z pomysłem zekranizowania książki. I to on nalegał, namawiał, nękał tak długo, aż reżyser wreszcie się zgodził. Baron prędko zapłacił cenę za swą wyjątkową zuchwałość. Pomimo największych chęci nie był w stanie uporać się z ciężarem powieści. Ubzdurał sobie, że nikt go nie rozumie. Stopniowo odsuwał od projektu kolejne osoby, a sam popadał w psychozę. Powieść okazała się przekłeta, a Henryk dia- błem wcielonym. Nie, geniuszem wcielonym, poprawiał się i znów odżywał. Oni dwaj, dwa najtęższe umysły tego kraju, mieli połączyć się w jednym dziele. Powtarzał, straszyl, groził, że nie spocznie, nim nie padnie ostatni klaps. To właśnie wtedy roztył się do rozmiarów nieprzyzwoitych, zapychał się wszystkim, co wpadło mu do rąk: słodyczami, historiami, kobietami, słowami. Przepadł ostatecznie uro- czy młodzieniec, zapadł się do wnętrza i rozpuścił. I znów zaczął pojawiać się w mediach – wyskakiwał jako temat zastępczy, idealnie zapełniał luki w tematach sensacyjnych. Wciskano go we wszystkie polityczne spory, mordy, gwałty. Modny temat pedofilii pasował do jego gabarytów. Taki roztyty pączek w maśle na pewno skrywał podłe sekrety. Musiał przynajmniej raz kogoś zgwałcić albo chociaż nie- omal zgwałcić. Spekulowano o tym, co się wyrabia na jego planie. Ile młodych dziewcząt uwiódł. O chłopcach szep- tano. A przecież i zwierzęta grały. Ofiary ochoczo szły się



spowiadać do gazet. Ile razy, gdzie, w co, czy bolało. Eksaktorzy gdzieś się rozpięchli, nie brali udziału w dyskusji. Lucjan nie ułatwiał oczyszczania własnego wizerunku, wciąż żywo i ochoczo podsycając plotki. Nic nie sprawiało mu tak wielkiej satysfakcji, jak oszukiwanie wszystkich, którzy go oczerniali. Mdlął go cukierkowy obraz świata w mediach. Nieważne, czy mówiono o rzeczach dobrych, czy podłych, zawsze pozbawiano je kontrowersyjnych szczegółów, przez co historyjki dobre zlewały się z tymi ohydnyymi.

Na planie zapadły ciche dni. Garstka osób niewyrzuconych przez reżysera milczała. Woleli nie ryzykować, czekali na znak. Montowali, demontowali. Potem już tylko gasili i zapalali światła. Lucjan był w amoku, gdy wchodził do hali. Trwało to dniami, miesiącami, latami. Jego życie gwałtownie się skurczyło. Mieściło się w tej niewielkiej hali. Kiedy stamtąd wychodził, nie mógł oddychać. Łapał powietrze jak wyłowiona na brzeg ryba, musiał się przyzwyczajać do otwartych przestrzeni. W końcu w ogóle przestał opuszczać studio, przekonany, że to go wytrąca z rytmu pracy. Medytował, podduszał się, wymagał stałej kontroli. Chwila nieuwagi, a mdlał od kadzidełek, ziół, ćwiczeń. Nie chciał słyszeć o odpoczynku, wakacjach, przerwie. W ogóle przestał słyszeć. Reagował tylko na ruch na planie. Lucyna musiała pamiętać o jego potrzebach fizjologicznych, bo zapominał się umyć, nie wiedział, kiedy czas się wypróżnić. Tylko apetyt mu sprzyjał. Co brał do ręki, to automatycznie lądowało w jego ustach. Chwila nieuwagi i musiała wydłubywać mu z brody fragmenty scenariusza. Pałaszował wszystkie treści zupełnie bezmyślnie. Zeżarłby nawet i studio, i ludzi, i ją. A kto wtedy by się nim zaopiekował? Co by się stało

z Lucjanem, gdyby wszystkich pożarł? Drżała na samą myśl, nie pozwalała się dotykać.

W końcu film się urwał. Z dnia na dzień runął cały świat. Z wielką ulgą wszystkie plany i zamiary położyły się i zmarły. Lucyna dopiero po jakimś czasie ocknęła się, że to już koniec, że choć wszystko wygląda tak samo, to jest zupełnie inne. Jak odbite w lustrze, w innym wymiarze, odwrotne, przeciwne. Dopiero wtedy poczuła się, jakby ktoś ją wybudził z zimowego snu. Postapokaliptyczny pejzaż nieżywego planu zastąpił miejski gwar. Napełniła się światłem, zaczęła zupełnie inaczej żyć. Poczuła na twarzy ciepło świata. Podmuch samochodów, szelest liści, kroki, kurz. Cały ten bałagan, którym świat się toczył. Zastanawiała się, czy czasem to wszystko, co działo się wcześniej, nie było jakimś sennym koszmarem. Może Lucjan ją wyśnił?

\*

Lucyna znalazła się na planie Lucjana przypadkiem. Nie była aktorką. Nawet nie aspirowała do takiej roli. Sama do końca nie wiedziała, kim jest. W wieku dwudziestu pięciu lat zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co robi. Ode-rwała się od rodzinnego domu i nie popłynęła jak wszyscy – jedni pod prąd, inni z prądem – tylko utknęła na pierwszej przeszkodzie. Musiała podjąć decyzję. Do tej pory decyzje podejmowały się za nią, musiała tylko uczęszczać do szkoły i marzyć o studiach. Na studia się nie dostała. Wypadła z biegu, odłączyła się od stada i została w tyle. Inni parli do przodu, uwiązani na sznurku, a ona niespodziewanie się zerwała, choć mogłaby tak pociągnąć jeszcze przynajmniej przez parę lat. Nagle zobaczyła przed sobą rozpościerający

się bezkresny krajobraz. Ciągłe o nim marzyła, gdy biegła do przodu wąską ścieżką, ale teraz wydał jej się przerażający, złudny i zbyt duży. Nie potrzebowała aż tyle. Nie wiedziała, od czego zacząć. Z dnia na dzień przestała mieć plan. Każdy kolejny dzień był cięższy. Nikt jej z domu nie wyganiał, a tego właśnie potrzebowała – żeby wywalili ją na bruk i zmusili do przetrwania, do uruchomienia naturalnych, zwierzęcych instynktów. A ona się tylko grzała w ciepłym mieszkaniu z ciepłą rodziną. I nie próbowała narzekać, bo nie wypadało. Przecież była szczęściarą, inne osoby mogły pomarzyć o takich warunkach życia. „Tamci” (zawsze są jacyś „tamci”, niezidentyfikowani „oni”) musieli w jej wieku harować jak woły, zarabiać, włóczyć się nocami po mieście i uczyć, by w ogóle coś osiągnąć. Lucyna nie rozumiała, dlaczego siedzenie w domu miało być w jakikolwiek sposób dla niej lepsze. Ale to uczucie, że jest kochana, rozpieszczana i bardzo droga, rozmiękczyło w niej zwierzęce instynkty. Udomowili ją. Jak wilka albo lwa. Jej potrzeby sprowadziły się do jedzenia, spania i myślenia. Głowa nie dawała jej spokoju, co rusz podsuwała nowe wątpliwości, kwestionowała obecny styl życia, sugerowała zmiany. Lucyna potrafiła sobie wyobrazić całe swoje przyszłe życie. To, jak by się zachowała w konkretnych sytuacjach, ile by zrobiła, gdyby opuściła ten szklany klosz. Wiedziała tylko, że kiedyś będzie szczęśliwa, kiedyś się oderwie. Wystarczyło tylko... Przekładała to na inny dzień. Fantazjowała o nieuleczalnej chorobie. Wtedy by się zawzięła, poruszyłaby niebo i ziemię, by walczyć o każdy dzień życia. Wyobrażała sobie, jak z płaczem informuje bliskich o stanie zdrowia. Nie, to oni by wtedy płakali, ona byłaby już pogodzona i pewna siebie. Rodzicom nigdy nie zależało na jej studiach. Liczył się

tylko zawód. Ojciec załatwił jej dobrą pracę u znajomego w biurze, z szansą na awans. Miała się tylko jej trzymać jak Pana Boga za nogi. I szybko została młodszą księgową, ale nie mogła wskoczyć na kolejny szczebel. Gdyby zrezygnowała, złamałaby ojcu serce. Myślała, że dzięki tej pracy wyrwie się z domu, ale zarobki były niewielkie, a poza tym było jej przecież dobrze. Czemu ty się, Lucysiu, chcesz od nas wynieść? Żle ci? Inni nie mają takich luksusów, muszą na wszystko od rana do nocy pracować. Wyobrażasz sobie takie życie? Wyobraź sobie, to zobaczysz, jak masz dobrze! I Lucysi miękło serce, i już nie chciała tak bardzo uciekać z dobrego domu.

Kiedy wreszcie zdecydowała się wydorosnąć, umarła jej matka i musiała się zająć siostrą. Wreszcie coś ją ciągnęło do przodu, zwolniło z myślenia. Wstawała rano i wiedziała dokładnie, co będzie robić. Pochłaniały ją teraz przepisy, zakupy, porządki. Nawet praca zaczęła mieć większy sens. Trzy lata później siostra dostała się na studia i wyjechała do innego miasta. I właśnie wtedy Lucyna zdała sobie sprawę, że nie wie, kim jest i co robi. I czy to wszystko ma jakikolwiek sens. Albo czy kiedykolwiek miało. I czy będzie miało.

Zakochała się, by choć trochę sobie ulżyć. Bywał w barze, do którego zawsze wpadała po pracy, taki jeden Romek. Też wpadał po pracy, a pracował w kinie. Wyświetlał filmy. I na te filmy Lucynę podrywał. Chwalipięta z niego był niemożliwy: pokazywał podpisane przez gwiazdy plakaty, opowiadał, z kim on to nie palił po seansie, nawet zagraniczne gwiazdy znał. To go zmotywowało do nauki francuskiego, bo to według niego prawdziwy język filmu. I gdy się mówiło po francusku, to trochę tak, jakby ukryta kamera rejestrowała dialog. Wtrącał więc wszędzie te francuskie

„r” i „ą”, i „ę” i zamawiał przy barze francuskie piosenki. Lucynie schlebiała jego kokieteria. Choć nic silniejszego od sympatii do niego nie czuła, pozwalała mu posuwać się coraz dalej. Gdy było jej wyjątkowo źle, sama się prosiła o słowne pieśzcoty, o te francuskie „r” i „ą”, i „ę”. I nawet o te francuskie piosenki, z których nic nie rozumiała, ale wprawiały ją w nastrój miłosny.

To z Romkiem zobaczyła po raz pierwszy film Lucjana. Romek był jego wielkim miłośnikiem i pokazał jej wszystkie dzieła. Zawzięcie je komentował i Lucyna nie wiedziała, czy podobały jej się filmy, czy to, jak o nich mówił. Wspominał ostatnią premierę, kiedy pojawiła się cała ekipa, co naprawdę go wzruszyło, a Romek aż tak często się nie wzruszał. Kiedy opowiadał, jak zmięktły mu kolana, gdy zobaczył Anitę – wielką gwiazdę filmu – ugiął nogi, a na jego twarzy rysowało się autentyczne zdziwienie wymieszane z podziwem. Gdy mówił o filmach, stawał się kimś innym – zadziorny szpaner nagle ustępował miejsca wrażliwemu zapaleńcowi. Prawie skakał dookoła Lucyny, gdy czymś się ekscytował i nie potrafił tego ubrać w słowa. Mówił prostym językiem, dosadnym. I choć prawdopodobnie widział więcej filmów niż niejeden znawca, nikogo takiego z siebie nie robił.

Dzięki Romkowi trafiła na plan, bo znał kogoś, kto znał kogoś. Casting zorganizowano z dnia na dzień, informacja pojawiła się tylko w wybranych kręgach. Nikt nie wiedział, co to za projekt. Romek niemal siłą zaciągnął ją na miejsce, bo gdy namawiał ją, by spróbowała swoich sił, uznała go za wariata. Nie pamięta dokładnie, co się działo podczas castingu, poza tym, że nikt się nią nie interesował. To wtedy nagle poczuła się odciążona z dotychczasowego wcielenia.

Zupełnie jakby dopiero się narodziła, jakby wszystko mogło się zacząć od nowa. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zobaczyła Lucjana i się nie zakochała. I postanowiła się nie zakochiwać. Lucjan ją dostrzegł i dostrzegł wielkie rumieńce. Wyglądała z nimi jak mała dziewczynka, która zgubiła się w parku rozrywki. Lucjan w pierwszym odruchu otoczył ją swą opieką, ale już wkrótce to on wymagał opieki. Dzięki jego potrzebom sama czuła się potrzebna. Zawsze liczyły się tylko jego zachcianki, tylko on, bo nikt inny tak naprawdę nie istniał – przy nim było się nikim. Uważał, że posiadał niespotykaną moc. On, tylko on, jedyny na świecie.

Lucyna znalazła sobie miejsce w jego życiu gdzieś z dala od potrzeb cielesnych. Przycupnęła bliżej rozumu, choć sama stała się niewidzialna. Lucjan szybko znudził się jej ciałem, które na dodatek nie chciało się w niego wpasować. Ich relacja przypominała zapasy, przyciągali się i jednocześnie odpychali. Lucyna postanowiła bezczelnie wtrącić się w jego życie, schować tam przed własnym. Czuła się przedziwnie bezpiecznie w jego świecie. Nie potrafiłaby już, nie chciałaby już więcej żyć gdzie indziej.

A Romek? Czy nie popełniła wtedy błędu? Wciąż po tylu latach nie dawało jej to spokoju. Może tak się zaczyna miłość, od takiego niekochania? Może najpierw się ją odrzuci, odrzuca, a nawet się jej wstydzi? Żadne tam motyle, łaskotki, bicie serca, tylko strach. Ciało boi się, że się scali z innym, wniknie w nie inna tkanka i zrośnie już na zawsze. Może stąd ten wstyd, gdy się kogoś tak w siebie przyjmuje? Blisko, tak że bliżej już się nie da. I dlatego tak boli, nawet po latach, bo to miejsce przeznaczone na miłość pozostaje puste i nie da się tam wpasować nikogo innego. A może po prostu Lucyna idealizowała tamto młodzieńcze

uczucie? Kiedyś wydawało jej się, że to właściwe zakochanie się jest naturalną kolejną rzeczą, jak edukacja czy praca. Po prostu nadchodzi pewnego dnia i człowiek myśli sobie: „w porządku, to jest to”, i idzie dalej. Zwątpiła, gdy urwała się jej edukacja. Nigdy nie czuła się tak samotna jak wtedy. Wszyscy pognali po te swoje prace i miłości, a ona została sama ze skończonym (wtedy sądziła, że to koniec) życiem, urwanym w beznadziejnym miejscu. Przybyło jej lat, a związek z Lucjanem dodał kolejne. Wyglądała już tak, jak wyglądać dopiero miała pod koniec życia. Już się przeżyła, już dotarła tam, skąd nie było nic dalej widać. Ustatkowała się na mecie. Dotarła tam pierwsza, wszystkich przegoniła. Wygrała.

Patrzyła na Lucjana z nieustającą troską. Jej uczucia do niego nie zmieniły się od chwili, gdy go poznała. Nie zakochała się. Nie zakochała się nigdy i chyba właśnie dlatego tyle wytrzymała u boku barona.

\*

Kiedy zadzwonił Henryk, Lucjan był świeżo po zawale. Odchorował klęskę projektu życia. Rzucił się w wir kolejnych filmów i jego serce po kilkunastu latach uciążliwej pracy poddało się. Wrócił już do domu i spał jak dziecko pod białą pościelą. Lucy upajała się tymi momentami spokoju, cisza dziwnie dźwięczała jej w uszach. Przysypiała na fotelu obok, wsłuchując się w rżący oddech mężczyzny. „Co za maszyna, co za instrument” – myślała z podziwem. Wielki brzuch barona wznosił się, opadał i bulgotał.

Myślała, że to już koniec, że tak będzie aż do momentu, gdy biała pościel przestanie się unosić. Strasznie musiał

być ciężki martwy Lucjan. Jak mały samochód. Może by się niespodziewanie rozlał po całym łóżku. Wyobrażała sobie, jak nagle wszystko w nim puszcza i pęka, i leją się na podłogę strumienie. Lałyby się z dzień albo i dwa. Długo by z niego uchodziło to wszystko, co przez życie nagromadził. Ile by ludzi wyszło! Potem trzeba by to wszystko uprzętnąć, poskładać w jakieś książki, wspomnienia, dokumenty. Starczyłoby na wiele lat. Kawałek po kawałku Lucjan poskładałby się z powrotem. Trochę by go było w księgarniach, trochę w telewizji, trochę na bieżąco i trochę w historii. Ale wtedy zadzwonił Henryk i Lucjan mógł przestać umierać. Na szczęście, bo to całe umieranie szło mu niezwykle opornie. Dostał nagłego wstrząsu, jak od defibrylatora. Gdy Lucyna podniosła słuchawkę, długo nie mogła uwierzyć w to, kto jest po drugiej stronie i mówi do niej o sprawach ważnych. Patrzyła wciąż na wznoszący się i opadający brzuch pod białą pościelą i wiedziała, że już za chwilę wszystko się zmieni. Gdzieś głęboko w jej podświadomości siedziała ta uporczywa myśl: on musi skończyć ten film. Tak po prostu być musiało. Tylko dwóm takim wielkim umysłom może się to przydarzyć – szczęście, zbieg okoliczności, coś, na co nie mają żadnego wpływu. Coś, co znów połączy ich losy i doprowadzi do upragnionego finału. Tym czymś był Sebastian.

\*

Lucyna siedziała przy długim stole, przy którym gromadzili się wszyscy w trakcie przerw. Teraz pustym, bo cała ekipa udała się na lunch do barowozu. Wykorzystała ten czas, by nasycić się ciszą, spokojem i kawą. Mijał dopiero trzeci lub



czwarty dzień zdjęć, a już zrobiło się gorąco. Lucjan chyba zaplanował, że będzie wyjątkowo uparty i nieznośny, i od początku się tego trzymał. Atmosfera podenerwowania pojawiła się, nim jeszcze w ogóle wkroczyli na plan, choć ekipa traktowała zadanie dość lekceważąco, pamiętając wciąż niepowodzenie pierwszego podejścia do książki sprzed lat. Wyglądali na rozbudzonych z długiego, zimowego snu i doprowadzali Lucjana do szału pytaniami i bezczynnością. Reżyser nie dał im czasu na rozgrzewkę, na wdrożenie się w rytm, a bez tego musieli w ciemno odgadywać jego intencje. Chodził cały nabuzowany i poirytowany, Lucyna nie mogła się doszukać żadnych oznak radości i satysfakcji. To nie wyglądało jak spełnianie największego twórczego marzenia. Baron zachowywał się, jakby chciał się tego marzenia jak najszybciej pozbyć.

– Czytałaś, co on znowu powiedział?

Lucy wzdrygnęła się, gdy z za jej pleców wyłonił się Eryk i stanął naprzeciwko ze skwaszoną miną.

O ile ona była prawą ręką reżysera, o tyle Eryk był dla niego ręką dodatkową. Towarzyszył mu nawet częściej niż ona, bo Lucjan lubił pokazywać, że kobiety w jego życiu są zawsze trochę mniej ważne od męskich przyjaźni. Według Lucy wynikało to ze strachu przed konfrontacją z zupełnie innym punktem widzenia. Musiałby po prostu jeszcze więcej myśleć. Godziła się na takie traktowanie, bo poza planem role się odwracały.

– Wiesz, że przestałam czytać gazety – odparła beznamiętnie i dopiła ostatnie krople kawy.

Magazyn wylądował na stole tuż przed jej oczami. Przeczytała wyryty wielkimi literami nagłówek, częściowo zakrywający potworny portret Lucjana.

– Zdementujesz to?

– A co ja innego przez cały czas robię?

Zwinął gazetę w rulon i wsadził sobie do tylnej kieszeni. Przysiadł się do Lucyny, uzupełnił kawą jej kubek i nalał również sobie. Westchnął głęboko.

– Wiesz, marzę o takiej chwili, gdy te wszystkie bzdury na jego temat okażą się jednak prawdą.

– A skąd ta twoja pewność teraz, że to wszystko faktycznie nie miało miejsca?

Popatrzył na nią złowieszczo, więc potrząsnęła głową i roześmiała się trochę niepewnie.

– Żartuję, nie rób takiej miny. – Szturchnęła go kubkiem i zaśmiała się teraz zupełnie swobodnie.

– Lucy, Chryste! Nie komplikuj mojego życia jeszcze bardziej! Popatrz na moją głowę. – Zsunął chustkę i zaprezentował niewielkie kępkę siwych włosów. – Nie wiem, czy gorsze siwienie, czy łysienie.

– Grunt, że tutaj wszystko gra – odpowiedziała i klepnęła go w zaokrąglony brzuch.

W tej chwili odezwała się krótkofalówka przymocowana do paska Eryka. Głos kierowniczkki planu informował o końcu przerwy.

– No, to idę pełnić swoją wartość. – Zasalutował i oddalił się z kubkiem parującego napoju.

W chwili gdy zniknęła gdzieś za dekoracjami, otworzyły się drzwi i do hali wkroczył nieznany Lucynie mężczyzna. Dostrzegł jedyną obecną w pomieszczeniu osobę i szybkim krokiem skierował się w stronę stołu. Rozpoznała twarz, ale wciąż szukała dla niej imienia. Nikt niepożądany nie miał wstępu na plan, więc poczuła lekki niepokój, który narastał wraz ze zbliżającym się nieznajomym.

– Szukam Lucjana – zaczął, gdy już dotarł do stołu. W jego głosie pobrzmiwało zdenerwowanie.

– Przepraszam, kim pan jest i jak pan tu wszedł?

Rozłożył przed nią tę samą gazetę, co leżała tam jeszcze przed paroma minutami.

– Chodzi o mojego syna. – Postukał palcami w nagłówek.

„Wiktor” – zapaliło się światełko w głowie Lucyny. Spróbowała się do niego uśmiechnąć.

– Ale Sebastian jeszcze nie... – nie zdążyła skończyć, bo właśnie wtedy wszyscy zaczęli wracać na plan. Wśród grupy osób pojawił się wreszcie i Lucjan. Dojadał deser i jednocześnie dyktował coś Erykowi. Wiktor gwałtownie szarpnął gazetą, zmiął ją w rękach i ruszył w stronę reżysera. Na odchodne obdarował Lucynę uprzejmym uśmiechem. Gdy zbliżył się do reżysera, drogę zastąpił mu Eryk. Lucy zauważyła, jak w odpowiedzi znów postukał palcem w nagłówek, a Eryk wyraźnie się zawahał. Ostatecznie zainterweniował sam baron. Chwilę rozmawiali w ciszy, ale potem Wiktor się nadał, a Lucjan zaczął histeryzować. Nawet nie podniosła się z miejsca, bo znała dalszy scenariusz. I tak nic nie mogłoby powstrzymać barona w chwili gniewu. Miotał się, targał, rzucał i wył. Wychodziły mu na wierzch wszystkie emocje, jakby zepsuł się w nim mechanizm odpowiadający za stabilizację uczuć. Dopóki nie wyrzuci z siebie wszystkiego, najlepszym rozwiązaniem było dać mu się w spokoju wypróżnić.

Tym razem skończyło się na energicznej gestykulacji. Stan zdrowia nie pozwalał mu na więcej. Poza tym Wiktor zręcznie nim manipulował, nie wystraszył się, nie spłoszył. Położył rękę na ramieniu reżysera i coś mu szybko szepnął do ucha. Na te słowa Lucjan pokiwał głową i w zupełnym

milczeniu mężczyźni podążyli w stronę drzwi. Lucy wpatrywała się z uwagą w barona, próbując rozszyfrować mimikę twarzy, ale ten nawet na nią nie spojrzał, gdy przechodzili obok. Drzwi się zamknęły, na planie zapanowała cisza. Lucyna miała złe przeczucia.

\*

Przez długie lata bezskutecznie próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o Anicie. Intrygowała ją od momentu, gdy aktorka przybyła pewnego dnia na plan. Wydarzyło się to niedługo po tym, gdy Lucyna stała się nowym diamentem reżysera. Na początku w ogóle jej nie poznała. Drobną, śliczną dziewczyną, ale wyglądała zupełnie inaczej niż na ekranie. Okazała się bardzo niska i szczupła, luźna sukienka ukrywała jej zapewne chude ciało. Rozmawiała z Erykiem, nalegała na spotkanie z reżyserem. Lucynę uwiódł jej niebywały spokój, patrzyła na swego rozmówcę przenikliwie, uważnie i cierpliwie. Do uszu Lucy docierały pojedyncze słowa Eryka, ale nie potrafiła wychwycić głosu dziewczyny. Mężczyzna trajkotał, machał rękami, tłumaczył się, obecność dziewczyny dziwnie go peszyła. Co chwilę ktoś do nich podchodził i całował dziewczynę w policzek, ci starsi składali całusa na czole. W pewnym momencie Anita zauważyła przyglądającą się jej Lucynę, ale przeniosła wzrok z powrotem na Eryka i przestąpiła z nogi na nogę. Nagle ujawnił się cały czar, który zaprezentowała na ekranie. Ciężko było stwierdzić, czy wynikał on z pracy Lucjana, czy to raczej naturalna cecha, ale jej urok zabolął Lucynę. Oto stała, młodsza od niej, bardziej doświadczona i doceniona. Nie przybiegła do byłego kochanka z płaczem

i histerią, nie wdarta się do pomieszczenia, gdzie przebywał, tylko grzecznie rozmawiała z odpowiednią osobą. Popatrzyła na Lucynę z wyższością i miała do tego pełne prawo. Prześwietliła ją dokładnie, pewnie zrywała boki ze śmiechu, widząc jej dalszą przyszłość. Ona już to przeszła i na dodatek zdążyła się szybko pozbierać. Tak to Lucyna wtedy widziała i w tej jednej chwili skurczyła się do rozmiarów robaka. Tak naprawdę nic nie miała na swoją obronę, ani krzty talentu, urodą też nie mogła się pochwalić. Tylko długi warkocz zawsze wzbudzał sensację. Twarz bez tego warkocza stałaby się tylko twarzą, jedną z wielu w morzu twarzy. Anita musiała zauważyć ten kompletny brak urody, ale jej wzrok nie wyraził żadnych uczuć. Oczy miała matowe.

Eryk wreszcie uległ i zabrał ją do Lucjana. Lucyna więcej jej nie widziała. Baron nawet nie wspomniał o dawnej kochance. W chwili gdy zniknęła z planu, zniknęła i z jego życia. Dlaczego więc zgodził się z nią porozmawiać? Co ważnego mu przekazała? W myślach Lucy Anita urosła do rangi wielkiej tajemnicy. Kogoś, do kogo musiał mieć niebywałą słabość. Zagrała w jego najlepszym filmie, to na pewno miało znaczenie, bo przywiązywał ogromną wagę do recepcji swoich filmów. Jeśli stawały się kultowe, wielbił odtwórców ról, nawet kiedy ich porzucał. Lucyna pamiętała zresztą dobrze, jaką cześć obdarzał Anitę Romek. Gdy opowiadał, że widział ją na żywo, mówił o tym jak o spotkaniu z istotą nadprzyrodzoną, jakby sam się dziwił, iż można jej dotknąć. Takie były te diamenty Lucjana.

Ciekawość wreszcie zwyciężyła i Lucy udała się do Eryka. Jeszcze się wtedy zbyt dobrze nie znali, uważał ją pewnie za kolejną błyskotkę barona. Nie mógł jednak nie zauważyć jej pełnego obojętności stosunku wobec reżysera.

Musiała być zupełnie inna niż Anita. Tamtych dwoje połączył kiedyś płomienny romans, a o tym wiedziała już od Romka. Baron z pewnością wciąż darzył ją uczuciami i dlatego też nie wpuściłby jej więcej na plan. Zresztą ona już nie przyszła. Lucyna idealnie się wpasowała w tę sytuację ze swą seksualną neutralnością. Pozwalała mu robić to, na co miał ochotę, i przez pewien czas wydawało jej się, że traktuje ją jak Anitę. Dotykał jej tak, jakby dotykał innego ciała. Posługiwał się jakimś osobliwym kluczem, jego czynności były automatyczne, instynktowne. Gdy napotykał opór, dziwił się, próbował ponownie i dopiero po chwili docierało do niego, że coś jest inaczej. Lucyna stawała się na chwilę Anitą. Niewiele czasu potrzebował, by się z tej miłości otrząsnąć. Pojawiały się nowe diamenty i prędko okazywały się fałszywymi kamyczkami. Lucy, nie mogąc patrzeć na ten żałosny ciąg, sama zaangażowała się w castingi. Jej sposób selekcji był bardzo prosty: zawsze szukała w nowych osobach czegoś z Anity. Lucjan ulegał zawsze, ale jego kolejne związki stawały się coraz krótsze i mniej intensywne. Czasem w ogóle nie miał ochoty z nikim przebywać.

Kiedy spytała Eryka, odparł, że nic nie wie ani o Anicie, ani tym bardziej o jej obecnych stosunkach z Lucjanem. Zdziwił się za to, dlaczego Lucy tak bardzo się nią interesuje. Bo jest jej wielką fanką, odpowiedziała spokojnie, aż sama zdziwiła się swoimi słowami. A może faktycznie nią była? Powiedziała o niej kilka słów zasłyszanych niegdyś od Romka, a Eryk nagle zmiękł, wyglądał na wzruszonego. Podarował jej nawet fragment scenariusza podpisany przez aktorkę i od tego momentu ich relacja zaczęła się polepszać. O Anicie więcej nie rozmawiali, ale coraz swobodniej

czuli się w swoim towarzystwie. Stał się drugim po Lucjanie najważniejszym mężczyzną w jej życiu. Lucyna kiedyś nawet prawie opowiedziała mu o Romku, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie chciała, by zbyt wiele z tego wynioskował ani by myślał o niej przez pryzmat przeszłości. Przeszłości nie było, minęła. Dużo rozmawiali o sprawach okołoplanowych i okołofilmowych i wspólnymi siłami robili wszystko, by Lucjan mógł w spokoju pracować.

Raz nawet Eryk jej się oświadczył. Niby na żarty, ale on rzadko żartował. Lucy niewiele wiedziała o jego życiu osobistym, coś kiedyś usłyszała o synu, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że gdzieś tam ma rodzinę. Może i nawet powinni się pobrać, mieć dziecko, które razem z nimi żyłoby na plażach, stworzyć chociaż pozory normalności w nienormalnym życiu ich obojga. Lucjan naturalnie stałby się częścią tego małżeństwa. Lucy często zastanawiała się, dlaczego Eryk tak niewzruszenie trwa przy baronie. Czasem zdawało się jej, że darzy go większym uczuciem niż ona. Może nawet go kochał. Przez pewien czas była nawet zazdrosna, bo nie dopuszczali jej do swoich rozmów. Wyhodowała wtedy swoistą hybrydę miłości do barona. Przez ten czas unikała Eryka albo rozmawiała z nim w wyjątkowo niegrzeczny sposób. Chodziła ciągle naburmuszona i tylko czekała na moment, by wczepić się w Lucjana. Dbała wtedy o to, by Eryk ich widział. Strasznie się kilka lat po tym wszystkim wstydziła swojego zachowania.

Pewnego dnia zajrzał do pokoju, gdzie akurat przeglądała prasę. Przy uchu ścisnęła telefon i uśmiechnęła się przelotnie, zbyt zajęta, by rozmawiać. Trwały przygotowania do pierwszej próby ekranizacji książki Henryka, wszystkim udzielało się podenerwowanie. Eryk oparł się

o framugę, odczekał, aż Lucyna znów na niego spojrzy, i powiedział:

– Anita ma męża i dwójkę dzieci. Jej mężem jest Wiktor, szef wydawnictwa Henryka. – A potem wyszedł, ale za progiem zawahał się. – Ona teraz przebywa w Centrum Zdrowego Myślenia. – I zniknął już na dobre.

Lucyna musiała się rozłączyć. Odsunęła wszystkie gazety i położyła na stole pęczniącą głowę. Nie wracali nigdy później do tego zdarzenia, Eryk zachowywał się, jakby w ogóle nigdy nie zaszło. Lucynę od tego dnia znów zaczęły męczyć myśli. Zdążyła już pogrzebać w pamięci wizytę Anity, jej urodę, klasę i platynowe włosy. Teraz wracała do niej jak jakiś głos z zaświatów. Z tych prawdziwych światów, z których Lucyna uciekła. Nagle rwała się do nich, chciała koniecznie opuścić plan. Nie mogła ze względu na ogrom obowiązków spoczywających na jej barkach. Wkrótce nosiła na nich Lucjana, bo ten coraz mocniej odpływał w swoich fantazjach. Wreszcie musiała po prostu zapomnieć i skupić się na podtrzymywaniu go przy życiu, bo robił wszystko, by tego życia się pozbawić. Nie mogła sobie zaprzętać głowy innymi rzeczami. Wtedy nie spodziewała się zupełnie, że kiedyś przyjdzie jej wykozystać informacje od Eryka.

\*

Dwadzieścia lat później, w wyjątkowo parny, letni dzień, Sebastian uciekł z planu. Drugie podejście do ekranizacji powieści Henryka okazało się równie przekłęte co pierwsza próba. Stało się to niedługo po wizycie Wiktora i jego rozmowie za zamkniętymi drzwiami z Lucjanem. Lucy



uważała, że to właśnie obecność ojca spłoszyła Sebastiana. Zaczęła się głęboko nad tym zastanawiać, układać w głowie fakty i wtedy przypomniała sobie słowa Eryka: „Jej mężem jest Wiktor, szef wydawnictwa Henryka”. Anita i Wiktor. Anita i Lucjan. Lucjan i Wiktor. Wiktor i Henryk. Henryk i Perła. Sebastian?

Kolejne krzyżówki wywoływały tylko zawrót głowy. Zwariowała od nadmiaru związków i powiązań. Wszyscy się łączyli, ale w jakiś obcy sposób. Ciągłe coś się rwało, coś nie pasowało, czegoś nie wiedziała. Te wszystkie imiona miały przecież jakieś znaczenie, ogromne znaczenie, a ona ledwo je kojarzyła. W jej głowie rośło wielkie drzewo genealogiczne. Koślawe, kaprawe, złe. Gdzie miała w tym wszystkim umieścić Lucjana? Czy on stał w centrum i gromadził ich wszystkich? Od niego się rozrosli? Rośli, rośli, a potem poupadali z dala od jabłoni. Lucy znała osoby z jego otoczenia, ale wiedziała o nich tylko to, w jakim stopniu zagrażają reżyserowi. Pomyślała o Anicie i jej pobycie w Centrum Zdrowego Myślenia. O Sebastianie, który uciekł. Dlaczego uciekł i kim on w ogóle jest? Kim jest właściwie Lucjan? Co się stanie, gdy ona sama zacznie szukać odpowiedzi? Czy powinna szukać? Burzyć cały dotychczasowy obraz i odkryć, że wszystko wygląda inaczej? A Anita? Może podczas tamtej pamiętnej wizyty na planie nie stała przed Lucy pewna siebie, pogodzona z losem kobieta, tylko przeżona, wyciszona nastolatka? W jej matowych oczach nie kryła się pogarda, tylko zrezygnowanie. Była spokojna, bo nie miała siły. Być może histerię zostawiła poza planem. Być może za drzwiami błagała Lucjana i została poniżona. Doświadczyła czegoś, czego potem nie mogła znieść, z czym nie mogła żyć.

Lucyna sama powoli zaczęła wariować. Im więcej pytań sobie zadawała, tym mniej była pewna, co jest prawdą, a co wytworem wyobraźni. Film znów nie powstał, a Lucjan popadł w otępienie. Dobrze wiedziała, co się dalej wydarzy. Nie wiedziała tylko, czy tym razem będzie w stanie to znieść. Nie miała wyjścia. Musiała spotkać się z Anitą.

\*

– Dziennikarze to gnoje! Dziennikarz to szmata. Media to szambo. Nie wiem, po co istnieją dziennikarze. Szczury! Nie wiem, po co są media. Kreowanie surrealistycznej rzeczywistości i wmawianie, że to prawdziwy świat! Próba grania życia przed kamerą. Przed kamerą nie ma życia! Przed kamerą nie robi się prawdziwego świata! Nie wolno! Przed kamerą zawsze się gra. Nie można udawać, że to jest naprawdę! Że tak to właśnie wygląda! Przed kamerą tak się nie da! Nigdy! Kamera zmienia rzeczywistość! Zawsze!

Lucyna zdjęła okulary i przetarła oczy. Odeszła od stolika oblanego cienką warstwą światła i uchyliła drzwi. Lucjan wrzeszczał przez okno, wymachiwał ręką, zdążył już cisnąć w dół kwiatkiem. W samą porę podbiegła do parapetu i delikatnie odciągnęła barona za szelki. Pchnęła go lekko w przeciwnym kierunku i wychyliła się, spoglądając na niewielki tłum. Nie była w stanie określić, czy tworzyli go przypadkowi przechodnie, czy bohaterowie monologu Lucjana. W ostatnich tygodniach zdążył już sponiewierać większość zawodów. Zastanawiała się nad zatrudnieniem kogoś, kto obstawiliby wszystkie okna w domu, po tym jak reżyser próbował się na jedno z nich wdrapać. Otyłość uchroniła go przed samobójstwem. Lucjan miał dość siebie.

Albo innych. Wszystko potrafiło go teraz wyprowadzić z równowagi, dlatego dla bezpieczeństwa przetrzymywano go w domowym areszcie. Przymusowy więzień nie zdawał sobie z tego sprawy, w innym wypadku próbowałby już pewnie robić podkopy. Gdyby tylko dotarł do bramki w ogrodzie, odkryłby, że nie może się wydostać na drugą stronę. Na szczęście stan zdrowia odebrał mu większość sił i wystarczyła krótka przechadzka po korytarzu, by zaczynał się dusić, krztusić i zwijać z bólu. Smutek dopadał go teraz kilka razy dziennie, a wtedy baron zalewał się łzami i odpychał od siebie każdego, kto chciał mu pomóc. Czasem zaczynał wyć, jak przywiązany łańcuchem do budy pies, więc Lucyna musiała ograniczyć liczbę osób przychodzących z wizytą. Dokonywała selekcji według stopnia zaufania, weryfikując dotychczasowe znajomości. Straciła przez to kilka bliskich osób, kilka innych oceniła błędnie, co skończyło się przykrym rozczarowaniem. A że w sytuacji, w której się obecnie znalazła, musiała mieć jakiegokolwiek wsparcie, zaczęła ufać tylko sobie. Uznała więc własne decyzje za jedyne w pełni dobre i nie zastanawiała się więcej, czy to, co robi, jest słuszne. Było – bo tak sobie założyła. Chyba wyłączenie dzięki takiemu ograniczeniu zachowała zdrowy rozsądek.

Wróciła do pokoju, gdzie baron już siedział zmęczony w fotelu. Gdy weszła, właśnie zrzucił ze stołu szklany świecznik. Obsesyjnie usuwał rzeczy, które w jakiś sposób mu zawadzały. Po prostu wyrzucał je ze swojego kadru. Wszystko musiało być według jego myśli. Lucyna nauczyła się, gdzie powinna stać, by pozyskać jego uwagę. Czasem jeden krok decydował o tym, czy zostanie wysłuchana. Sama nabrała już nawyku przesuwania jego rozmówców. Zabierała

z pola widzenia zbędne rzeczy, a jeśli o czymś zapominała, prędzej czy później kończyło to swój żywot z ręki Lucjana. Musieli pozbyć się kota przybłądy, bo okazał się zbyt nieprzewidywalny i nie słuchał. Wszystko, co nie podlegało kontroli barona, wzbudzało w nim białą gorączkę. Problem był poważny, bowiem poza planem kontroli nie miał praktycznie wcale. Ludzie ani nie reagowali na jego polecenia, ani nie potrzebowali pomocy starego, sfksowanego dziada.

– Odsuń się.

Lucjan mówił teraz do telewizora i machał na niego ręką. Lucy zasłoniła ekran sobą i z trudem obróciła fotel barona w inną stronę. Narzuciła na ekran koc i zanotowała w pamięci, by poprosić o jak najszybsze przeniesienie skazanego właśnie na śmierć przedmiotu. Lucjan był już w innym miejscu pokoju, stał pod regałem z książkami i kiwał się na piętach. Szybko przebiegła wzrokiem po tytułach, ale na półkach stały same ulubione pozycje reżysera. Lucjan kilkakrotnie dotknął czubkiem palca niektórych z książek, ale żadnej nie odważył się wysunąć.

– Chcesz coś poczytać?

Lucyna stanęła obok i zaczęła przesuwając ręką po kolejnych rzędach, patrząc na reakcję barona. Przejechała przez kilka półek, aż wreszcie pokiwał głową. Spojrzała na autora i westchnęła. Jednak przeniesienie książki na najwyższą półkę nic nie dało, ale z kolei wyniesienie jej z pokoju byłoby jak marsz na gilotynę.

– Znowu?

Lucjan mruknął i wrócił na fotel. Kiedy zbyt długo nie podchodziła, zaczął gwizdać. Podała mu więc dzieło Henryka, ale odepchnął je.

– Przy biurku – mlasnął i wygramolił się z fotela.

Kiedy już usiadł przy stole, ciężko dyszał. Lucyna odczekała, aż się dokładnie usadowi i poprawi, zanim położyła mu książkę przed nosem.

– Sam – rzucił na odchodne i obserwował, dokąd pójdzie Lucy. Nie spodobało mu się, że usiadła w fotelu, pokierował ją na korytarz.

Chwilę mu się przyglądała, nim ostatecznie zamknęła drzwi. Najwyraźniej miała trochę czasu dla siebie. Zajmowanie się lekturą zwykle nie wymagało kontroli. Zeszła jednak do małego pokoju na parterze, gdzie siedział jeden z bliskich przyjaciół.

– W porządku? – spytała i podeszła do biurka, na którym znajdował się duży ekran, podzielony na sześć mniejszych. Każdy kwadrat przedstawiał inne miejsce w domu. W prawym górnym rogu siedział Lucjan. Niezbyt wyraźny kształt sugerował, że pogrążył się w lekturze.

– W porządku. Na co najmniej godzinę mamy go z głowy. Może nam się nawet poszczęści i pójdzie spać.

Uśmiechnęli się do siebie, w ich oczach odbijało się to samo zmęczenie. Lucyna przebiegła wzrokiem po innych kwadratach. Spokój, czysto.

– Ty też powinnaś odpocząć – rzucił mężczyzna i przeciągnął się. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Jesteś moim skarbem. – Nachyliła się i pocałowała go w przeredzoną czuprynę. – Chyba faktycznie się zdrzemnę.

Wydawało jej się, że spała zaledwie minutę. Gdy otworzyła oczy, stał przed nią ten sam mężczyzna, którego widziała tuż przed snem.

– Nie bój się, nic się nie stało. Przepraszam, że cię budzę, ale koniecznie chce z tobą rozmawiać. Prosiłem go, by dał ci chwilę odpocząć, ale nalegał jeszcze bardziej.

W tej samej chwili za jego plecami ujrzała Lucjana, który wpatrywał się z napięciem w jej twarz.

– No już, wstawaj, wstawaj – pospieszył ją, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Lucy podniosła się wolno i dopiero teraz dotarło do niej zmęczenie ciała. Bolały stawy i mięśnie, cała była zeszywniała, poruszanie się przypominało raczej wprawianie w ruch starej, zardzewiałej maszyny.

– Gdzie on poszedł? – spytała, próbując odzyskać ostrość widzenia.

– Chyba wrócił do siebie.

– Która godzina?

– Dochodzi druga w nocy.

A jednak przespała się trochę. Przynajmniej wystarczy jej teraz mocna kawa i będzie mogła dalej czuć.

– Coś się działo?

– Nie, cały czas czytał, a potem zasnął. Nagle się przebudził i zaczął cię szukać.

Lucyna ziewnęła i rozciągnęła się.

– Możesz już iść, będę z nim do rana.

– Jesteś pewna?

– Idź, idź, rano i tak ktoś by cię zmienił. Wyśpij się. No już, zmykaj.

Wygoniła go z pokoju, a sama skierowała kroki do gabinetu barona. Stał w drzwiach i wypatrywał jej jak niecierpliwe dziecko, które koniecznie chce pokazać rodzicom, co wybudowało na środku pokoju.

– Skończyłem – powitał ją w progu i przepuścił do pokoju.

Ostrożnie zajrzała do środka, ale na dywanie nie powstała żadna konstrukcja. Obróciła się w stronę Lucjana i rozłożyła ręce.

- Co skończyłeś?

Popatrzył na nią uważnie, splótł ręce na plecach i przeszedł się wolno po pokoju.

- Życie - powiedział odwrócony tyłem i przestał spacerować. Stał, oczekując na jej reakcję, ale Lucy wpatrywała się w jego plecy i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Życie?

- Został mi miesiąc, góra dwa. To czas na zakończenie wszystkich niedokończonych spraw - odparł i podszedł do okna, gdzie otrząsnął się jak pies po deszczu.

- A co to za niedokończone sprawy? - Rzuciła okiem na otwartą książkę i wystający z niej plik notatek.

Lucjan obrócił się do niej i machnął ręką.

- Zawołaj tego małego, śmiesznego chłopaczka.

Popatrzyła na niego jak na zjawę i rozejrzała się po pokoju.

- O kim mówisz?

- To taki bardzo sympatyczny młodzieniec. Karelo mu na imię.

- Lucjan, jest druga w nocy.

- Ale on tu jest, rozmawiałem z nim jeszcze chwilę temu. To bardzo sympatyczny młodzieniec. Niziutki.

Odwrócił się i pogroził jej palcem. Lucy chciała go uspokoić, ale wolała nie wdawać się w niepotrzebny spór, więc wyjrzała na ciemny i pusty korytarz.

- Nikogo tu nie ma. Pewnie coś ci się znów przyśniło.

- Zawołaj go! - poinstruował ją poirytowanym głosem baron.

Lucyna prychnęła i już chciała się wycofać, ale zawałała się w ostatniej chwili.

- Karelo! - wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. - Karelo! - Własny głos zabębnił jej w uszach ze zdwojoną siłą.

Nie dostała żadnej odpowiedzi. Wpatrywała się w gęsty mrok, tak gęsty, że z łatwością mógł ją wciągnąć i pochłoniąć. Wystawiła rękę, a ta natychmiast zniknęła. Za nią zniknęła druga. „Jak dziwnie i przyjemnie być tak zjadającym” – pomyślała sobie. Tak zniknąc po prostu. Zniecierpliwiony Lucjan chrząknął i usadowił się już wygodnie na krześle przy biurku.

– Musiał już sobie pójść – westchnął. – To bardzo zajęty człowiek.

Lucy usiadła na fotelu i oparła się wygodnie. Jej długi, ciemnogrnatowy warkocz opadł na piersi. W pokoju było cicho, cichuteńko. Chciało się mówić szeptem, a najlepiej nie mówić wcale. Lucjan zdawał się trochę oszołomiony, co chwila spoglądał na nią, jakby zauważał ją po raz pierwszy. Włosy i wąsy miał w nieładzie, szlafrok niedbale narzucił i na górę od piżamy, i na dżinsy. Ten komplet idealnie oddawał aktualny stan zawieszenia pomiędzy snem a jawą. Do okien bardzo blisko podeszły tej nocy gwiazdy, Lucyna zauważyła całe ich stado.

– Czy to ten Karelo powiedział ci, że masz jeszcze tylko parę miesięcy życia? – spytała cicho, cichuteńko.

– Jeden, góra dwa – poprawił ją i naburmuszył się. Popatrzył na nią z odrazą. – Takich rzeczy nie mogą ci powiedzieć obcy ludzie. To moje odkrycie.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się dobrotliwie, by trochę go uspokoić. Kiedy się irtypował, najlepszą obroną było łagodzenie sytuacji. Jeśli napotykał opór, stawał się nie do zniesienia. Traktowała go trochę jak dziecko, bo im stawał się starszy, tym bardziej przypominał siebie sprzed kilkadziesiąt lat. Zataczał kółko.

– Karelo tylko to potwierdził – odezwał się i sięgnął do



szuflady znajdującej się pod biurkiem. – Potwierdził, że to wszystko się wreszcie skończy.

Wyjął kopertę i niezgrabnie potrząsnął, by wydobyć zawartość, ale dopiero po kilku próbach udało mu się wysunąć list.

– Co to?

Baron ocknął się i ze zdziwieniem odkrył, że ścisła coś w rękach. Rozłożył kartkę i uniósł ją tak, by na słowa padło światło lampki. Przebiegł wzrokiem po pierwszych rzędach listu i na jego twarz wróciły oznaki życia.

– Sebastian wraca na plan – oznajmił dumnym głosem, odstraszając gwiazdy, które od razu rozpierzchnęły się po nieboskłonie. – Skończę film i będę mógł odejść w spokoju. – Opuścił list i uśmiechnął się do Lucyny.

Zachowała spokój.

– Mogę zobaczyć ten list? – spytała łagodnie i wystawiła rękę.

– Proszę, proszę – odparł po dłuższym wahaniu i oddał w jej ręce kawałek papieru.

List nakreślono niedbałym pismem i poza informacją o powrocie nie zawierał wiele więcej. Krótkie wspomnienie zdarzeń sprzed roku i chęć dalszej współpracy. Lucyna wpatrywała się ze zdziwieniem w kartkę. Może jeśli litery się poprzestawiają, list zmieni treść? Potrząsnęła nim, ale nic takiego się nie działo. Sebastian uparcie wracał na plan. To nie była pierwsza wiadomość, którą wysłał. Nie pozwalał o sobie zapomnieć. Zawsze pisał tak samo, grzecznie i delikatnie, przesadnie grzecznie i przesadnie delikatnie. Gdy Lucjan próbował zajmować się czymś innym, nagle dostawał cios z przeszłości. Tęsknił, wspominał, wszystko go swędziało, płakał, wył. Lucy przejęła wreszcie pocztę, bo

stan reżysera pogarszał się z listu na list. Nie czytała ich więcej, ale i nie wyrzucała – kierowana niejasnym uczuciem odkładała je głęboko w szafie. Na wszelki wypadek. I kiedy tak teraz ścisnęła w ręce niewielki kawałek papieru, zdała sobie sprawę, że jej działania niczego nie zmieniły. W żaden sposób nie mogła zagrozić tej relacji, nawet pomimo pełnej kontroli Lucjana. Pewne sfery jego życia znajdowały się poza jej zasięgiem. Tak jak i jego relacja z Marią, która już na zawsze miała pozostać dla niej wielką tajemnicą.

Opuściła list i popatrzyła na Lucjana. Nie miał w sobie nic z dawnego blasku. Niedołężny, chory, otyły i irytujący. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie rozróżniał już wyobraźni od rzeczywistości. Patrzył jednak teraz na nią tym samym wzrokiem, którym niegdyś przeszywał Henryka. Te same oczy, otulone ogrodem zmarszczek, przekrwione i zażawione, ale wciąż tak samo czujne. Ciągłe wpatrzone w ten sam cel. Wszystko wkoło przekształcało się, a on pozostawał niezmienny. Lucy była od niego o wiele młodsza, ale zawsze czuła się starzej. Ile teraz miała lat? Grubo ponad sto. Stulatka z wielkim garbem. Myślała, że już wszystko się skończy, że zmierza prostą drogą w znanym dla starców kierunku, ale przecież on musi skończyć ten film. Tylko to uparcie trzyma go przy życiu. Jeśli tego nie zrobi, będzie żyć wiecznie, a ona razem z nim. Wyobraziła sobie kolejne lata u boku barona i głośno westchnęła.

- No, to wracamy na plan.

# SEBASTIAN

To będzie piękny koniec.

Tak postanowiła Lucyna i zdecydowała, że będzie to koniec ostateczny. Koniec historii, które powinny się już dawno zakończyć. Koniec nieśmiertelności, koniec legend i mitów. Koniec wszelkich możliwych początków. Nic już nie miało się rodzić, teraz nadszedł czas na ostateczne rozwiązanie. Czas na umieranie. Nigdy więcej żadnych nowych pomysłów. Koniec końców. Już dłużej nie mogła.

W tajemnicy przed Lucjanem postanowiła zgromadzić na planie wszystkich, którzy mogliby mu pomóc w ukończeniu filmu. Wszystkie puzzle tej przekłetej układanki. Każda z tych osób w jakiś sposób łączyła się z tym filmem, a jeśli Lucjan chciał stworzyć dzieło życia, musiał nasycić je żywymi postaciami, musiał z nich wyssać wszystkie soki, tak jak miał zawsze w zwyczaju. Wyssać wszystkich aż do dna. Zrobiła najpierw małe śledztwo, uważnie wyselekcjonowała osoby, a potem przystąpiła do działania.

– Sebastian wraca na plan, Lucjan potrzebuje twojej pomocy – powiedziała przez telefon Laurze, Brunowi, Wiktorowi i Henrykowi.

I na plan przybyła Laura, Bruno, Wiktor i – co zszokowało wszystkich – także Henryk. Nikt jednak jeszcze o nic nie pytał, choć pytań mieli mnóstwo. Musieli poczekać na reżysera, na kamerę, na akcję. Wszyscy odpowiednio od siebie oddaleni, fałszywie obojętni na obecność innych, jakby wiedzieli, że muszą tu być właśnie w tej chwili, w tych okolicznościach, jakby sami z siebie przybyli w różnych odstępach, z różnych stron świata, z różnych etapów życia Lucjana, niosąc zupełnie różne historie. Lucy wolałaby zamienić parę słów z każdym z osobna, ale postanowiła nie naruszać tego pobożnego milczenia tak długo, jak się dało. Nie chciała niczego zepsuć. Wiedziała, że kiedy tylko posypią się pierwsze słowa, spadnie grad pytań. Zostawiła wszystkich samym sobie i postanowiła wybudzić Lucjana. To był ten moment. Nie wiedziała tylko, czy dobrze robi.

\*

Studio filmowe Eden powstało z inicjatywy reżysera po jego pierwszych międzynarodowych sukcesach. Znajdowało się w niedalekim sąsiedztwie Centrum Zdrowego Myślenia i zajmowało podobną powierzchnię. Realizowano tu filmy fabularne, seriale i programy telewizyjne. Baron mógł tam kręcić, gdy tylko tego potrzebował. Jedna z hal zdjęciowych była dostępna wyłącznie dla niego lub wyłącznie za jego zgodą udostępniano ją chętnym. Zawsze marzył, by w Edenie realizowano tylko takie projekty, które on sam by akceptował, ale okazało się to niemożliwe do spełnienia. Gdyby wybudował studio za własne pieniądze, mógłby sobie pozwolić na pełną niezależność, ale był na to zbyt skąpy, co wynikało z jego chorobliwej obawy przed utratą całego majątku.

Dzielił je więc z innymi twórcami, co okazało się wielkim wyzwaniem zarówno dla nich, jak i dla niego. Musiał się pogodzić z tym, że jego praca nie jest najważniejsza i przyszło mu to z wielkim bólem. Nie znosił, gdy rozpraszala go twórczość obcych, nie chciał, by zaprzętała mu umysł świadomość istnienia innych reżyserów. Cóż go to obchodziło? Niech sobie robią z dala od niego.

Przynajmniej nie musiał przenosić się z domu na plan, narażając się po drodze na utratę weny. Rzeczywistość w szale tworzenia wydawała się tak nieznośnie nieinspirowana – te samochody, domy, twarze przypominały mu o życiu, którym nie chciał żyć. Uciekał w podskokach do studia, gdzie największą halę zajmowała scenografia utworzona dla potrzeb adaptacji powieści Henryka. Miała to być filmowa wersja mieszkania głównego bohatera. Było więc kilka pokoi i wystawny salon, wszystko bogato zdobione i odzwierciedlone z pedantyczną wręcz dokładnością. Lucjan lubił zasiadać w salonie i trwać beczynnym w fotelu. Zlewał się z pomieszczeniem. Kazał sobie czytać wybrane fragmenty książki, wprawiał się w nastrój i sypiał w łóżu małżeńskim. Musieli go stamtąd ściągać siłą, bo nieustannie miał delikatną narzutę i wygniatał poduszki.

Decyzja o powrocie do filmowania niestety nie wróciła mu sił fizycznych. Przetransportowanie barona do studia kosztowało mnóstwo energii, przede wszystkim Lucynę. Patrzyła na niego i nie mogła powstrzymać smutku. Starała się nie słyszeć własnych myśli, że to wszystko nie ma sensu, że to jedna wielka pomyłka, że oszalała i powinna raczej skierować się w stronę szpitala, jeśli nie Centrum Zdrowego Myślenia. Dlatego z ulgą weszła z nim do studia.

W końcu był to jedyny sposób na uratowanie Lucjana. Tak to właśnie widziała – jak ostatnią deskę ratunku.

\*

Lucjan spał. Przez pierwsze dni w ogóle nie chciał się wybudzić. Czuła krople potu spływające jej po plecach, gdy nachylała się nad jego łóżkiem i cicho go budziła.

Wreszcie otworzył jedno oko. Patrzył nim nieruchomo, jak krokodyl. Wpatrywał się w jeden punkt, nie mrugał, nie słuchał. Kiedy otworzył i drugie, przywołał ją bliżej.

– Widzisz? – spytał i wskazał palcem na sufit.

Lucyna spojrzała w górę i zobaczyła sufit.

– Co tam jest, co tam widzisz? – zapytała troskliwie.

– Sny – odparł i opuścił rękę, a ona ścisnęła ją i mocno ucałowała.

– Wypuściłem sny – dodał i postukał ją w czoło palcem wskazującym. – Zapisz to.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego uważnie, a on patrzył wreszcie na nią.

– Trzeba je spisać. Trzeba je sfilmować. Muszę się wszystkiego pozbyć. Muszę się pozbyć także snów. Sny podpowiadają za dużo obrazów. Nie umrę ze snami. Muszę teraz wszystko wyśnić i wyrzucić. Daj mi spokój.

– Lucjan, wszyscy na ciebie czekają...

– No, idź już. – Machnął na nią ręką. – Muszę się wyspać, mam dużo pracy, wkrótce umieram.

Jeszcze nim zniknęła za drzwiami, odchrząknął, poprawił się na poduszce i westchnął:

– Smutek będzie trwał wiecznie.

\*

Ciepło, coraz cieplej.

Lucyna wracała od barona i bezradnie rozkładała ręce. Wszyscy pomału zaczęli się przemieszczać i zdejmować warstwy ubrań. Wciąż bez pytań i bez słów. Snuli się po planie jak bohaterowie sztuki. Ocierali pot. Czas się zawiesił, też zamilkł. Zrobiło się duszno, gorąco, parno. Wszystkim brakowało energii, poruszali się jak muchy w smole, mieszali się, tasowali. Ciężko było ich rozróżnić. Nikt nie miał już na nic ochoty. Oczekiwanie ciągnęło się bez końca, czas przestał być wyznacznikiem. Wszystko toczyło się w pozaziemskim tempie, pory dnia straciły znaczenie, bo i tak nie dało się ich określić. Mógł minąć tydzień, a równie dobrze rok lub minuta, mogło już minąć całe życie, a wszyscy zgromadzeni na planie oszukiwali los. Trwali w beczasie i nie-miejscu.

Wszyscy oprócz Lucyny. Siedziała na tykającej bombie. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, aż ktoś nie wytrzyma, powie coś, zacznie (a nie miało się już zaczynać). A wtedy wszystkim puszcza nerwy i rzuca się na nią. Będą chcieli nagle wiedzieć, po co to wszystko, co ona wyprawia, że kim niby jest. Chciała tego za wszelką cenę uniknąć, dlatego sama zaczęła mówić. Opowiadała, co robi i mówi Lucjan, co mu się śni. Nie prosiła o cierpliwość. Nie chciała prosić o nic, by nie zdradzić swych obaw. Musiała udowodnić, że wszystko jest pod kontrolą. Uśmiechała się więc, wprowadzała nabożną atmosferę, uspokajała spojrzeniem. Patrzyli na nią jeszcze wtedy wciąż ufnie. Ona coraz szybciej traciła wiarę.

\*

Gorąco.

Baron wygramolił się z łóżka i runął przed drzwiami. Huk rozniósł się po całym studiu.

Wszyscy popatrzyli w tamtą stronę, a potem skierowali wzrok na Lucynę. Nie zauważyła tego, już biegła, już była po tamtej stronie drzwi, już wołała o pomoc. Najpierw nikt nie reagował, a kiedy już ruszył jeden, ruszyli wszyscy. Siedziała przy Lucjanie i trzymała głowę przy wielkim brzuchu. Unosił się. Wszyscy wokół zamarli. W tym małym pokoju było zdecydowanie za dużo żyć. Jeszcze chwila, a się poduszka. Liczyli oddechy barona, wstrzymali własne, gdy brzuch nagle przestał się wznosić. A kiedy przyszedł Eryk i usiadł na przeciwko Lucy, Lucjan otworzył oczy. Leżał wciąż bez ruchu i patrzył w sufit. Zaczął poruszać ustami, formułować jakieś zdania, ale nie wyszedł z niego żaden dźwięk. Lucyna popatrzyła na twarz barona i wzdrygnęła się, więc wzdrygnęli się również wszyscy obecni.

– Lucjan? – wyszeptała cicho i zbliżyła twarz do jego twarzy. Chciała go przywołać, być w centrum jego zainteresowania.

Spomiędzy warg reżysera zaczęły dochodzić odgłosy. Najpierw ciche, niezrozumiałe. Długo się ich pozbywał. Wreszcie cały rząd słów, choć nie niosły żadnego znaczenia. Może sny, może obrazy, może jego życie. W końcu te słowa zaczęły się układać w logiczny ciąg. Mówił głośniej, wolno, rozdzielając każde zdanie serią ciężkich oddechów. Słuchali.

– Słowa gasną tuż przed wypowiedzeniem... Usta mam pełne dymu... Duszę się, ale tylko przełykam... W żołądku palenisko... Żar... Tu. – Dotknął palcem żołądka i zamilkł. Wycharknął dwa bąble powietrza i przywołał wszystkich palcem.



Zebrani wymienili spojrzenia i podeszli niepewnie, jak do konającego zwierza. Nachylili się, zetknęli głowami, by usłyszeć wyraźnie, co chce im przekazać. Wyraźnie usłyszeli niepokojące świsty i warkoty wydobywające się z jego ciała. Nagle zamilkł, otworzył szeroko oczy, patrzące teraz gdzieś ponad wszystkich, na coś dalekiego i niedostępnego. Wskazał palcem w to miejsce – każdy z osobna powędrował tam wzrokiem – i głośno wyrecytował:

– Smutek będzie trwał wiecznie.

Zamknął oczy, stęknął i zastygł.

Wszyscy wyprostowali się i nabrali powietrza w usta. Przez chwilę nic nie istniało. Zatrzymały się serca, mózgi, czas. Zacisnęły pięści i gardła. Westchnienie ulgi było tuż-tuż.

Lucjan sapnął i otworzył oczy.

Westchnęli ze zrezygnowaniem. Po kolei, w milczeniu i smutku, zaczęli opuszczać pokój.

\*

Lucjan umierał jeszcze parokrotnie.

Nic się nie zmieniało.

Trwali.

Eryk przywołał do siebie Lucynę. Ktoś dzwonił.

– Słucham? – powiedziała i wystraszyła się. Od tak dawna nie słyszała już własnego głosu.

– Halo, Lucy? Lucy, to ja.

Usiadła i przycisnęła telefon tak mocno do ucha, że prawie przeszła na drugą stronę linii. A potem wróciła i uśmiechnęła się.

\*

Trzeba było jednak jakoś zacząć ten koniec. Lucjan stał na nogach o własnych siłach. Jak dziki kot prężył się i nasłuchiwał. Zgromadzili się wokół niego i dmuchali lekko, by podtrzymać go na nogach. Próbowali. Jeszcze nie wiedzieli, czego to była próba, ale chcieli w ten sposób go zachęcić.

Pierwsza odezwała się Laura. Nie wytrzymała. Jej słowa zabrzmiały tak donośnie i wyraźnie, jakby to nowa postać wkroczyła do studia.

– Dlaczego ja bym nie mogła zagrać roli Sebastiana?

Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Znalazła się w centrum, od razu stała się gwiazdą.

– Przecież jesteśmy jak dwie krople wody.

Błysnęła, już miała to światło.

Zebrani spojrzeli po sobie. Laura uniosła ręce w górę w geście obrony.

– Póki go nie ma. Zróbmy po prostu próbę. Róbmymy coś. No, róbmymy coś! – podniosła głos i znów dodała: – Póki go nie ma. Przecież wkrótce przyjdzie. Prawda, Lucyna?

Lucyna znieruchomiała na krześle, ale zdążyła przytaknąć, nim zeszytniała całkowicie. W tym momencie poruszył się Lucjan.

– Ty – powiedział, a jego głos zadudnił w całej sali. Wskazywał na Laurę. – Przygotuj się.

\*

O, jest źle.

Lucy wyglądała na zatroskaną, ale sprężystym krokiem skierowała się do garderoby. Mimo że bezgłośnie otworzyła drzwi, Laura przy stanowisku charakteryzatorskim

podskoczyła jak rażona piorunem. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

– I co? – spytały jednocześnie.

Lucyna okrążyła kilka razy pokój, bo czuła się w obowiązku rozpocząć.

– O, jest źle – powtórzyła tym razem na głos. – Lucjan spi. Chce wyśnić scenę dla ciebie.

Laura ukryła twarz w dłoniach.

– To jakiś koszmar. Śni mi się koszmar.

– Nie, kochanie, to koszmar Lucjana. Pomyśl, że jesteśmy tylko bohaterami jego snu, który wkrótce się skończy. – Podeszła do dziewczyny, a ta przytuliła się do niej.

– Nie wiem już, co jest snem, co rzeczywistością, a co filmem. Mam pewne obawy, że rzeczywistości w ogóle nie ma.

Lucy pogłaskała ją po policzku, przyglądając się ich wspólnemu odbiciu w lustrze. Przejechała dłonią po włosach Laury, zaczęła odgarniać je z czoła – kosmyk po kosmyku – wreszcie zgarnęła wszystkie długie pasma w kucyk i ukryła z tyłu głowy. Dziewczyna podniosła głowę i też spojrzała w lustro. Kiwnęła. Lucyna zaczęła nerwowo przeszukiwać wszystkie szuflady.

\*

– Jest źle, bo jest za dobrze. Jest za dobrze, bo jest źle.

Głos Laury przepłynął przez salę, obił się o wszystkie ściany i powoli w nie wsiąkał. Długo nie było żadnego odzewu.

Stała samotnie w pomieszczeniu imitującym pokój. W półmroku nie dało się rozpoznać jej twarzy. Krótkie włosy sterczały na wszystkie strony i tworzyły straszny cień na ścianie.

– Jest źle, źle, źle, źle, źle! – Poniosło się echo, a za echem na plan wtargnął Lucjan.

– Czyli dobrze? – Powiodła wzrokiem za jego miotającą się w tę i we w tę sylwetką.

Kręcił się w kółko przez dobrych kilka minut. Laura wpatrywała się w niego tak intensywnie, że w końcu zmienił się w ogromnego, zataczającego kręgi bączka. Nagle podniósł głowę i wyciągnął szyję, rozglądając się po ciemnej sali.

– No... to co tam było dalej?

Przestąpiła z nogi na nogę. Gdzieś rozległ się szum kartek, szemranie krótkofalówek, bzyczenie lamp. Wszyscy łypali ukradkiem na siedzącego pod ścianą Henryka, spodziewając się, że to właśnie on coś powie, wskaże, ale on tylko patrzył na Laurę. Nie spuszczał z niej wzroku.

– To co teraz? – odezwał się wreszcie ktoś po cichu.

Reżyser natychmiast podniósł głowę i skierował się w stronę drzwi.

– Idę spać.

Scena się urwała.

\*

Lucyna traciła całą energię, przekazując ją Lucjanowi. Karzyła go obietnicami. Zauważyła, że na pewne stwierdzenia i hasła reaguje entuzjastycznie, rośnie jak pompowany powietrzem balonik. Stawał się coraz bardziej uparty i złośliwy. Zaczął znów pokrzykiwać, odnosił się do innych agresywnie i coraz bardziej angażował się w reżyserowanie sceny z Laurą. Odsunął ją daleko w kąt, w ogóle do niej nie podchodził, ale wciąż męczył. Jeśli chciał przekazać Laurze wskazówkę, wrzeszczał na cały głos albo wysyłał

posłańca. Dziewczyna niemal rozmywała się na tle pokoju, nie było jej ani dobrze widać, ani słysząc.

Lucy początkowo nie rozumiała tych zabiegów, ale gdy przyjrzała się dokładnie, kiedy Laura tak stała w oddali, zrozumiała intencję barona. Złękała się. Wydarzenia zaczęły zmierzać w nieznanym kierunku. Sama się do tego poniekąd przyczyniła, ale teraz nie miała już nad tym żadnej kontroli. Wyczekiwała końca, przecież musiało się wreszcie urwać.

Siedziała przed monitorem, na którym bez końca odtwarzano sceny z udziałem Laury.

Wiktor, Bruno i Henryk już dawno gdzieś zniknęli, niepotrzebnie ich fatygowała. Henryk nie wyglądał dobrze, Wiktor wyglądał za dobrze, a Bruna jakby wcale nie było.

Z letargu wybudził ją nagle Eryk. Stał przed nią z krótkofalówką w dłoni.

– Już tu jest.

Zaczyna się. Miało się nie zaczynać.

Lucyna wyszła za Erykiem, szła blisko, jak najbliżej.

\*

Lucjan wybudził się i znów wkroczył na plan. Chodził jak najedzony kot. Coś nie dawało mu spokoju, kręcił się, wiercił, odpychał wszystko, co stanęło na drodze, ocierał podbródek o ramię, powstrzymywał się sam przed sobą. Łypał niepewnie w stronę Laury, drżał, przygotowywał się do skoku.

Wreszcie zaatakował, pociągnął ją za rękaw i gwałtownym szarpnięciem przyciągnął do siebie tak mocno, aż pisnęła. Nie zdążyli nawet na siebie popatrzeć, bo już ją chwycił za nadgarstek, już wywlekał na korytarz.

– Odsuńcie się wszyscy!

Wepchnął ją do dużego pomieszczenia na końcu korytarza i czekał, aż na niego spojrzy. Spojrzała bez większych emocji. Dopiero teraz rozluźnił uścisk. Bez tego uścisku Laurze wcale nie było lepiej.

– Siadaj i płacz.

Dotknął ją teraz delikatnie palcem tuż ponad piersią.

Zaśmiała się, więc pchnął tak, by upadła na krzesło. Podniosła głowę i znów na niego spojrzała bez żadnych emocji. Czuła pulsowanie w nadgarstku i czuła pulsowanie w piersi.

– No, zmusz mnie.

Teraz to on niemal zatrząsł się od śmiechu, a jego oczy zaiskrzyły. Weszła w niego młodość, tak łatwo, wprost od Laury.

Nic więcej nie powiedział, tylko znowu jej dotknął. A potem obrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Odczekała, aż wystarczająco się oddali, przycisnęła twarz do rękawa i rozplakała się żałośnie. Kręciła głowę z niedowierzaniem, próbowała obrócić to w żart. Chciała być odważna, ale nic z tego nie było prawdą. Westchnęła głęboko, otarła łzy i rozejrzała się po pokoju. Kiedy spojrzała w kąt, zasłoniła na chwilę twarz dłońmi, ale potem pokręciła głowę ze zrezygnowaniem, wzruszyła ramionami i znów się rozplakała. Wtedy w ciszy rozbrzmiały słowa:

– Usiądź bliżej.

Laura podniosła głowę i wytarła łzy drugim rękawem. Nawet jej słowa stały się mokre, przybrały kształt kałuży i rozlały się po stole.

– Kto by pomyślał, że będę rozmawiać z nieboszczykiem.

– Kto by pomyślał, że wystarczy na chwilę wyjechać, by uznano cię za zmarłego.

– Wystarczy być córką Henryka.

Perła uśmiechnęła się mimo woli. Zaskakujące, jak szybko cofnęły się łyzy Laury. Gdy popatrzyła teraz Perle w oczy, była znów gotowa na konfrontację. Znów próbowała ustanowić hierarchię. Perła, tak jak wtedy, była dla niej teraz tylko córką Henryka. Wcale nie miała zamiaru się z nią sprzeczać, nie chciała nic udowodniać, z niczego się tłumaczyć. Potrzebowała tylko szczerze porozmawiać. Zebrać niekompletne informacje. Wiedziała, że Laura chciała tego samego, ale posługiwała się innymi sposobami, by to uzyskać. Gdyby mogła, siłą wszystko by z niej wydarła.

– Wiesz – zaczęła ostrożnie – kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, myślałam, że ty i Sebastian to ta sama osoba.

Laura popatrzyła na nią tak, jakby sama się nie mogła zdecydować, jakie wrażenie zrobiły na niej te słowa. Perła wykorzystwała tę chwilę zawahania i przysunęła się do stołu.

– Możemy po prostu porozmawiać? – spytała łagodnie. – Nie musimy nawet udawać, że się lubimy.

– Nie musimy – wtrąciła natychmiast Laura.

Perła pokręciła głową. Mała dziewczynka. Miała przed sobą małą, obrażoną dziewczynkę. Musiała ją jakoś udo-bruchać, dać coś słodkiego, najśłodszego.

– Sebastian się do mnie odzywał.

Laura nawet nie drgnęła.

– Pisał listy – kontynuowała Perła, a ton jej głosu nieznacznie się obniżył. Odchrząknęła. – Chciał się ze mną spotkać.

Pomyślała o tamtym dniu, kiedy straciła całą swoją wiarę, nadzieję i miłość. Zatrzasnęły się w pokoju z Henrykiem

i jego, jej gościem. Takie małe, liche wydarzenie. Myślała o tym teraz, zawstydzona. Cóż jej się w głowie uroiło, że odrzucenie przez obcą jej w zasadzie osobę stało się dla niej tragedią? Czemu przeżywała to jak osobiste niepowodzenie? Laura miała pełne prawo przeżywać wszystko, co związane z Sebastianem, bo sama była z nim związana. Tylko dlaczego w takim razie to właśnie Perła traciła oddech, gdy tylko padało jego imię? Im bardziej się oddalał, tym gwałtowniej przywoływała go z pamięci. Każda z trudem zdobyta informacja na jego temat stawała się przełomem w jej życiu. Jak mogłaby wyjaśnić niepoważną decyzję wyruszenia za nim, podjętą tylko dlatego, że poprosił o to w ostatnim liście?

– Sebastian zawsze chciał być gwiazdą. – Teraz słowa Laury zabrzmiały nadzwyczaj lekko i łagodnie. – Nie, on już się urodził gwiazdą, szukał tylko sposobu, by inni to dostrzegli. Miał w sobie coś takiego, że od dziecka przyciągał uwagę wszystkich. Może to przez te ucieczki? Robił obrzydliwe żarty. Bezustannie chciał zwracać na siebie uwagę. Wiktorowi niejednokrotnie puszczały nerwy. Jesteś w stanie w to uwierzyć? Wiktor kopiący drzwi, Wiktor wyrzucający rzeczy przez okno. Tylko on wzbudzał w nim takie emocje. Wiktor wyżywał się na nim, a potem wychodził i rozdawał te swoje uśmiechy. Kiedy ja zrobiłam coś złego, zawsze obrywał Sebastian. Nic dziwnego, że uciekał. Wiedział, jak bardzo Wiktor nie znosi Lucjana, więc starał się dostać na plan. Pojawił się nawet na jednym castingu i reżyser wtedy w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Niesamowite, co? Wrócił zapłakany, nic mi nie powiedział, ale ja się wszystkiego dowiedziałam. Zawsze musiałam się wszystkiego dowiadywać. I wtedy przyszedł mu do głowy



kolejny pomysł. Świetny był w intrygach i kombinowaniu, zawsze znalazł sposób, by osiągnąć to, co chciał, nigdy nie odpuszczał. I wiesz, co mu wpadło do głowy? Powinnaś się domyślić, bo to dotyczyło też ciebie. Nie łudź się, że obdarzył cię jakimkolwiek uczuciem. Wiem, co mówię, znam go najlepiej. Ja go czuję. – Wypowiadając to zdanie, Laura uciekła w bok wzrokiem. Trochę zawstydziły ją nie tyle własne słowa, co świadomość, że stanowili z bratem jedność. – Zawsze czułam z nim więź – kontynuowała. – Coś takiego może się narodzić tylko w sytuacji, gdy przebywasz z kimś już od poczęcia, przesiąkasz tą drugą osobą. Nie da się tego przekazać. On cię po prostu wykorzystał. Potrzebował dostać się do Henryka, a Henryka potrzebował, by trafić znów do Lucjana. To cały Sebastian. Gotowy poświęcić wszystkich, by tylko zdobyć to, czego chce.

Perła słuchała, ale i tak wiedziała swoje. Nikt nie będzie jej mówił, że czuje nie to, co powinna. Nie mogła jej odebrać tego uczucia, nawet jeśli zrodziło się na gruncie nieporozumienia.

Wiatraczek zamontowany na suficie radził sobie coraz gorzej. Robiło się coraz bardziej duszno. Musiały ocierać pot z twarzy, dłonie zostawiały na stole mokre ślady. Atmosfera gęstniała, uderzała do głowy. Za ścianą słychać było wolne kroki tych, którzy powoli tracili nadzieję na ruszenie z filmem do przodu.

– Nie zabiłam się – powiedziała Perła. – Nie zabiłam się, choć zaskakująco szybko przyjęto ten fakt do świadomości. Widocznie miałam dobre rokowania w tej dziedzinie. To prawda, wystarczy być córką Henryka. Nawet mi się przez chwilę podobało to, że mnie już nie ma. Mogłabym tak żyć. Niestety tak łatwo się nie umiera.

– Spotkałaś się z Sebastianem? – skróciła jej dalsze przemyślenia Laura.

Perła poczuła się urażona, ale nie dała tego po sobie poznać. Ułożyła sobie inną historię w głowie.

– Dostałam od niego list z prośbą, bym do niego przyjechała. Pojechałam bez zastanowienia. Odeszłam, jak ponoć określił to Henryk.

– Spotkaliście się? – wtrąciła znów niecierpliwie Laura.

Perła zmarszczyła czoło i mówiła dalej, jakby nie słyszała pytania.

– W liście był adres. Ulica i miasto. Jakie piękne miasto, zakochałam się w nim od samej nazwy. Chciałam tam być już na zawsze. Zwlekałam z udaniem się pod wskazany adres. I pomyśleć, że było tam tak pięknie tylko dlatego, że on tam był.

– Spotkaliście się?

Perła popatrzyła jej w oczy, a Laura nie wytrzymała tego pojedynku. Skurczyła się, odwróciła głowę i spuściła wzrok na podłogę. Perła wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju, próbując utorować sobie drogę w gęstych oparach.

– To był najdłuższy dzień mojego życia. Potrafiłabym mówić o nim dłużej i więcej niż o całym swoim życiu. Każdy szczegół wydawał mi się istotny. Zapamiętywałam każdy budynek, bez końca wypytywałam o trasę. Zabawne, jak wzrasta pewność siebie w obcym miejscu. O wiele prościej się rozmawia, podejmuje decyzje. Twój umysł jest dziwnie podekscytowany i rozluźniony. Działasz jak automat. Dotarłam na miejsce późnym wieczorem. Ulica znajdowała się trochę na uboczu, docierały tam tylko echa samochodów. Nie miałam już większych problemów z odnalezieniem

budynku, wcisnęłam guzik w domofonie, zanim zaczęłam się zastanawiać, czy to robić.

Przerwała opowieść i obróciła się w stronę stołu. Znów popatrzyły sobie w oczy, ale tym razem Laura nie odpuszczała. Perła poczuła, że ma kontrolę, i chciała przez chwilę podrażnić swoją rozmówczynię. Sprawiało jej to przyjemność, czuła, jak pociąga za niewidzialne sznurki, które poduszały Laurę. Nie zamierzała już chować urazy, nie miała na to siły.– Nie, nie spotkaliśmy się. Drzwi otworzyła właścicielka mieszkania. Powiedziałam jej, o co chodzi, a ona zaprosiła mnie do środka. To było bardzo ładne mieszkanie. Takie w starym stylu, chociaż...

– Przestań.

Laura uderzyła dłonią w stół, aż podskoczyły wszystkie łyżeczki i spodeczki. Wstała gwałtownie i nagle zamigotały jej przed oczami sztuczne ognie, na moment straciła równowagę. Zamrugnęła i podeszła do Perły, zbliżyła twarz do jej twarzy.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć coś ważnego, po prostu to powiedz. Opisy zachowaj dla swoich książek. Nie jestem twoim czytelnikiem.

Pętla wokół szyi Laury zaczęła się rozluźniać, a sznurek prawie wypadł Perle z ręki. Może dlatego podniosła rękę i z całej siły uderzyła ją w twarz.

Od razu się odsunęła, spodziewając się rewanzu, ale Laura nawet nie drgnęła. Przyłożyła dłoń do policzka, a z jej oczu natychmiast popłynęły łzy. Musiała mieć ich cały zapas, wystarczył lekki wstrząs, by lały się strumieniami. Perła wróciła na swoje miejsce. Piekącą i pulsującą dłoń włożyła między uda. Patrzyła w drugą stronę. Nie czuła nic. Żadnej winy, żalu, smutku. Powiedziała, co chciała

powiedzieć. Tylko pozornie była spokojna. Wystarczyła mała iskra, by zapaliły się w niej wszystkie nagromadzone przez lata emocje. Mogłaby tak robić częściej. Mogłaby wszystkich zatłuc, zniszczyć, zabić. Nagle poczuła się znacznie lepiej.

Laura tak cicho usiadła z powrotem na krześle, że zauważyła ją dopiero po chwili.

– W tym mieszkaniu mieszkała Julia – odezwała się po długiej chwili Perła, przerywając nieznośne milczenie. Jej głos nawet nie drgnął, mówiła, jakby wróciła do swej historii po bloku reklamowym.

Laura odetchnęła głęboko, przyjęła tę wiadomość z widoczną ulgą.

– Julia i Sebastian mieli romans. Kolejna osoba, która miała mu pomóc dotrzeć do Henryka – odparła, przyglądając się uważnie Perle. Chciała się upewnić, że to zabolę ją bardziej niż wymierzony policzek.

– Romans? – Na twarzy Perły pojawił się uśmiech konsternacji i szczerzego zaciekawienia.

– Romans... – powtórzyła Laura już ciszej, ale z tą samą pewnością w głosie.

Zamilkły obie, bojąc się dalszych słów. Zbliżyły się do tego momentu, gdzie ich historie rozbiegają się w zupełnie innych kierunkach. Z chwilą ujawnienia swych wersji zdarzeń będą musiały pogodzić się z akceptacją innego punktu widzenia. Kto wtedy rozstrzygnie, co jest prawdą?

– Kontynuuj – odezwała się Laura ze źle skrywanym niepokojem w głosie.

Perła po raz pierwszy w trakcie ich rozmowy poczuła się nieswojo. Choć mogłaby po prostu odtworzyć wydarzenia tak, jak miały miejsce w rzeczywistości, nagle nie mogła

dla nich znaleźć odpowiednich słów. Milczała, a Laura nie naciskała. Udawały, że już za chwilę, już za moment, ale uparcie to przedłużały. Trwały w bezpiecznym interwale.

Ktoś zadudnił do drzwi, ale zaraz odszedł. Gdzieś rozległ się gwizd, krzyk, prośba i czas nagle zaczął mieć znaczenie.

Perła przeciągnęła się nerwowo i zwróciła twarz w stronę Laury opierającej głowę na rękach. Mogła teraz dostrzec fragment zaczerwienionego policzka. Ślad powoli niknął.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego właściwie tak uparcie szukasz Sebastiana?

Laura oderwała wzrok od stołu i popatrzyła na nią wyraźnie urażona.

– Bo jest moim bratem, cóż za idiotyczne pytanie.

– Jest też dorosłym człowiekiem, może podejmować własne decyzje. Nie wydaje ci się, że uciekał z konkretnego powodu? Nie uciekał do czegoś, do kogoś, po coś. – Perła potknęła się o kolejne zdanie, zrobiła dłuższą pauzę, nim powiedziała szybko na jednym, krótkim wydechu: – Uciekał od was, od ciebie.

Laura wysłuchiwała jej z niewzruszonym spokojem. Nie zadrżał ani jeden mięsień na jej twarzy.

– Nic nie wiesz ani o mnie, ani o mojej rodzinie – rzuciła obojętnie.

– A ty wiesz wszystko? Nie widzisz, że to trochę dziwne, że tyle osób wkoło jest zainteresowanych Sebastianem?

– On właśnie robi wszystko, by...

– To jest tylko twoje marzenie o Sebastianie.

– Moje... marzenie? O czym ty mówisz?

Laura spojrzała na nią z obrzydzeniem. Nie mogła już dłużej przebywać w tym pomieszczeniu, nie chciała się narażać na kolejne obelgi ani słuchać jej opinii na temat

brata. Podniosła się i skierowała w stronę wyjścia, ale Perła w porę zareagowała.

– Wiesz o dzienniku Julii? Opisała w nim szczegółowo swoje relacje z innymi – rzuciła, zatrzymując ją w progu. Laura uderzyła pięścią w drzwi. – Także z Sebastianem.

Na korytarzu rozległy się kroki i po chwili w zamku zazgrzytał klucz. Kiedy w uchylonych drzwiach stanęła Lucyna, Laura szybko opuściła pokój.

– Lepiej porozmawiaj z Wiktoorem! – usłyszała, nim zatrzasnęła drzwi.

\*

Korytarz był długi jak wąż. Wił się i kręcił, zmieniał położenie, syczał i pełznął. Laura stała w progu i usiłowała zrobić pierwszy krok. Za każdym razem, gdy podnosiła nogę, korytarz wierzgał, nagle skręcał lub związał się. Świat zaczął przypominać fantazyjną mozaikę, rozbijał się na coraz mniejsze kawałki. Brakowało jej naturalnego światła, czuła się jak kret i wciąż sprawdzała, czy sufit nie runie jej zaraz na głowę.

Duszno. Tak duszno, że niemal można to zobaczyć na własne oczy. Duszno, tak będzie tuż po śmierci, tak musiało być tuż przed życiem. Jak w kaszy, w ryżu albo w szklance pełnej mąki. Gdyby chciała krzyknąć, pewnie by się zakrztusiła, wypuściłaby z ust biały, pudrowy obłok.

Przy ścianach siedzieli i leżeli jak śnięte ryby członkowie ekipy. Nasłuchiwali, ale nikt nie wołał. Czujnie obserwowali ruch, gotowi do skoku.

Ruszyła wąską ścieżką między ich rozrzuconymi bezwładnie kończynami, kołysała się lekko na boki, uważała,

by ich nie potrać. Szła na palcach, ale czubki butów nieuprzejmie skrzywiały, dźwięk ten brzmiał jak ryk w panującej tu sennej ciszy. Myślała nawet, by się tak tam złożyć i spocząć, uwić sobie gniazdo, póki wciąż było wolne miejsce.

Na zakręcie zahaczyła o Bruna. Zauważyła go już wcześniej, jak sunie w jej stronę, i ruszyła mu naprzeciw. Mijając go, wczepiła się w jego rękaw, przycisnęła dłoń do dłoni, niby przypadkiem zbyt mocno się nachyliła. Dotknęła rzesami jego skroni, zacisnęła usta, by nie musnęły twarzy, choć pokusa była słodka. Bruno mocno ścisnął jej palce, aż przeszedł ją prąd, a dookoła zajaśniało. Laura, wtulając się mocno w jego policzek, by przekazać słowa wprost z ust do ust, szepnęła:

– Źle się kochaliśmy, Bruno. Bruno, my się w ogóle nie powinniśmy byli kochać i dobrze o tym wiedzieliśmy, no ale przecież to się musiało stać. Byliśmy dla siebie stworzeni, Bruno, w tej konkretnej sytuacji, w tych konkretnych okolicznościach, może tak naprawdę wygląda miłość? Wykalkulowany zbieg okoliczności, wspólny cel, zbieżność planów. Może to była miłość, coś tam się w nas przecież połączyło, ja to czułam. Spójrz, teraz sytuacja też nam sprzyja.

Czuła jego oddech na szyi, zrobiło jej się gorąco. Mogła go pocałować, ale tylko dotknęła wargami i natychmiast od siebie odskoczyli, odepchnęli się na dwa przeciwległe bieguny.

\*

– Wszystko w porządku?

Perła oderwała wzrok od laptopa i zmierzyła ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

Lucyna podeszła do niej, zacisnęła mocno dłoń na ramieniu i ucałowała w skroń, po czym usiadła na miejscu, gdzie wciąż jeszcze był świeży, bolesny ślad po Laurze. Próbowała przykuć uwagę Perły, ale ta uparcie patrzyła w ekran.

Lucyna pozwoliła jej być tam, gdzie była. Oparła się wygodniej i po chwili jej oczy same się zamknęły. Słyszała tylko mruczenie komputera. Mijały minuty, godziny, lata świetlne. Mogło tak być już zawsze. Zagubieni w kosmosie.

– Nie spotkałam go – usłyszała wreszcie, choć wcale nie chciała pytać, nie musiała wiedzieć. Nie otwierając oczu, pokiwała tylko głową. Usłyszała stukot klawiatury. Uspakajający, błogi, potrzebny. Uchyliła oko, ale Perły wciąż nie było, był tylko stukot.

– Myślałam, że jesteś moją matką. Tylko ciebie i Tosię zapamiętałam z dzieciństwa. Nie wiem, kto i kiedy mi powiedział. Niewiele trzeba, by wyhodować w sobie takie uczucie do kogoś przypadkowego. Łatwo się wplątać w rodzinę.

Perła znów zaczęła pisać. Kiedy skończyła, obróciła komputer w stronę Lucyny tak, by mogła odczytać to jedno słowo. Słowo za słowem, całą stronę słów. Lucy odczytała każde z nich.

– Czy to nie ciekawe, że istnieje jedna miłość, którą to miłością kocha się matkę, brata i kochankę? Tym samym uczuciem. Łatwo można się pomylić. – Rozłożyła ręce i zaczęła wyliczać: – Można pokochać nie tego, co trzeba, albo nie tak, jak trzeba, można źle coś zinterpretować, można czegoś nie wiedzieć. Można całe życie żyć w nieświadomości, że się kocha inaczej, niż powinno.

Lucyna pokręciła wolno głową.

– Koniec metafor.



Perła tylko zmarszczyła brwi i znów zaczęła pisać. Kiedy obróciła ekran w jej stronę, widniał na nim rząd tych samych słów. Dopiero po chwili, gdy Lucy przebiegła przez nie wzrokiem, dostrzegła wplecione w gąszcz miłości imiona: Laura i Sebastian.

Wtedy odezwał się Eryk, który w drzwiach stał już od paru chwil, ale dopiero teraz odważył się krzyknąć:

– Szybko, szybko, jest źle!

\*

– A smutek będzie trwał wiecznie – jęknął i opuścił głowę na poduszkę.

Wszyscy już wtedy wiedzieli, że to wciąż nie koniec. Znowu się zaczęli rozchodzić.

– Może ja z nim zostanę? – Perła przytrzymała za łokieć Lucynę. – Jak się obudzi, będę zapisywać jego słowa, zachęcę go do zwierzeń. Może w ten sposób przyspieszymy proces, może uda nam się coś wymyślić. I skończyć.

Lucyna aż ją uściskała z radości i ucałowała. Gdy dziewczyna usiadła przy łóżku, dotknęła głowy Lucjana. Nie zareagował. Nachyliła się, poczuła oddech na szyi i włosach. Kiedy obróciła głowę, zobaczyła Bruna. Stał przy drzwiach i popatrzili sobie w oczy, ale Perła szybko odwróciła wzrok. Podniosła się i zacisnęła dłonie na krawędzi łóżka. Znowu, znowu to samo. Otworzyła usta, aż zrobiło się jej niedobrze od tego wysiłku. Już była zmęczona. Odchrząknęła i zaczęła mówić, ale mówić tak, jak wcale nie mówiła. A patrzyła na Lucjana.

– „Wiesz, co zrobiłem, gdy przeczytałem twoją książkę? Zacząłem natychmiast czytać ją od nowa”. – Zrobiła

pauzę. – Pamiętasz? Kiedy mi to powiedziałeś, postanowiłam, że się z tobą spotkam. Zaimponowały mi twoje słowa. Doskonale wyczułeś, jak mocno przeżywam zainteresowanie moją książką.

Przerwała, bo zaschło jej w ustach. Mówiła z trudem, nie mogła pozbyć się uczucia fałszu. Zupełnie jakby czytała listę dialogową filmu Lucjana. Może to on nimi kierował? Przecież był tu, w tym samym pokoju.

– Uwierzyłam ci, bo bardzo chciałam, by ktoś pokochał moją książkę. Wydawało mi się, że stałam się ostrożniejsza przez te wszystkie sytuacje, które mnie spotkały. A jednak wystarczyło tylko kilka miłych słów. Tak bardzo brakowało mi po prostu miłych słów.

Głowa Perły stała się nagle bardzo ciężka, musiała położyć ją na dłoni. Oparła łokieć o łóżko i wbiła pięść w policzek. Lucjan trochę się na nią zsunął, nie przeszkadzało jej to. Czekwała, aż Bruno się złamie i wreszcie przemówi, zacznie gadać jak najęty. Ale on tylko podrapał się po brodzie. Wyglądał na rozluźnionego i obojętnego. Z rozchylonych ust wcale nie wrywały się słowa. Bruno był wysprzątnany ze słów, pozbawił się umiejętności mówienia, sam już nie wiedział, jak to robić.

– Może to i dobrze, że nie mówisz. Przynajmniej więcej mnie nie okłamiesz.

Pokręcił głową, a Perła przewróciła oczami.

– Nawet jeśli faktycznie tak myślałeś o mojej książce, to nie z jej powodu mnie nękałeś. Czemu już na początku tego nie dostrzegłam? Przecież te wizyty powinny zasiać w mojej głowie wątpliwości. – Przyłożyła wyprostowany palec wskazujący do skroni i w jej myślach eksplodowało. – Gdyby nie Wiktor, być może nigdy bym się nie domyśliła.

Czekaj, czekaj... – Podniosła rękę. – Tylko że gdyby nie Wiktor, to nie byłoby też tej całej sytuacji. Niesamowite, jak wiele sprzeczności może się mieścić w jednym człowieku. Wiktor jest... Wiktor... – zawałała się, cmoknęła, okrążyła zdanie, daremnie powtórzyła je jeszcze parę razy, wreszcie machnęła ręką. – Widzisz, brakuje mi tu twojego słowa. Wspólnie powinniśmy ukuć na niego jakiś termin. Chociaż nie wiem, czy Wiktora da się zmieścić w słowie o jednym znaczeniu.

Wzruszyła ramionami.

– To właśnie on powiedział mi, że piszesz biografię o moim ojcu. Wiedziałeś o tym? – wykrztusiła wreszcie to zdanie, które próbowała wydobyć od samego początku. – Tak zareagował na mój entuzjazm związany z twoim zainteresowaniem moją książką. Spytał mnie, czy wiem, że próbujesz zebrać jak najwięcej informacji na temat Henryka. I to na jego, Wiktora, życzenie. Nie wiedziałam w pierwszej chwili, czy mu dziękować, czy go znienawidzić. Zresztą zawsze tak się czuję w jego obecności. Jednym zdaniem potrafi we mnie wzbudzić zupełnie skrajne emocje. I z jaką piekielną łatwością mu to przychodzi, zauważyłaś?

Bruno uśmiechnął się lekko. Widziała tylko zarys tego uśmiechu, bo obrócił głowę.

– Oczywiście, że zauważyłaś, przecież ciebie też owinął sobie wokół palca. Zaskakujące, jak przyjemne to uczucie: być tak przez kogoś zniewolonym. Może to przez to poczucie bezpieczeństwa, które ci daje?

Ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głowę.

– Po mojej książce do mnie. Po mnie do Henryka. Sprytne, proste. Kiedy się o tym dowiedziałam, przypomniałam sobie wszystkie nasze rozmowy, Bruno. Wszystkie moje

słowa, które ci dałam z radością, że wreszcie ktoś chce mnie wysłuchać. Mnie, o mnie. Jak zwykle przeceniłam swoją wartość. Znowu okazałam się wyłącznie ubocznym produktem Henryka. Gdybyś jasno wyraził swoje intencje, być może nawet bym ci pomogła. Jeśli już miałyby powstać biografia Henryka, to przynajmniej rzetelna. Poza tym i tak musiałbyś napisać o mnie, ale rozumiem, że chciałeś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Postąpiłeś jak drugorzędny łowca sensacji. Tego się nie spodziewałam po kimś, kto zrobił na mnie tak dobre pierwsze wrażenie. Może romansowanie z dwudziestoparoletnią córką Wiktora powinno mi trochę rozjaśnić umysł. Tylko czy to był faktycznie romans? Czy tam było uczucie? – Popatrzyła teraz na niego z pozycji kogoś, kto rozdaje karty. – Też na początku rozmawialiście o jej płycie? Też jej słuchałeś bez końca? – Machnęła ręką. – W jej dobre intencje też zresztą nie wierzę. W ogóle nikomu już nie wierzę. W nic nie wierzę.

Bruno wreszcie usiadł. On też się spocił, Perła dostrzegła mokre miejsca na koszuli, a gdy przejechał ręką po włosach, te stanęły na baczność i już tak zostały. W drobnych zmarszczkach przy ustach skrzyły się kropelki. Mógł nie mówić, ale nie potrafił oszukiwać ciałem. Zauważył, że Perła uważnie śledzi jego ruchy, i lekko się wzdrygnął, po czym spojrział jej w oczy. Nie musiała odwracać głowy, nagle chciała patrzeć bez końca. Znalazła sobie bezpieczną przystań, zakotwiczyła się. Jeszcze chwilę i mogłaby się zakochać. Może powinna, może to by pomogło.

Lucjan przewalił się na drugi bok i wypuścił z siebie długi jęk.

Perła nie mogła powstrzymać śmiechu. Łypnęła na Bruna, też się uśmiechał. Patrzyli znów na siebie, aż ich

uśmiechy wygasły. Potarła kciukiem usta, długo jeździła dłonią po krawędzi łóżka, próbując zdobyć się na odwagę.

– Zawsze piszę o ojcu. To wszystko zrodziło się z ojca.

Bruno siedział trochę za blisko. To przez te słowa nagle tak cichcem się zbliżył. Czuła go i to ciepło ją odstręczało i fascynowało. Powinni się dotknąć, mogli się dotknąć. Perła zacisnęła mocno oczy.

– Ojciec mnie nienawidzi nie tylko z tego powodu, że zabrałam mu matkę, w co głęboko wierzy. On nienawidzi całego współczesnego świata i obrał sobie mnie za kumulację wszystkich wad nowoczesności. Nienawidzi moich książek, bo są o niczym. Bo współczesne życie jest o niczym. Żyjemy poza głównym tematem, gdzieś na marginesie. Nasze pokolenie to pokolenie złudnego spokoju i niebezpiecznej wolności. O nic nie musimy walczyć, wszystko dostajemy. Chcemy i mamy. Masowe rozpieszczenie. Według niego dążymy do samozagłady. On głęboko wierzy w to, że ja się w końcu zabiję. Może nawet myśli, że tak byłoby dla mnie lepiej. Wiesz, strasznie go śmieszają współczesne problemy. On nie potrafi o tym pisać, on nie rozumie, o co chodzi wszystkim tym, którzy nie potrafią żyć. Jak to: nie wiesz, po co żyć? A po co się w ogóle nad tym zastanawiać? Żyje się i już! To cały on. Zaskoczyła go ta nagła zmiana, chyba nie sądził, że w tak krótkim czasie wszystko może się obrócić do góry nogami. Dla niego to jest tragedia. Jesteśmy z dwóch różnych światów i tak żyjemy. I oczywiście nie możemy bez siebie wytrzymać. Bo żeby się tak nienawidzić, trzeba się mieć na co dzień. Wszyscy mnie pytają, dlaczego się nie wyprowadzę. A po co, a dokąd? Nie chcę się wynosić z własnego domu. Nie muszę... Nie potrzebuję... – Teraz popatrzyła na Bruna

zupełnie poważnie. Nie mogła znaleźć więcej słów. Teraz mogła już tylko pisać.

Podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Z korytarza nie docierały żadne dźwięki, panowała podejrzana cisza, jakby wszyscy zgromadzili się pod ich pokojem i podsłuchiwali rozmowę. Położyła dłoń na klamce, ale nie nacisnęła jej. Obróciła się w stronę Bruna, jednak jej uwagę przykuł baron, który właśnie wybudzał się z jakiegoś potwornego snu. Zawahała się, wreszcie nacisnęła klamkę, lekko pchnęła drzwi i wyrzała na korytarz, gdzie rzeczywiście wszyscy stali. Otworzyła drzwi na oścież i spojrzała z powrotem na Bruna. Ręką wskazała mu drogę na korytarz. Odsunęła się, by mógł przejść.

Zamknęła za nim drzwi, wróciła do łóżka i zaczęła pisać.

\*

Laura nie przestawała spacerować. Z impetem wpadała na kolejne osoby, obijała się o nie jak kula o kręgle. Wiedziała, że nie może się zatrzymać. Chodziła, by nie myśleć. Z nikim nie miała ochoty rozmawiać, kręciła głową na każde pytanie. Była niespokojna, pobudzona, czuła, jak słowa kotłują się jej w żołądku. Rwała je natychmiast, nie dopuszczała do powstawania zdań, historii. Wplatała je sobie w piosenki, śpiewała cicho jak nieswoje opowieści, tylko tak dało się je znieść. Tylko wtedy nie czuła się zażenowana. Im głośniej śpiewała, tym jej było lżej. Szukała pustych magazynów, półek, za którymi mogła się schować, by wyć. Głośniej, coraz donośniej.

Za jednym z kartonów odkryła Henryka. Siedział wciśnięty między tekturowe pudła i nawet się nie ruszał.

Wyglądał jak woskowa figura, nawet przez chwilę myślała, że nią jest. Ktoś się chyba pomylił. Biedaczysko! Przynieśli go tu, postawili i nie interesowali się więcej. Niszczą pod ścianą, odpadał mu urok, łuszczył się talent.

Podeszła do niego cicho, nie chciała się skradać, ale i tak szła na palcach, by go nie spłoszyć. Biedaczysko! Może spał. Może tworzył.

Szturchnęła go nieznacznie, aż zjeżyły się jej wszystkie włosy na ciele. Henryk nie zareagował. Dotknęła jeszcze raz. I jeszcze. Dotknęła legendy. Podsunęła rękę pod nos. Wosk nie wosk, ciało, pomnik? Henryk patrzył gdzieś poza. Cały był poza. Czy kiedykolwiek w ogóle był tu? Laura nagle pomyślała o Perle i dotknęła go po raz ostatni, ale tym razem jej palec nie zapadł się w ciało, natrafił na sztywną pierś. Wystraszyła się i szybko uciekła. Nie chciała wiedzieć.

\*

Śmiech Wiktora zatrzęsł całym studium.

Zaprosił Bruna na scenę, gdzie nikogo prócz nich nie było. Zasiedli we wspaniałych dekoracjach, rozsiedli się w niewygodnych fotelach, poczuli zapach nieobecnego alkoholu i cygar.

Wycelował w niego palcem.

– Doskonałe – powiedział dumnie i zarechotał. – Doskonałe! Wiedziałem, że z ciebie tęga głowa. Spodziewałem się kłopotów, ale niech tam – machnął ręką – wiedziałem, że sobie poradzisz. Ale to, coś teraz wymyślił, to jest... to maestia. Jestem z ciebie dumny, wiesz?

Bruno zapadł się w swoje siedzisko i tak siedział sztywno, założył nogę na nogę i przyglądał się Wiktorowi

z ciekawością, gdy ten przysunął swój fotel do jego fotela tak, że nieomal stykali się kolanami.

– Nawet jeśli nie mówisz, twoje oczy i tak zadają bez końca to samo pytanie. Nie dajesz za wygraną, nie dajesz! – Wiktor klasnął i zachichotał. – No dobrze! To skoro już tu jesteśmy, w tych pięknych okolicznościach scenograficznych, może czas na jakąś historię? Szkoda, że kamery są wyłączone, byłaby piękna scena! A może nie są? Są, nie są? Kamera... akcja! – Klasnął, ale nic się nie wydarzyło, tylko Bruno lekko przymknął oczy. – No dobrze, dobrze. Wierzysz w zbiegi okoliczności, Bruno? – spytał niespodzianie spode łba. Skubał marynarkę i chyba sam dopiero po chwili zorientował się, że zadał mu pytanie. – Ja wierzę. Wierzę w jakąś siłę, która pcha nas do siebie w odpowiednich momentach. Przyciągają nas do siebie podobne zainteresowania, poglądy, osoby. Nie ma czystych przypadków. Opowiem ci pewną historię, to będzie dobry przykład.

Podwinął rękawy, zapatrzył się w sufit i poruszył niespokojnie palcami. Udawał, że się zastanawia, dobiera słowa. Wziął oddech tak głęboki, że wydawało się, iż nie będzie więcej czym oddychać. Nim zaczął, dodał jeszcze:

– Mijmy to za sobą już raz na zawsze. – A potem przymknął oczy i zaczął opowiadać: – Dawno, dawno temu do mojego wydawnictwa przyszła dziewczyna. Na oko dwudziestoparoletnia. Dobrze nam się rozmawiało, nim jeszcze przeszliśmy do powodu jej wizyty. Otóż ta młoda latorośl zakochała się w Henryku. W Henryku pisarzu, naturalnie. Byłem zdziwiony, że osoba w jej wieku wykazuje tak żywe zainteresowanie tak nieoczywistą twórczością. Nie sądziłem, że młodzi w ogóle sięgają po Henryka. Ta urocza dziewczyna właśnie zaczynała studia i chciała poświęcić je



pisaniu na temat Henryka właśnie. Chciała, bym pomógł zaaranżować spotkanie z nim, co było oczywiście niewykonalne. Zamiast tego zaproponowałem jej praktykę w wydawnictwie, na co chętnie przystała. Potem wyjechała za granicę i tam przez kolejne lata zajmowała się tym tematem, z doskonałymi efektami zresztą.

\*

Wiktor zrobił pauzę, pozwolił historii wydarzyć się w czasie. Postukał palcami w oparcie fotela i podjął na nowo:

– Kilka lat później do wydawnictwa przyszedł chłopak. Na oko dwudziestoparoletni. Dobrze nam się rozmawiało, nim jeszcze przeszliśmy do powodu jego wizyty. Ten młody chłopak, wyobraź sobie, zakochał się w Henryku. W Henryku pisarzu, naturalnie. Byłem już mniej zdziwiony, że osoba w jego wieku wykazywała zainteresowanie tak nieoczywistą twórczością. To był dziennikarz, przedstawił się wręcz jako krytyk literacki. Taki młody, a już tak ambitny. Streścił szybko swój życiorys. Imponujący jak na człowieka w jego wieku. W punktach nakreślił mi plan swojej wizyty: chodziło o napisanie pracy na temat Henryka. Chciał, bym pomógł zaaranżować spotkanie z nim, co było oczywiście niewykonalne. Przyszedł jednak w odpowiednim czasie. Henryk zapadł w twórczą śpiączkę po śmierci Małgorzaty i wydawało się, iż już nic więcej nie napisze. Spotkałem się z tym chłopakiem jeszcze parokrotnie, słuchając go uważnie. Zapoznałem się z jego artykułami. Kiedy przyszedł do mnie z informacją, jakoby córka Henryka napisała książkę, gdy dopiero co podpisałem z nią umowę, uznałem, że się nadaje. Zaproponowałem mu sporządzenie biografii

Henryka. Nie wiem, czy się ucieszył, bo ukrył emocje pod maską profesjonalizmu. Taki młody, a już tak... – Wiktor westchnął i machnął ręką. – To było spełnienie jego zawodowych marzeń. Poruszyłby ziemię, by zdobyć potrzebne mu informacje. Pisał, szukał, jeździł po kraju, wreszcie wyjechał także za granicę. I wyobraź sobie, co się stało – poznał tę samą dziewczynę, która kilka lat wcześniej przyszła do mojego wydawnictwa! Połączyła ich wielka miłość. Do Henryka. Wspaniały zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Odpowiedź nie nadeszła, ale Wiktor sam sobie pokivał głową i tym kiwaniem trochę Bruna zaraził.

– I tu historia mogłaby się szczęśliwie zakończyć. Chciałbyś, bym już skończył? – pytał i teraz dla odmiany kręcił głową. – Nie, oczywiście, że nie. A zatem będę mówić dalej. Zwykle jest odwrotnie, wiem, ale chyba nie pozostawiasz mi wyboru. Oj, jak ty sobie to sprytnie wymyśliłeś z tym milczeniem, Bruno. Jaki sobie wybrałeś idealny moment. No ale już, na czym to ja skończyłem? – Poderwał się i natychmiast złapał odpowiedni wątek. – Aha, miłość! – Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. – Miłość wygasła. Tak to już bywa. Zwłaszcza że chłopak i dziewczyna, a w zasadzie już mężczyzna i kobieta, mieszkali trochę razem, trochę osobno. On bezskutecznie namawiał ją do powrotu do kraju. Ona bezskutecznie namawiała go do zamieszkania za granicą. Udało mu się wreszcie ściągnąć ją na chwilę do ojczyzny i wtedy zaczęło się pruć już do końca. Ona zaczęła go zdradzać, a w dodatku śmiertelnie się rozchorowała. I wtedy już nie mógł jej zostawić, postanowił poczekać. Zresztą wkrótce zmarła. Mężczyzna mógł odejść. I tu historia się wreszcie kończy.

Twarz Wiktora przeszła metamorfozę, po śmiechu pozostały tylko delikatne zmarszczki, które teraz wyrażały

poirytowanie. Siedział mocno wysunięty do przodu i wbijał boleśnie kolana w kolana Bruna.

– Jest jedna rzecz, jaką chciałem na zawsze zachować tylko dla siebie. W obecnej sytuacji nie mogę jednak więcej tego tuszować. Ale powiem tylko tobie. Chyba nikomu nie wygadasz? – Wiktor zachichotał. – Od czasu naszego pierwszego spotkania w wydawnictwie byłem z Julią w stałym kontakcie. Tak, wiedziałem o jej romansie z Sebastianem, dzięki niemu znałem miejsca pobytu mojego wiecznie uciekającego syna. A dzięki mnie Julia miała stały dostęp do nowych tekstów Henryka. Transakcja wiązana, biznes to biznes. – Rozłożył ręce. – Spotkaliśmy się niedługo przed jej śmiercią. Julia nie zostawiła żadnego dziennika, żadnej alternatywnej prawdy. Jest tylko to, co sam widziałeś, Bruno. Uwierz sam sobie i nie komplikuj innym życia, chłopie. – Poklepał go po kolanie i pogroził mu palcem. – I mówię ci to już naprawdę po raz ostatni.

\*

- Jak myślicie, po co tu właściwie jesteśmy?
- To chyba oczywiste: żeby wykończyć Lucjana.
- Tyś zwariował!
- Ja chyba zrezygnuję.
- Nie da rady, nie da się stąd wyjść.
- Jak to się nie da?
- No nie da, podobno drzwi pozamykane.
- Tyś zwariował!

Perła minęła członków ekipy i przycisnęła mocniej plik kartek do piersi. Musiała się koniecznie dostać do Lucyny. Chciała wejść do hali zdjęciowej i właśnie sięgała ręką do

drzwi, kiedy wyszedł Wiktor i złapał się w jej uścisk. Szybko cofnęła rękę i zasłoniła nią kartki, a on od razu zainteresował się ich zawartością.

– Lucjana?

Przytaknęła.

– Coś warte?

Zrobiła wymijający ruch głową. Zrozumiał. Stali przodem do siebie, ale odwrócenii głowami. Wiktor zreflektował się, że stoi jej na drodze, i odsunął się od wejścia, po czym ruszył korytarzem.

– Wiktor! – zawołała, gdy był już na zakręcie.

Podbiegła, minęła znów tę samą grupkę ludzi, znów tak samo mocno przycisnęła kartki do piersi. I znów stali przodem, ale głowami w różnych kierunkach.

– Wiktor – powtórzyła i czekała, aż na nią spojrzy. – Zawsze chciałam cię o to spytać. Pamiętasz, jak przyszedłeś do Henryka i rozmawialiście długo za zamkniętymi drzwiami? Po tym spotkaniu był nie do poznania, przywołał mnie do siebie i chciał, bym zajmowała się jego sprawami. O czym wtedy rozmawialiście?

Wiktor oparł się o ścianę i spojrzał przeciągle na dziewczynę.

– Powiedziałem mu, że zajmowanie się jego sprawami odciągnie cię od pisania.

Kartki wysunęły się Perle z dłoni, kiedy poluźniła uścisk.

– Henryk czytał moje książki?

– Nie sądzę.

– Był o nie zazdrosny?

– Oczywiście.

Teraz podniosła głowę trochę pewniej, odważniej.

– Uważał mnie za swoją konkurencję?

Wiktor ni to potwierdził, ni zaprzeczył, sam nie był pewny, wykrzywił usta.

– Więc moja praca dla niego polegała głównie na tym, by mi zabierać czas na moje własne pisanie? To moje pisanie stanowiło największy problem?

– Powiedz mi, skarbie – nachylił się nad nią – czy zaczęłaś w tym okresie pracy dla Henryka pisać coś nowego, swojego?

Perła nie odpowiedziała.

– Przecież wy bez siebie nie istniejecie. Potrzebujecie siebie nawzajem do tych samych celów. Dla niego naprawdę umarłaś, gdy wyjechałaś. Bo i on wtedy trochę obumarł.

Ujął jej podbródek, a ona, choć długo nie chciała spojrzeć mu w oczy, wreszcie dała za wygraną.

– Odnosicie świetne efekty, kiedy robicie sobie nawzajem na złość – dodał na sam koniec i szczerze się uśmiechnął, a potem pogroził palcem, pocałował w czoło i skreślił w kolejny korytarz.

Kartki na piersi Perły stały się już mokre, wytarłosiła je tak, że bała się, czy słowa przetrwały. Ona sama zagubiła drogę, zapomniała, dokąd iść i w jakim celu. Ocknęła się, gdy po raz kolejny minęła tę samą grupę, rozprawiającą bez przerwy na ten sam temat.

– Tyś zwariował! – usłyszała na sam koniec.

\*

Wiktor otworzył pierwsze lepsze drzwi, by się skryć. W pokoju siedziała Lucyna. Zawahał się, chciał wyjść, ale jednak został.

– Przepraszam, szukałem córki. My chyba nigdy nie

zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni – dodał i podszedł się przywitać.

Lucyna przyjęła uścisk jego dłoni z rozbawieniem.

– Właściwie spotkaliśmy się raz. A może raczej minęliśmy. To były dość dramatyczne okoliczności, może pan nie pamięta.

Wyglądał na szczerze zdziwionego. Przyglądał się uważnie jej twarzy, próbując wydobyć ją z magazynu pamięci. Na próżno.

– Cóż to były za dramatyczne okoliczności?

– Można by rzec, że analogiczne do tych.

W tej chwili Wiktor poczuł, jak pojedyncze urywki w jego głowie zaczynają się składać w konkretny, ruchomy obraz, wciąż jednak nie potrafił wyłapać żadnego ważnego szczegółu. Patrzył Lucynie prosto w oczy, tak mocno, tak źle, aż musiała odwrócić wzrok.

– Sebastian przebywał dopiero od kilku dni na planie. I wtedy zjawił się pan.

Zamilkła i zorientowała się, że jej historia dotarła do końca. Zresztą Wiktor tam był, widział, wiedział, nie musiała nic tłumaczyć. Chciała, by to on tłumaczył, ale siedział bez ruchu.

– Między panem i Lucjanem panowały dość napięte stosunki. Nie wnikałam dlaczego, bo nigdy nic o panu nie mówił. To pan podzegał ten konflikt. Kiedy więc zjawił się pan na planie, nie mógł się otrząsnąć. Zwłaszcza gdy okazało się, o kogo chodzi. Nie wiem, czy on w ogóle wiedział, że Sebastian to pana syn. W tym okresie Lucjan, jak by to powiedzieć, przebywał już w swoim własnym, wykreowanym świecie. Nie wiem, o co się pokłóciliście. Nie wiem, o czym mówiliście. Ale proszę mi wierzyć – od

tego momentu stał się pan jego wrogiem numer jeden. Sebastian w końcu po tym wszystkim uciekł z planu i to pan został tym obciążony. Tylko dzięki obecnej kondycji psychicznej Lucjana mógł się pan tu dzisiaj znaleźć. On ma teraz wielki problem z rozpoznawaniem twarzy, odróżnianiem snów i rzeczywistości. Z dnia na dzień jest coraz gorzej. Wahałam się, czy pana zaprosić.

Lucyna poczuła nagle ciężar wypowiedzianych słów. Nigdy dotąd z nikim nie rozmawiała o tych wszystkich zdarzeniach, których była świadkiem. Podświadomie czuła, że musi je zachować wyłącznie dla siebie. W ten sposób większość jej życia stała się tajna. Nie mogła o sobie opowiadać, bo jej wspomnienia stały się także wspomnieniami Lucjana. Nigdy nawet nie wzięła pod uwagę, że mogłaby z kimkolwiek tak otwarcie o tym mówić. Poczuła, jakby uwolniła właśnie wielką tajemnicę. A to jeszcze nie był koniec.

– A to jeszcze nie koniec – powiedziała na głos. Odkryła nagle, jak wielką ulgę sprawia wypuszczanie myśli wolno w świat. Miała ochotę wyrzucić je wszystkie, jedną po drugiej, opróżnić całą swoją pamięć. Dać komuś w prezencie.

Wiktor okręcił się na krześle i popatrzył na nią bardzo uważnie.

– Biorąc pod uwagę skalę informacji, którą pani posiada na mój temat, czy będzie nietaktem, jeśli zaproponuję rozluźnienie naszej relacji? Inaczej mówiąc, czy możemy przejść na ty? Moglibyśmy wtedy porozmawiać jak znajomi.

Lucyna uśmiechnęła się i skinęła głową, a Wiktor wstał i znów podali sobie ręce. Gdy tylko ich uścisk się rozluźnił, natychmiast wypaliła:

– Laura czy Sebastian?

– Słucham? – Siadał właśnie z powrotem na krzesło i przez moment zastygł w niewygodnej pozycji.

– Laura czy Sebastian? Które z nich jest dzieckiem Lucjana?

Umościł się wygodnie na krzesło i założył nogę na nogę.

– Widzę, że bardzo daleko posunęliśmy się od razu w tej naszej znajomości.

– Wybacz, ale ja już nie mam ochoty bawić się w domysły. Tylko konkrety.

Wiktor rozłożył ręce i westchnął.

– Nie wiem, co odpowiedzieć, właśnie pozbawiłaś mnie jednego dziecka. Co jest o tyle ciekawe, że nigdy nie słyszałem, by bliźnięta mogły się zrodzić z dwóch różnych ojców.

– Proszę, przestań. – Głos Lucyny zabrzmiał błagalnie. – Widziałam się z Anitą – urwała dramatycznie, obserwując jego reakcję.

Wiktor nie zrobił wielkich oczu, nie zadrżał, nie spanikował. Wiktor patrzył na nią wyczekująco, trochę znużony. Może nawet lekko westchnął. A może i przysnął. Pochylił głowę, choć wciąż patrzył jej w oczy. Poczuli się przyparta do ściany, ale przecież tego chciała. Wyjaśnić. Końca. Chciała?

Zebrała w sobie całą odwagę, zapomniała o wszystkich zasadach, którymi się do tej pory kierowała w życiu, i zaczęła opowiadać.

– Anita była w ciąży, gdy Lucjan ją porzucił – trochę stwierdziła, trochę spytała, czekała na znak od Wiktora.

Wciąż wyczekiwał, ukrył twarz pod dłonią, ale i tak wyzierał spod niej uśmiech. Rozsiadł się wygodniej i dał jej sygnał, by kontynuowała.

Wstała i skierowała się w stronę długiego stołu. Sięgnęła



po torebkę i wróciła na miejsce. Wyjęła z niej pokazny zeszyt.

– Pozwolisz, że ci coś przeczytam?

Wiktor wyłożył wzrok, przyjrzał się notatnikowi.

– Co to jest?

Lucy obróciła niepozorny zeszyt w dłoniach, pokazała z daleka.

– Dziennik Julii.

Wiktor ponaglił ją:

– Proszę, proszę, naprawdę chętnie tego wreszcie posłucham. Śmiało.

Usadowił się wygodniej i spuścił głowę. Lucyna otworzyła dziennik, przewertowała strony, dotarła do zaznaczonego miejsca. Wzięła oddech, ale urwała.

– Teraz będę cytować Julię.

*Spodobałam się Wiktorowi natychmiast, gdy wyraziłam zainteresowanie Henrykiem. Wiedziałam, że tylko w ten sposób uda mi się nakłonić go do rozmowy. Opowiadałam mu o moich planach wyjazdu na stypendium za granicę i o karierze naukowej. Był zachwycony, podchodził do mnie coraz śmielej. Początkowo mój wiek go odstraszał, chociaż nawet nie powiedziałam mu jeszcze wtedy prawdy. Przyznałam się, że jestem niepełnoletnia, gdy to już się stało. Chciał zachować dyskrecję. Kiedy okazało się, iż jestem w ciąży, natychmiast zaczął obmyślać plan. Chciałam się pozbyć dziecka, nie pozwolił mi, powiedział, że on się dzieckiem zajmie. zaproponował, bym na czas ciąży pracowała w wydawnictwie. Pozwolił przeglądać korespondencję z Henrykiem. I tak miały*

miesiące. Od samego początku odcinałam się od tego, co w sobie nosiłam. I tak wszystko miało wrócić do tego, co było wcześniej. Myślałam tylko o wyjeździe. Nie pamiętam, kiedy Wiktor zaczął się spotykać z Anitą. Między nami już nic więcej się nie wydarzyło. Anita już wtedy nie wyglądała dobrze. Trudno było w niej rozpoznać postać z plakatów i filmu. Dobrze pamiętam dzień, gdy chcieli ze mną porozmawiać. Po raz pierwszy znalazłam się wtedy tak blisko Anity. Wiktor starał się raczej ukrywać mnie przed ludźmi, nikt nie wiedział o dziecku. A dziecko było coraz lepiej widać.

Siedzieliśmy w jego gabinecie. Ja obok Anity, on za biurkiem. Mówił tylko on. Wiedziałam o romanse Anity z Lucjanem i jak to się dla niej skończyło. Czego nie wiedziałam, to że Anita zaszła w ciążę. Czy Lucjan wiedział? Chyba nie. A jeśli nawet, z pewnością się tym nie przejął. Ale o Lucjanie nie mówiliśmy wcale. Sama się domyśliłam i również milczałam. Dla dobra Anity.

Plan Wiktora miał rozwiązać wszystkie nasze problemy. Miałam urodzić i zniknąć, czyli tak jak od początku zakładaliśmy. Ale po moim porodzie dziecko stawało się automatycznie dzieckiem Anity.

Anita urodziła niedługo po mnie. Już wcześniej ogłosili, że spodziewają się bliźniąt. Wszystko odbywało się w absolutnej tajemnicy.

Wiem, że wiele to Wiktora kosztowało. Anita już wtedy nie wyrażała żadnych emocji, a ta sytuacja stała się raczej gwoździem do trumny. Miała pomóc, ale tylko przyspieszyła chorobę. Ja jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że to do mnie kiedyś wróci

*i zawładnie całym moim życiem. Żyłam jak chcia-  
łam. A kiedy pojawił się Bruno, wszystko powróciło.  
Najtrudniej było trzymać go w nieświadomości. Nie  
wiem, co on myślał.*

Lucyna zawahała się, znów wzięła głębszy oddech, ale ostatecznie rozmyśliła się i urwała. Musiało minąć parę chwil ciszy, nim odważyła się spojrzeć na Wiktora. Długo na nią patrzył bez żadnego pomysłu na reakcję. Po prostu wpatrywał się w jej twarz, jak gdyby wciąż mówiła. Wreszcie się ocknął, po czym wycedził przez zęby:

– Moja żona przebywa w Centrum Zdrowego Myślenia. W zamknięciu i odosobnieniu. Przebywa tam nie bez powodu.

– Doskonale wiem, z jakiego powodu tam przebywa. Ten powód nazywa się Lucjan. To wyjaśnia, dlaczego darzysz go taką niechęcią.

– Zaskakujące, jakie wszyscy znajdujecie sobie źródła informacji. Zawsze jest jakiś tajemniczy dziennik, wywiady, artykuły, zawsze jest ktoś, kogo nie ma, ale ten ktoś nosi w sobie całą prawdę...

– To wszystko do siebie pasuje!

– I co z tego?! – Wiktor po raz pierwszy ryknął na cały głos.

Wstał i zdjął marynarkę. Przysunął krzesło w stronę Lucyny, usiadł przodem do niej.

– I co z tego, że pasuje, jeśli to nieprawda? Od kiedy to prawdę układa się jak puzzle? Nie wszystko do siebie zawsze pasuje, przecież doskonale to wiesz. Wierzysz w to tylko dlatego, że jest na piśmie? Julia nie zostawiła żadnego dziennika.

- No więc kto to napisał?

- Anita, a któż by inny? - odparł błyskawicznie i uśmiechnął się. - Zresztą mógłby to napisać każdy, nawet ty - dodał ciszej.

Teraz to Lucy się zaśmiała.

- Chyba kpisz!

Uśmiechnął się, roześmiał, zaśmiał na głos. Śmiał się i śmiał, kręcił głową, aż pociekło mu parę łez.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co czytasz? - mamrotał, ocierając twarz. - To jest chore i mógł to stworzyć tylko chory umysł.

Patrzył na Lucynę i widział w jej oczach ufność, przestrach, zwątpienie i zmęczenie. Próbowwała łączyć ze sobą wszystko to, co usłyszała. Nie analizowała treści. Chciała mieć jakąś całość. Odchrząknął i uspokoił się.

- Masz rację, że problemem Anity był poniekąd Lucjan - odparł. - Bardzo go kochała i bardzo to przeżyła. Chciała z nim być i mieć to, co ich złączy na zawsze. I ładnie to wszystko złożyła w całość. Wszystko idealnie pasowało. Co z tego, że brzmiało niedorzecznie. Pasowało, a ona potrzebowała znaleźć wytłumaczenie na to, co jej się przytrafiło. Tak jak ty teraz potrzebujesz wyjaśnić tę historię. I w efekcie rozrosło się to wszystko do czegoś takiego - rozłożył ramiona, obejmując całe pomieszczenie - i objęło życie innych osób. I każda z nich powie ci coś innego. Każdy ma inną prawdę, każdy ma tylko szczątek informacji i interpretuje go według własnych potrzeb. Dlaczego więc nie pozostaniemy przy tym, co nam odpowiada, skoro wspólnymi siłami i tak nie dojdziemy do żadnego porozumienia? Po co to wszystko? To zgromadzenie, ten film. To miało pomóc? I co - pomaga? Zbliżamy się do tej jedynej, najprawdziwszej prawdy?

Lucyna odwróciła głowę. Wiktor zauważył, że zaczęły drżeć jej ramiona. Nastroszył włosy dłonią, wyciągnął się na krześle i westchnął przeciągle. Uspokojona tym ciepłym oddechem popatrzyła na mężczyznę i znów przyglądali się sobie swobodnie, obojętnie, głęboko. Wiktor wyczuł moment słabości, zanim Lucy się zorientowała, i nachylił się w jej kierunku, by zmniejszyć dystans, by objąć, ukoić.

- Analizowanie tych wszystkich relacji, rozkładanie na czynniki pierwsze, szukanie powodów... Jakie to ma już teraz znaczenie? Po prostu wszyscy ze sobą się połączyliśmy. Nie zliczymy, ile czynników i przypadków miało na to wpływ. Niepotrzebnie zacieśniamy jeszcze bardziej nasze więzi. Jeszcze trochę i się podusimy. Niech jest, jak jest. Nie dajmy się zwariować. Lucyna? Opuść. A przede wszystkim - zostaw moje dzieci. I Laurę, i Sebastiana. Anita zbyt mocno uwierzyła, że z jej związku z Lucjanem coś się narodziło.

Lucy z każdym kolejnym słowem opuszczała głowę coraz bardziej. Opuszczała i opuszczała, aż wreszcie wylądowała w jego dłoniach. Przejechał po jej długim warkoczu, otarł policzki. Wstał, włożył marynarkę, poprawił włosy i zbierał się do wyjścia. Lucyna podniosła głowę i nim nacisnęła klamkę, powiedziała:

- To nie Anita przekazała mi dziennik. Nie odezwała się ani słowem podczas naszego spotkania. Dostałam go od Perły.

Przez moment patrzyła na wyprostowane plecy Wiktora. Wreszcie odwrócił się i cofnął. Uścisnął dłoń Lucyny i przytrzymał ją trochę dłużej, ucałował i w tę właśnie dłoń złożył swe ostatnie słowa:

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by nigdy nie dopuścić do tej całej sytuacji.

\*

Już za drzwiami spadło na niego nieprzyjemne otrzeźwienie. Otarł teraz twarz całym rękawem, tarł i tarł bez końca, chciał zetrzeć wszystko, chciał, by zniknęło. Wtedy zamigotała mu przed oczami znajoma twarz, a nawet jakby dwie twarze. Zamrugął.

Laura, bo to przecież musiała być Laura, choć wyglądała zupełnie inaczej, podeszła do niego powoli i cała przyłgnęła, weszła, schowała się jak w muszli, podciągnęła nogi, zgięła ręce, wniknęła w niego.

– Nic nie mów. Proszę, nic nie mów. Nie chcę nic wiedzieć.

\*

Lucyna założyła okulary i przeczytała pierwszy akapit. Czytało się jej ciężko, bo tusz był rozmazany. Perła opierała się o jej biurko i nerwowo stukała o nie nogą. Lucy przebiegła wzrokiem kolejne linijki, kolejne kartki. Pokiwała wreszcie głową i przekazała całość Erykowi, który siedział obok. Rzucił okiem i prędko je odłożył. Perła siadła na wolnym krześle i w ślad za resztą zamyśliła się pośpiesznie. Splotła ręce, bawiła się palcami.

– Chyba nic z tego nie będzie – powiedziało jedno z nich bez przekonania. Mógł powiedzieć każdy.

– Jak on się czuje? – Lucyna popatrzyła na Perłę.

– Chyba lepiej.

– To idź do niego i wyciągnij wreszcie całą resztę – nakażała ostro i podała jej z powrotem kartki.

I Perła, i Eryk popatrzyli na nią ze zdziwieniem. Lucyna złapała się za głowę, odgoniła ich spojrzenia.

- No idź. Idź i załatw to do końca.

Perła poszukała wzrokiem pomocy u Eryka, ale nie doczekała się. Nim zdołał cokolwiek zrobić, wstała, zebrała kartki i wyszła bez słowa. Za nią po chwili wahania wyszedł i Eryk.

Zapadła tak głośnie cisza, że Lucyna musiała zatkać uszy.

Parę razy już się podnosiła, już chciała wyjść, ale rezygnowała. To w końcu nie jej sprawa. Co ona sobie myślała. Była najmniej odpowiedzialną osobą w tym miejscu, w tym tłumie, w tej rodzinie dziwnych przypadków. Było o nią jedną za dużo. Myślała, że zbiera historie iłoży je potem w logiczną całość. Ba, wierzyła wręcz, że jest niezbędna do zaprowadzenia porządku w życiu tych wszystkich ludzi. I kiedy wydawało się jej, iż jest już u szczytu, nagle oderwała się od ściany i poleciała w dół, przez te wszystkie zdarzenia, które już się wydarzyły i przeżyły, które już odłożyła i ułożyła. Leciała i mijała tych, których chciała poprowadzić na szczyt. Ich twarze się zlewały i nakładały, nieruchomiały. Wcale nie chcieli się wspinać, zatrzymali się w miejscu i znacznie lepiej na tym wyszli. To ona spadała. Ciągnęło ją w dół, na sam dół, ale żadnego dna nie było.

Usłyszała głuchy dźwięk i myślała, że to już. Otworzyła oczy, ale odgłos dobiegał do niej coraz wyraźniej, coraz śmieiej, aż wreszcie zamienił się w czyjeś kroki. Zbliżały się i wyhamowały dopiero nad jej głową.

- Boże, nie żyje, nie żyje!!!

I już spadała z krzesła, i już z powrotem się podnosiła, już była za drzwiami, biegła korytarzem, wyprzedziła Eryka.

Wreszcie dotarli na sam brzeg, na sam kraniec.

- Odsuńcie się.

Nim spojrzała w dół, przebiegła wzrokiem po twarzach

zebranych tam osób. Obejrzała dokładnie wszystkich. Już wiedziała. Wtedy spuściła oczy i zauważyła, że wdepnęła w jakąś maź. Szybko zrobiła krok do przodu i poszła śladem strużki. Bez żadnych obaw nachyliła się nad ciałem. Ciepłym, gasnącym, drobnym. Obcym w tym stanie. Cichym, bez słów. Długo się przyglądała, rozpoznawała, poznawała na nowo. Przyłożyła do niego ucho i nie usłyszała nic. Urwało się.

Odetchnęła.

– Czyli to koniec?

Lucyna złękła się, usłyszawszy to pytanie. Wciąż miała decydować? Zobaczyła znów przed sobą te wszystkie twarze. Wszystko wyglądało jak wcześniej, jakby nic się nie zmieniło. Oślepiło ją nagle światło, skierowało na nią swoje ostrza i zgubiła ostrość widzenia.

– Mam to wyłączyć? – spytał ktoś, kogo nie mogła dojrzeć, kto stał gdzieś za tymi światłami.

Czyli to jest ten koniec?

Światło zgasło. Popatrzyła wkoło. Wszyscy zaczęli się krzątać, zbierać, znikać. Nawet ciała już nie było. Już się skończyło. Uleciało. Zostawiło ją samą.

Poczuła okropny ucisk skroni, ożywiający ból. Zamiast spodziewanej pustki do jej umysłu weszli teraz wszyscy ci, którzy ulotnili się nagle z pomieszczenia. Ci, z którymi przecież nic jej do tej pory nie łączyło. Słyszała ich głosy, jak się przekrzykiwali między sobą, różne wersje tej samej historii. Przyłożyła dłonie do twarzy i rozmasowała ją. Pod skórą poczuła małe ziarenko, mały początek.

KONIEC